

DLP IMP - 8-8-78003

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 10/361**

**1977**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

W. GOMBROWICZ : **SURSUM CORDA**

FR. HNIEDZIUK : **Z NADZIEJĄ ALE BEZ ZŁUDZEŃ**

I. KEDRYN : **BIAŁE KRUKI**

**POLSKI SAMIZDAT : MIESIĘCZNIK «OPINIA»**

## SPIS RZECZY

Witold Gombrowicz:	<i>Sursum corda</i> .....	3
O. R.-L. Bruckberger:	<i>Ite missa est...</i> .....	5
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	8
Alicja Iwańska:	<i>Indiańscy intelektualiści (dok.)</i> ....	19
<b>WIERSZE</b>		
Kazimierz Maria Skrzydliński:	<i>Lekcja anatomii</i> .....	34
Anonim z Kraju:	<i>Jestem świadomym obywatelem...</i> ....	35
" " "	<i>Cześć, jak ci leci?</i> .....	36
<b>ARCHIWUM REWOLUCJI</b>		
—	<i>Przejście do demokracji w warunkach komunizmu</i> .....	37
<b>K R A J</b>		
Franciszek Hniedziuk:	<i>Z nadzieją, ale bez złudzeń</i> .....	42
Bolesław Sulik:	<i>Dziura w ścianie</i> .....	49
Antoni Gutowski:	<i>Manowce polityki gospodarczej PRL</i> ..	62
t-w:	<i>Zdumiewający dokument</i> .....	70
<b>SĄSIEDZI</b>		
Iwan Kedryn:	<i>Białe kruki</i> .....	71
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	80
BEO:	<i>Kronika ukraińska</i> .....	88
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	90
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
—	<i>Działalność londyńskiej Biblioteki Polskiej w 1975 roku</i> .....	92
—	<i>Wywiad z rolnikami w telewizji szwe-</i> <i>Wywiad z rolnikami szwedzkiej TV ..</i>	93
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Jan Kowalik:	<i>Benedykt Heydenkorn</i> .....	94
<b>K S I A Ż K I</b>		
M. Broński:	<i>Zapiski</i> .....	99
Janina Katz Hewetson:	<i>Lekkostrawny naród</i> .....	105
" " "	<i>Widziane z ławy obrończej</i> .....	109
Wiktor Weintraub:	<i>Włoska antologia Mickiewicza</i> .....	115
Witold Wirpsza:	<i>Listy Witkacego do Corneliusa</i> .....	118
Benedykt Heydenkorn:	<i>Ukraińska społeczność w USA i Kanadzie</i> .....	119
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i> .....	122
Anna Bogusławska:	<i>Pamiętnik powstańczy w brytyjskich oczach</i> .....	125
Krzysztof Rowiński:	<i>Dragoni królewscy</i> .....	126
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i> .....	127
<b>POLEMIKI</b>		
Janina Katz Hewetson:	<i>Godzina Savonaroli</i> .....	128
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	132
A. Balko, Wł. Brylewski, J. G. Görlich, J. Kosacz, Trybunał Sacharowa, F. Śmieja, Wł. Zeleniński, St. Korboński:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	139
<b>DOKUMENTY</b>		
—	<i>Polski samizdat — „Opinia”</i> .....	147
Jan Józef Lipski:	<i>List Otwarty do Jana Dobraczyńskiego</i> ..	154
—	<i>List więźniów obozu Permskiego 36 ..</i>	155
Jan Szumiło:	<i>Zażalenie</i> .....	159

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1977

INSTYTUT



LITERACKI

## WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz trzydziesty piąty	F. 105,00
E. Janicki, Winnipeg, Man. (Kanada)	F. 140,00
Cecylia Kreutz, Detroit, Mich. (USA) — dla uczczenia pamięci Męża śp. redaktora Jana Mariana Kreutza	F. 110,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Waszyngtonie, Koło 37	F. 250,00
Bezimiennie z Ameryki — po raz trzeci	F. 50,00
Bezimiennie z Finlandii — po raz trzeci	F. 50,00
Bezimiennie z Paryża	F. 100,00
Bezimiennie ze Stockholmu	F. 140,00
Bezimiennie z New Yorku — po raz jedenasty	F. 110,00

DZIĘKUJEMY

## WPLĄTA NA KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

Bezimiennie z Kanady	F. 490,00
----------------------	-----------

## PRENUMERATY

### « KULTURY » I « ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH » NA ROK 1978

W związku ze stałym wzrostem kosztów produkcji zmuszeni jesteśmy podnieść ceny prenumerat na rok przyszły. Będą one następujące:

#### Prenumerata „Kultury”

we Francji — rocznie F. 150; półrocznie F. 80,  
za granicą — rocznie F. 160 (\$ 35); półrocznie F. 85 (\$ 18).

#### Prenumerata „Zeszytów Historycznych”

Rocznie — F. 140 (\$ 30).

#### Dla prenumeratorów „Kultury”

Rocznie — F. 120 (\$ 25).

## Sursum corda

Gdy święta nadejdą lubicie podlewać łzami wspomnień i wzdychać rzewnie do utraconych miejsc rodzinnych. Nie bądźcie śmieszni ani cikliwi: Nauczcie się dźwigać własne przeznaczenie! Przestańcie opiewać uświęconymi, banalnymi słowami piękności Grójca, Piotrkowa lub Biłgoraja. Wiedźcie, że ojczyzna wasza to nie Grójec ani Skierniewice, nawet nie kraj cały, i niech krew uderzy wam na policzki ożywym rumieńcem na myśl zbawczą i potężną, że ojczyzną waszą wy sami jesteście! Cóż z tego, że nie przebywacie w Grodnie, Kutnie lub Wrocławku? Czy kiedykolwiek człowiek przebywał gdzie indziej niż w sobie? Jesteście u siebie, choćbyście znajdowali się w Argentynie lub w Kanadzie, ponieważ ojczyzna nie jest miejscem na mapie, ale żywą istotnością człowieka.

Przestańcie zatem hodować w sobie pobożne iluzje i sztuczne sentymenty. Nie, nigdy nie byliście szczęśliwi w Kraju. Tamte sosny, brzozy i wierzby są w istocie zwykłymi drzewami, które wypełniały was bezbrzeżnym poziewaniem, melancholią nudy gdy, przed laty, oglądaliście je przez okno każdego ranka. Nieprawda że Grójec jest czymś więcej niż przeraźliwą i prowincjonalną dziurą, w której ongiś biedowała wasza szara egzystencja. Nie, to kłamstwo: Radom nigdy nie był poematem, nawet o wschodzie słońca! Nie są cudowne i niezapomniane tamtejsze kwiaty — a nędza, brud, choroby, krzywda, nuda osaczały was i wówczas, jak psy wyjące głuchych polskich wsi o zmroku.

Nie bądźcie, mówię, mazgajami. Nie zapominajcie, że póki mieszkaliście w Polsce nikt z was Polską się nie przejmował, ponieważ ona była codziennością. Dziś natomiast nie mieszkacie już w Polsce, ale za to Polska silniej w was zamieszkała — ta Polska, którą określić należy jako najgłębszą ludzkość waszą,

urobioną pracą pokoleń. Wiedźcie, że wszędzie tam gdzie wzrok młodzieńca odkrywa swoje przeznaczenie w oczach dziewczyny, tworzy się ojczyzna. Gdy na ustach waszych jawi się gniew lub zachwyty, gdy pieśń wasza godzi w hydrę łajdactwa, gdy słowo mędrca lub pieśń Beethovena rozpala wam duszę, uwodząc ją w nieziemskie kręgi, wówczas — na Alasce i na równiku — rodzi się ojczyzna. Ale na placu Saskim w Warszawie, na rynku krakowskim, będziecie bezdomnymi włóczęgami, domokrażcami bez przydziału i wędrownymi beznadziejnie ordynarnymi groszrobami jeśli pozwolicie aby trywialność zabiła w was piękność.

Trzeba ubolewać, że nie jesteście dość genialni, dość szlachetni i dość natchnieni aby odkryć patetyczny sens waszej tułaczki i powiedzieć o sobie słowami Szekspira:

*Los mój mnie woła i najmniejszą fibrę  
Mojego ciała czyni tak potężną  
Jak najsilniejszy nerw lwa nemejskiego!*

A jednak nie traćcie nadziei. W tej walce o głębszy sens życia i jego piękność nie jesteście osamotnieni. Na szczęście macie przy boku sztukę polską, która dziś stała się czymś prawdziwszym i ważniejszym niż bezdomne ministeria i urzędy wyzute z władzy — i ona to, sztuka, nauczy was głębi, jej bicz, surowy i dobrotliwy zarazem, spadnie na was ze świstem ilekroć zaczniecie się rozklejać, ślimaczyć i mazgać. Ona, sztuka, otworzy wam oczy na groźną piękność współczesności, na wielkość waszego zadania, a zbyt prowincjonalne uczucie zastąpi uczuciem nowym, na miarę świata, na miarę tych horyzontów, które dziś się przed wami otwierają. Przywróci wam zdolność lotu i mocy aby nie powiedziano o was słowami Szekspira:

*Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą  
Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy!*

Witold GOMBROWICZ

## Ite missa est...

Podczas procesu — do jakiego doszło po skandalu panamskim — były momenty zdecydowanie komiczne. Przewodniczący sądu przesłuchuje wicehrabiego Ferdinanda de Lesseps'a.

*Przewodniczący:* — Jak widzę, dawał pan pieniądze, wiele pieniędzy, wielu deputowanym... Dlaczego?

*De Lesseps:* — Ponieważ się tego domagali, panie sędzio!

*Przewodniczący:* — Ale przecież gdy jakiś rozbójnik w lesie będzie się od pana domagał sakiewki, zamiast oddać mu ją bez oporu będzie pan wzywał policję!

*De Lesseps:* — Tak, ale jeżeli to policjant domaga się sakiewki?...

Anegdota ta jest dobrą przenośnią tego, co dzieje się obecnie we Francji w Kościele. To już nie ateści, antyklerykałowie, wolnomyśliciele, bezbożnicy usiłują pozbawić wiernych tego, co stanowi dla nich najwyższą wartość — rozbojem zajmują się biskupi.

O co chodzi? Podczas gdy we wszystkich naszych kościołach, aż po najdosłojniejsze katedry włącznie, za zgodą — a niekiedy przy udziale — niektórych biskupów panoszą się absolutnie anarchistyczne, absolutnie laickie — by nie rzec profanatorskie — przedsięwzięcia liturgiczne, okazuje się że jeden jedyny rytuał, jedna jedyna liturgia, jeden jedyny sposób odprawiania mszy świętej jest w oczach francuskich biskupów formalnie zakazany, a praktycznie wyklęty: jest nim tradycyjna msza zwana mszą św. Piusa V-go, czyli łacińska msza, celebrowana w Kościele rzymskim od 15-tu stuleci. Z tego właśnie względu kardynał-arcybiskup Paryża odniósł się niechętnie do mszy, celebrowanej co tydzień przez prałata Ducaud-Bourget'a według tego rytuału.

Czy nasi biskupi biorą nas za „prostaczków”? My też znamy

teksty. Wiemy, że nowy mszał Pawła VI-go jest po prostu dozwolony, nie nakazany. Wiemy, że Paweł VI nigdy nie zabronił odprawiania mszy świętej według rytuału Piusa V-go. Wiemy, że w swoim czasie Sobór i sam Papież uznali łacinę za urzędowy język Kościoła. Wiemy, że Papież nieustannie zachęca do używania łaciny i śpiewu gregoriańskiego. Wiemy, że kiedy Papież Pius V wydał w XVI wieku swój mszał, ogłosił równocześnie w swej konstytucji apostolskiej dekret zezwalający wszystkim księżom, bez ograniczeń w przestrzeni i czasie odprawiać mszę świętą według tego rytuału, który też oficjalnie został wyjęty spod wszelkiego rodzaju sankcji po wieczne czasy. Wiemy, że co zostało uroczystie ogłoszone przez jednego Papieża w Kościele katolickim, może zostać odwołane jedynie przez innego papieża, za pomocą tej samej procedury i równie uroczystie. I wiemy, że w odniesieniu do mszału św. Piusa V-go nic takiego nie zaszło, ani na nic takiego się nie zanosi.

Georges Pompidou zażądał w swym testamentie mszy żałobnej po łacinie. Odprawiono ją, ponieważ był Prezydentem Republiki. Dzisiaj każdy proboszcz może spokojnie użyzyć swego kościoła muzułmanom, buddystom, Tybetańczykom, Patagończykom, hippiesom, Papuasom, anty-Papuasom, młodzieży męskiej, młodzieży żeńskiej, stworzeniom podwodnym, pełzającym czy fruującym — ale gdy jakiś księżulo zapragnie odprawić w nim mszę, dla której ten-to kościół został zbudowany — i to nie przez dostojników, a przed lud — i gdy zapragnie odprawić ją, a lud francuski wysłuchać jej tak, jak była celebrowana przez wieki, wówczas spadają episkopalne gromy.

Miotają je ci sami biskupi, którzy ze słodyczą w głosie prawią nam o ekumenizmie, pluralizmie, tolerancji. To prawda, że dla wszystkich poza Kościołem są samym miodem. Tylko dla nas, braci we wspólnej wierze, jest ocet i nieugiętość. Niech się strzegą! Niech się strzegą! Monteskiusz powiedział: „Kto chce mieć tylko dobrych niewolników, ma tylko złych podwładnych”!

Paweł VI uroczystie otworzył bramę Roku Świętego, który ogłosił „rokiem pojednania”. Nowi biskupi francuscy, nowi księża gotowi są pojednać się z samym Diabłem, ale z zapałem i bez litości zatrzasną ją nam przed nosem, zaryglują przed jedną jedyną grupą pariasów: wiernych i kapłanów, przywiązanych do starodawnej liturgii — bez miłosierdzia, wyrzucają ich za próg.

Św. Tomasz z Akwinu zapewnia nas, że Eucharystia jest wspólnym dobrem Kościoła katolickiego. Jeżeli to wspólne dobro ulegnie zniszczeniu, rozpadnie się cały Kościół.

Jeśli Kościół nie ma się rozpaść, zostawcie nas w spokoju — a w naszych kościołach, wzniesionych przez francuski lud i należących doń w tym samym stopniu co do kleru — pozwólcie nam uprawiać rytuał, w którym w sposób doskonały wyraziła się wiara naszych przodków, wiara katolicka, która nie uległa zmianie.

Jak pisze Henri Bergson: „Nie ma religii bez rytuału i obrzędów. Niewątpliwie wyrastają one z wiary, ale i same na nią oddziaływują i umacniają ją”.

Naruszając rytuał, można zniszczyć wiarę.

O. R.-L. BRUCKBERGER

(Przełożył M. Broński)

[Autoryzowany przedruk z *Le Figaro*, 24. 1. 1975]

## BBC - POLISH SECTION

The BBC requires a Programme Assistant for its Polish Section in London. Applicants with Polish as first or best language must have degree level education, a thorough knowledge of English, good microphone voice; journalistic experience an advantage.

For further details write in English within 14 days to:

RECRUITMENT OFFICER,  
BBC, BUSH HOUSE, P.O. BOX 76, STRAND,  
LONDON WC2B 4PH.

Enclose a self-addressed envelope for reply and quote reference: 77. X. 12.

## Dziennik pisany nocą

Panarea, 24 czerwca - 2 lipca 1977

Wyspy Eolskie koło brzegów Sycylii, czyli w języku poezji turystycznej Siedem Pereł: Stromboli, Panarea, Salina, Lipari, Vulcano, Filicudi, Alicudi. Dwa razy w tygodniu statek odpływa z Neapolu wczesnym wieczorem. Noc zapada wkrótce po wyminięciu Capri. Chwilę jeszcze w morskiej bruździe wlecze się czerwony ogon zachodu, potem pochłania go czern czysta i absolutna.

Pierwszą wyłowioną z ciemności Perłą jest Stromboli, tuż przed świtem. Gdy statek zarzuca kotwicę, koniec nocy wygląda jak powolne odwijanie dnia z czarnych bandaży. Zwój po zwoju, łuska po łusce, gęsty mrok rozrzedza się opornie, z krateru wysuwa się i natychmiast cofa szybkim błyskiem język ognia, ogromnieją barki przewoźników, gaśnie latarnia morska na skalnym zębie obok wyspy. Teraz widać Stromboli wyraźnie. Od czarnego piasku na plaży, poprzez białe plamy domów i zieleni o niezwykłym bogactwie odcieni, przechodzącą miejscami w fiolet i żółć, do czarnego i łyszego stożka wulkanu. Pierwsza Perła przypomina raczej wydobyty z dna morza gład, zapis drażenia, obtaczania, ciosania, szarpania, cieniowania kolorami.

Drugą jest Panarea, cel podróży. Znacznie mniejsza, trzy kilometry długości dwa szerokości, dwie i pół setki stałych mieszkańców, krajobraz klasycznie sycylijski: brunatne piargi żużlu, szaro-zielone płyty skał i *piante grasse*, tłusta roślinność kaktusowa przetykana jaskrawymi, gorączkowymi wypiekami kwiatów. Jedyną metryką z przeszłości jest wioska prehistoryczna na Calaiunco, cyplu skalnym w kształcie kotwicy. Kolistę

składaki z kamienia na skraju wysokiego urwiska, ziemia wypalona na proch, w dole szmaragdowe morze pokarbowane jak drżąca cynfolia, za plecami nagie różowe skały i osty o krwawonikowych kwiatach. W przewodnikach zaleca się turystom inną osobliwość, też o ukrytym posmaku „prehistorycznym”. Czym jest *alba lunare*, księżycowy świt, wiadomo nie tylko tutaj. Ale może tylko tutaj z taką cudowną pierwotnością błady dzień wysnuwa się z poblądłej na niebie tarczy.

Poza sezonem życie wyspy toczy się dokoła trzech punktów: porcik-kościół-cmentarz. Na cmentarzu znalazłem nagrobek z napisem, który obejmuje pełny cykl. Panarejski rybak, „w rękach zawsze trzymał wiosło i sieć, czcił Boga, kochał życie i morze, umarł mając sto dziesięć lat”. W porciku ludzie czekają na statki, przed kościołem na jego otwarcie. Procesja w dniu patrona wyspy, Świętego Piotra, jest pochodem garstki rozbitków.

Na wyspie nie ma elektryczności, wieczorem stawia się na stole lampę naftową. O czym opowiada lampa naftowa? Mnie o okresie na styku dzieciństwa i wczesnej młodości. Rzeczy widziane, odkryte, odczuwane „u progu” należą do naszej najtajniejszej mitologii. Poezja polega na tym chyba, że w dojrzałym wieku usiłuje się przywrócić rzeczom i uczuciom tę ich jedyną daną wyłącznie w pierwszym dotknięciu. Co nazywamy ewokacją, cofaniem się w czasie, jest próbą zobaczenia na nowo, po raz drugi, świata w jego postaci przedustawnej. Więc w domku nad stawem nie było elektryczności, i tam wieczorami powstawał Świat z Pierwszych Elementów. Słowo stanowiło więcej niż znak. Staw, Łąka, Las, Młyn, Miłość, Nienawiść, Lęk — prawie kategorie czyste, „same w sobie”, bramy do nietkniętych niczyją stopą rejonów. Dopiero później otwiera się „rzeczywistość”, a wraz z nią spychane są gdzieś głęboko jasnowidzenia, naiwne symbole, zaklęcia magiczne. I całe dojrzałe życie tęskni się do tej jedyności, czystości, tajemniczości spojrzenia, które obywa się bez słów aż do swego niepowrotnego zniknięcia. Niepowrotnego? Powroty zdarzają się niekiedy wielkim pisarzem, twórcem mitów.

Od wielu lat skąpa ziemia na wyspie nie jest uprawiana, jeśli nie liczyć rzadkich ogródków warzywnych. Dawne winnice i półka uprawne zdziczały, zarosły chwastami, nie ma się nimi kto zajmować. Bardziej przedsiębiorczy mieszkańcy uciekli, na kontynent bądź za granicę. Zostali niezaradni, odkładając zarobione podczas sezonu pieniądze na bezczynną resztę roku. Wszystko sprowadza się z Sycylii lub z kontynentu, na wyspie wypieka się jedynie chleb. Ale i ci nawet co pozostali, wynoszą się w większości po sezonie na dorywcze sycylijskie saksy. Jesienią i zimą wyspa pustoszeje. W części gdzie mieszkam,

między cmentarzem i wioską prehistoryczną, dwie zaledwie rodziny oczekują cierpliwie wiosny. *La vita si ferma, tira solo il vento*. Życie zamiera, dmie tylko wiatr. Eolski wiatr.

Dragonea, 14 lipca

Może tylko jeszcze na wsi, gdzie obcowanie z Naturą jest ciągle i stanowi istotę życia, Zło zachowało charakter czegoś oddzielnego i autonomicznego, z całą swoją symboliką zależną od lokalnych podań. Okolice Dragonei są obszarem Węża. W zeszłym roku, w głębokim wąwozie za wsią, widziałem gromadkę chłopów odnawiających ochotniczo zrujnowany kościółek, który dwa wieki temu zbudowano nad ciemną grotą na zboczu wzgórza dla upamiętnienia długoletnich zmagañ świątobliwego pustelnika z Wężem. Mój sąsiad spotkał przed laty Węża, o opierzonym łbie i ognistych ślepiach, przy wejściu do pieczary u stóp Zamku w Cava. Zdrętwiał, ugięły się pod nim nogi, starczyło mu jednak sił by wystrzelić z dubeltówki. Było to w samo południe, w południe słonecznego pożaru bez płomienia, nie wiedział zatem co naprawdę spłoszyło Wiecznego Wroga: wystrzał czy równoczesne bicie dzwonów w pobliskich kościołach. Przywłókł się do domu półżywy, zwałił się na łóżko i w ciągu kilku dni nie potrafił wykrztusić słowa; mowę zastąpił mu „jakiś diabelski charkot”. A teraz, odkąd bywam w Dragonei, znika co pewien czas na dzień dwa; opowiadają, że wafęsa się lub czatuje bez ruchu u skalnego podnóża Zamku. Jest na małą skalę miejscowym Achabem, ścigającym dragonejskiego Białego Wieloryba. Wiernym synom ziemi i morza Melville, gdyby go znali, trafiałby łatwo do przekonania i wyobraźni. Tkwi w nich, pod cienką i głównie obrzędową skorupką chrześcijaństwa, pogańsko-biblijne skrzyżowanie w wizerunku Zła. Nie walki Boga z Szatanem w każdej ludzkiej duszy, lecz Bestii która czyha na człowieka z morskich otchłani i ziemskich czeluści.

Melville był pisarzem mitotwórczym, nie dbał o psychologię, pociągały go parable biblijne. *Moby Dick* był jego potężnym jak huk morza arcydziełem, *Billy Budd* jego krótkim i przejmującym doskonałym śpiewem łabędzim. Billy Budd, wcielenie Dobra; Claggart opętany przez Zło; De Vere, który niewinnego chłopca składa w ofierze na ołtarzu Prawa niczym Abraham Izaaka. W tym misterium na trzy głosy Piękny Marynarz przemawia głosem barbarzyńcy. „Nie żeby Billy Budd był niezdolny, jak dzieci, myślą ogarnąć śmierć; nie odczuwał po prostu żadnego lęku irracjonalnego przed śmiercią, gdyż strach ów szerzy się bardziej w społecznościach cywilizowanych niż w tak zwanych

barbarzyńskich, o wiele bliższych prawdziwej Naturze; a jak się rzekło, Billy był autentycznym barbarzyńcą”. Melville kochał dobrego barbarzyńcę za naturalną prostotę jego duszy. Dusza chrześcijańska jest bezradna i zablakana, gdy w lęku przed śmiercią brak jest zgody na cierpienie i światła miłości. Dusza naturalna samookreśla się jednym wyłącznie odruchem: zgrozy w obliczu tajemnicy Zła.

22 lipca

Czasy zarazy podsycaly zawsze przekonanie o istnieniu czynnika diabolicznego w dziejach świata. Kronikarze i historycy są zgodni, że z wygasaniem wielkich dżum unosił się nad ogromnym cmentarzyskiem w oczach ocalałych Diabeł: chwilowo uchodzący, gotów jutro wrócić. Szalała deprawacja, rozprzegały się obyczaje, instynkt życia pchał ku zapomnieniu, lecz jak namuś po odpływie mętnej fali opadało na dno serc poczucie tragizmu losu ludzkiego.

W książce Nohla *The Black Death*, w rozdziale zatytułowanym *The Diabolic Element in the Plague*, czytam fragment kroniki z okresu Wojny Trzydziestoletniej.

Dzuma szła w parze z rosnącym głodem. We wsi Wollsin mieszkał z żoną i dwoma synami człowiek zacny, pobożny i powszechnie szanowany nazwiskiem Burghard. Gdy śmierć głodowa zajrzała im w oczy, Burghard kazał synom przygotować się do drogi. Żonie powiedział, że wyruszają do miasteczka Lippäen; jeśli znajdą tam środki do życia, zavezwą ją do siebie. Tak jednak byli osłabieni, że wieczorem dotarli zaledwie do sąsiedniej wsi Kleinbroeden, gdzie przed miesiącem zmarł na dżumę z całą rodziną brat Burgharda. Okazało się, że nie całą. Zastali w chacie młodą kobietę na barłogu, wycieńczoną, z urodzonym trzy dni temu niemowlęciem przy piersi. Była to siostrzenica Burgharda. Poprosili ją o coś do jedzenia. Odpowiedziała, że żywi się od tygodni gotowanym zielskiem; i że nawet zielska nie może koło chaty zebrać, odkąd zległa. Dała im klucz od spizarni, na dowód że mówi prawdę. W tym miejscu kronikarz wtrąca uwagę o głodzie, który „ludzką naturę trzech mężczyzn przemienił w wilczą”. Poszeptali w kącie, po czym „wnieśli diabelski krzyk podobny do wycia”. Burghard zbliżył się do legowiska siostrzenicy i ożwał się do niej w te słowa: „Módl się do Boga, poleć Mu swoją duszę i błagaj Go o zmiłowanie. Musimy cię zabić, aby zaspokoić nasz głód”. Odparła: „Zabijcie mnie, ulitujcie się przeciw nad moim dzieckiem. Ja i tak

umieram. Boże miłosierny, oddaję się w Twoje ręce". Rzucili się na nią z nożami. Nie broniła się i nie wydała jęku. Pierwszy głód zaspokoili płatami surowego mięsa, resztę odcięli od kości, zasolili i upchali w worku. Nazajutrz wrócili do domu. Burghard okłamał żonę, że udało mu się przydybać po drodze zdzi-  
czalą owcę. Ponieważ zabita kobieta była już zarażona dżumą, umarli wszyscy czworo wkrótce potem. Ostatni zmarł młodszy syn, przyznawszy się do zbrodni i złożony w więzieniu w Lippäen dokładne zeznanie „o tym czego, będąc w mocy Diabła, dokonał wespół z ojcem i starszym bratem”. Spisano je i przybito do wrót kościoła „ku wieczystej pamięci ludzi”. W chacie w Kleinbroeden znaleziono martwe dziecko i razem z zawartością worka pochowano na cmentarzu.

### 23 lipca

W dwadzieścia lat później narodziły się dwie przeciwstawne legendy, o których wspominają inni autorzy. Wspólne w nich było to, że dziecko siostrzenicy Burgharda zabrał ktoś z chaty w Kleinbroeden i cudem uratował. Chłopcu nadano imię Wolfgang. Uciekł z domu w wieku piętnastu lat. Długo myślano, że przepadł bez śladu. Potem zaczęły krążyć, powtarzane to z trwogą to z przejęciem, owe dwie legendy.

Według pierwszej stanął na czele bandy młodocianych zbójców. Palili wsie, mordowali ludzi nie oszczędzając starców i dzieci, wpadali do kościołów i niszczyli ołtarze. W ich okrucieństwie, w zaciekłości z jaką wdeptywali w ziemię krucyfiksy i święte obrazy, było coś szaleńczego. Długowłosi, brudni, okryci łachmanami, nosili na piersiach medaliony z napisem „Wróg Boga, litości i miłosierdzia”. Po każdym najeździe zwykli tańczyć dokoła ogniska i śpiewać ni to pieśni ni hymny. Podawali się za zwiastunów świata oczyszczonego krwią i ogniem, wolnego od grzechu i nareszcie sprawiedliwego. Łatwo w tej legendzie dostrzec wątki przechwycone z przeszłości. Po wielkiej dżumie w czternastym stuleciu, która wyludniła pół Europy, zjawili się na widowni Lucyferianie. Połączyli się z sektą Braci Wolnej Myśli, przyciągnęli sporo braciszków z zakonów żebraczych. W Niemczech grabili, łupili i urządzali rzezie pod wodzą Wernera z Urslingen. W innych krajach poznawano ich po tym, że wiernym w kościołach przerywali Ojcie Nasz okrzykiem: „Któryś jest w niebie dzięki przemocy i niesprawiedliwości!”. Harmonię świata, utraconą z winy samozwańczego Boga, miał przywrócić sprawiedliwy Lucyfer.

Przeciwstawna legenda jest krótka, oparta na motywie Drugiego Przyjścia. Wolfgang występuje w niej jako wędrowny kaznodzieja, nawołujący do miłości. Ma twarz Chrystusa, mówi cicho i powoli, z oczu ciekną mu często łzy. Legenda nazywa go *Der weinende Wolfgang*.

### 25 lipca

Jeśli potworności naszego stulecia uznać za wielką dżumę, co z minionych wieków przeniknęło do współczesności? W każdym razie nie tragiczna obecność sił demonicznych. Zapewne, mamy w literaturze *Doktora Faustusa* Manna i *Mistrza i Małgorzatę* Bułgakowa. Mamy też od niedawna na rodzimym podwórku *Mój Wiek* Wata, w którym „diabeł komunizmu” wyeksponowany jest aż do historycznych granic halucynacji w stylu kalendarza ludowego. Ale świadomość nowoczesnego człowieka pozostała, na przekór katastroficznym i apokaliptycznym wizjom przyszłości roztaczanym przez *science fiction*, w niewoli dziewiętnastowiecznego „prawa naukowego” postępu. Albo, jak przebakują nieśmiało bardzo nieliczni, zamaskowanego biesa postępu. Zanika podskórna wiara że Zło można oddalić, nie można go pokonać; usycha ukryty głęboko korzeń tragizmu naszej egzystencji. Reck-Malleczewen przytacza w swoim dzienniku ironiczne powiedzonko hitlerowców: „Rzymski papież usiłuje nam wmówić, że wymiar tragiczny jest częścią świata”. Ironia podzielana w pełni przez pogromców hitleryzmu. I o tyle dziś zbędna, że „rzymski papież” nie usiłuje już niczego nikomu „wmówić”. Niekiedy tylko, jakby budząc się ze złego snu, mający o „strasznym i żywym wciąż Księciu Ciemności”. Dobrze gdy odpowie-  
dział są wówczas smętne uśmiešky, jakimi kwituje się nagłe ataki senilnej czkawki. Na ogół puszcza się te majaczenia mimo uszu.

### 28 lipca

Utarło się mówić w związku z dziełem Kafki o prefiguracji Państwa-Lewiatana, o człowieku który nie działa lecz jest działany przez anonimowe i wszechmocne siły. Słusznie. Ale ja, ilekroć myślę o Kafce, powtarzam sobie w duchu jego list do Oskara Pollaka z roku 1903: „Jesteśmy opuszczeni jak zabłąkane dzieci w lesie. Kiedy stoisz przede mną i patrzysz na mnie, co wiesz o moich bólach i co ja wiem o twoich? A gdybym



padł przed tobą na kolana i płakał i opowiadał, co wiedziałbyś o mnie więcej niż o piekle, które ktoś określił ci jako gorące i straszne? Już dlatego my ludzie powinniśmy stać naprzeciw siebie tak zamyśleni i współczujący, jak przed wejściem do piekła”.

Pisząc ten list, Kafka miał dwadzieścia lat. Całkowita wzajemna nieprzejrzystość ludzi; całkowite zamknięcie jednych przed drugimi, przy równoczesnej pewności że każdy z nas zamyka w sobie własne piekło; niezdolność języka do wyrażenia, czy choćby zakomunikowania indywidualnych bólów. Żadna z postaci występujących w przypowieściach i metaforach Kafki nie ma twarzy, żadna nie próbuje nawet odsłonić swego wnętrza. W jego utworach panuje szczególna atmosfera obrządków, których prawdziwy sens jest niezupełnie uchwytny dla samego autora. Kafka uważał swoje pisarstwo za „środek zbawienia” i „formę modlitwy”. Od kogo lub czego spodziewał się zbawienia? Do kogo lub czego się modlił? Jego list każe pamiętać, że nie spodziewał się zbawienia od nikogo i niczego. A modlił się do impulsu modlitwy, jakby to ona była prądem języka ludzkiego.

30 lipca

Antonello da Messina namalował trzy *Ecce Homo*. We wszystkich Chrystus płacze, chociaż tylko w jednym widać łzy na policzku, a w dwóch pozostałych Antonello poprzestał na wzbierającym szloch, który lada chwila wybuchnie. Przerażony i umęczony wzrok, usta wykrzywione w grymasie skargi. Leonardo Sciascia, świetny pisarz i rodak sycylijskiego mistrza, twierdzi że w tych trzech obrazach do głosu doszedł „obiektywizm” obserwatora. Antonello studiował ludzi racjonalnych nieszczęściem. I zdołał utrwalić wyraz tępego bólu, maskę fizycznego cierpienia, bez światła boskości, bez aury właściwej męce Odkupiciela, po prostu z naciskiem na okropność tortury, na okrucieństwo oprawców i szyderstwo gapiów.

W dwóch *Ecco Homo*, w Piacenzy i w Genui, rzeczywiście ukazuje się Chrystus odarty z boskości, wyłącznie ludzki. Ale w trzecim, nowojorskim, pojawia się dziwna domieszka. Kto i gdzie stawał obok siebie Hioba i Chrystusa? Pod tym obrazem Antonello mógłby być swym kaligraficznym pismem przerzucić pomost do Księgi Hioba: „Odezwe się w bólu mej duszy!... Odwróć Twój wzrok, niech odetchnę, nim pójdę, by nigdy nie wrócić, do kraju pełnego ciemności, do ziemi czarnej jak noc...”.

Neapol, 15 sierpnia

W okresie *Ferragosto*, szczytu sierpnia i lata, miasta takie jak Neapol i Rzym budzą rozdwojone uczucie zachwytu i niepokoju. Zachwytu, bo dorodnieją wyludnione, odsłaniają uroki niewidoczne lub przeoczone w tłumie, wynurzają się na krótko z chaosu i nieprzytomnej wibracji życia. Niepokoju, bo nagle wyludnienie stwarza atmosferę martwoty, samotności, przedsmaku śmierci. Kto w *Ferragosto* patrzy na zneruchomiałą Rzym z któregoś z wysokich *belvedere*, kto w starym Rzymie zapuszcza się w uliczki ogołocone z przechodniów i o ślepych oknach we wszystkich domach, powinien wiedzieć że w cienistym, dusznym i lepkiem skwarze czterech ścian za żaluzjami lęgną się często w głowach nielicznych pozostałych w mieście myśli o samobójstwie. Potwierdzają to statystyki, w których mowa o gwałtownym, niepohamowanym, sierpniowym „paroksyzmie samozniszczenia” wśród tych co z miasta nie chcieli czy nie mogli uciec. Znam w Neapolu wypadki ludzi, zabitych przez sierpniową pustkę. I znam z własnego doświadczenia westchnienie ulgi, gdy pod koniec miesiąca ożywają powoli ulice i zaułki.

Wieczorem wypełzłem z domu i potoczyłem się spadzistym zaułkiem nad morze. Próżne były nawet ławki, które obsiadają zwykle prostytutki w oczekiwaniu na zmotoryzowanych klientów. Zapaliła się pajęczyna świateł na Posillipo i w górnym Neapolu. Kilka żaglówek przyszpilonych, jak zabawki dziecinne, do gładzizny zatoki. Dwadzieścia dwa lata w tym mieście ani pięknym ani brzydkim, ani lubianym ani nienawidzonym; obojętnym. Trzydzieści osiem lat temu leżałem w trawie naszego dawnego sadu, słuchając szumu rzeczki płynącej od upustu. W dwa tygodnie później dopadł mnie w tym samym miejscu daleki huk bomb w stronie Skarżyska. I tyle ocalało, tyle trzeba nieść dalej: „ciemną miłość najniezszczęśliwszej ziemi”.

Wenecja, 29-31 sierpnia

Henry James, chociaż zakochany w Wenecji, miewał od czasu do czasu przychyłki zniechęcenia. „Wenecja jest rozległym muzeum, gdzie mała furtka odmyka się i zamyka bez ustanku ze skrzypieniem, wchłaniając stada zwiedzających. Niczego nie można już tu odkryć czy opisać, oryginalność spojrzenia staje się nieziszczalnym marzeniem. Po dwóch tygodniach ogarnia przybysza nuda okrętowa, jakby był skazany na wieczne dreptanie między ogromnym salonem Placu Świętego Marka i spacerowym

pokładem *Riva degli Schiavoni*". Dzisiaj to ciche i delikatne jęknięcie brzmi jak wzruszający anachronizm; a melancholijna pocztówka wenecka James'a jest pozółkłym dagerotypem. W miesiącach letnich nie „muzeum ze skrzypiącą furtką”, lecz coś w rodzaju stałego *Expo* z masowym dobijaniem się do bram; i nie „dreptanie” od salonu do promenady, lecz „tratujemy Wenecję”.

Admiratorzy Wenecji, do których należą, rzadko zdają sobie sprawę że nie była ona wcale przedmiotem bezkrytycznej fascynacji ze strony wszystkich sławnych gości. W zgrabnej książeczce *Venice Observed* Mary McCarthy zestawia listę „chłodnych”: od Montaigne'a, poprzez Stendhala (bawił w mieście krótko, nie zdobył się na słówko bodaj komentarza i uciekł do Padwy), Spencera i Gibbona do D. H. Lawrence'a. Poeta wenecki Diego Valeri odnotowuje w *Guida sentimentale di Venezia* kwaśną reakcję Melville'a podczas przejazdu „królewską drogą” *Canal Grande*. Szukając klucza do tego chłodu, natrafia się na ciekawą wskazówkę monotonii i banalności weneckich porównań. Sztance są niezliczone: *Canal Grande* — gigantyczny węgorz, gondole — barki żałobne lub czarne łabędzie, fasada Bazyliki — marmurowa piana, pałace nad kanałami — kamienne tkaniny, kolumnady w frontonach — misterne koronkarstwo, całe miasto — atol ulepiony przez rój „koralotwórczych” budowniczych. Porównania, w których główny nacisk spoczywa na sztuczności, teatralności Wenecji. To właśnie, z winy schematycznej łatwizny literackiej, odpychało i dalej odpycha „chłodnych”: Wenecja jako rozrzutna dekoracja teatralna, miasto pozbawione realności, wzniesione z malowanego kartonu, zamieszkałe przez aktorów i statystów.

Wystarczy jednak uwolnić się od Wenecji karnawałowo-widowiskowej, zanurzyć się w niej nocą lub o świcie, przyjechać tu jesienią czy zimą, aby zrozumieć czym jest naprawdę. Snem śnionym na jawie. Zdaje się że kiedyś już nazwałem ją tak w dzienniku, ale nie wychodząc poza samą definicję o cechach wyznania sentymentalnego, które nie wymaga objaśnień. Co jest istotą snu — realność spotęgowana, natężona, intensywna, w połączeniu z ustawiczną zmiennością, kruchością i ulotnością — stanowi także istotę Wenecji. Nie ma na świecie miasta równie konkretnego, naładowanego życiem, i zarazem równie iluzorycznego, uwikłanego w sieci ech, odgłosów, światłocieni, lustrzanych odbić. W jakiś sposób Wenecja jest obrazem naszej cywilizacji. Przebudzimy się z śnionego na jawie snu gdy *città lagunare*, Wenecja nie do ocalenia, obsunie się na dno morza.

Zaprosił mnie do Wenecji, trochę w roli konsultanta, Carlo Ripa di Meana, socjalistyczny prezydent Biennale, mój przyjaciel i niegdyś przełożony w jednym z wydawnictw włoskich. Chodzi naturalnie o *Biennale del dissenso*, wystawę poświęconą twórczości i działalności dysydentów w ZSSR i w Europie Wschodniej. Z rozmaitych względów historia tej imprezy zasługuje na opisanie jako lekcja w dwóch aktualnych dziś w Europie Zachodniej przedmiotach: starej włoskiej sztuki robienia pewnych drażliwych rzeczy tak, aby do nich w praktyce nie dopuścić, udając jednocześnie że je się w dobrej wierze robi; i nieco nowszej włoskiej (chadecko-komunistycznej) sztuki wkroczenia chyłkiem na ścieżkę „finlandyzacji”, przy strojeniu min pełnej niezależności narodowej i państwowej.

Łańcuszek wydarzeń zaczął się zimą, gdy ambasador sowiecki w Rzymie, dowiedziawszy się że Ripa di Meana projektuje *Biennale del dissenso*, stawiał się w Farnesina (włoskie MSZ) i tonem prokonsula, podobno bijąc pięścią w stół, oświadczył: „Ta impreza nie może się odbyć”. Ripa di Meana, wezwany do Farnesina, usłyszał to samo z ust ministra, oczywiście w grzeczniejszej odrobinie formie, z apelami do „poczucia odpowiedzialności” i „kategorycznego imperatywu nie przeszkadzania handlowi ze Wschodem”. Wybuchł skandal. Ripa di Meana podał się do dymisji. Wycofał ją potem, kiedy mogło się wydawać że przestraszeni chadecy i komuniści zeszytywnieli na pozycjach „niedopuszczalnego wtrącania się obcego mocarstwa do wewnętrznych spraw suwerennego kraju”. Były to pozory. W parlamencie ugrzęzła ustawa o dotacjach finansowych dla *Biennale del dissenso*, czyli zainicjowano proces straty drogiego czasu. Taktyka chadeków i komunistów stała się dość przejrzysta: zaaprobować chcąc nie chcąc Biennale, ale podstawiając imprezie na każdym kroku nogę, tak aby skończyła się jeśli nie całkowitym krachem, to przynajmniej pęknięciem nadmuchanej bańki mydlanej. Pod koniec maja zaproponowano zorganizowanie *Biennale del dissenso* we wrześniu, dobrze wiedząc że termin jest śmiesznie krótki i że na wrzesień akurat ambasador sowiecki podpisał z regionalnym rządem weneckim umowę o „sowieckich tygodniach kulturalnych” w Wenecji. Zbyteczne dodawać, że w zamiśle sygnatariuszy umowy głos *dissenso* miał być zagłoszony przez trąbę oficjalnej kultury sowieckiej. Ripa di Meana wysunął wiosną 1978. Omotano go kruczkami administracyjnymi, które systemem przetargów zatrzymały się na miesiącu od 15 listopada do 15 grudnia 1977. Termin wciąż zbyt krótki, ale dający pewną możliwość wykonania planu organizatorów.

Zastałem w Wenecji atmosferę, eufemistycznie mówiąc, osobliwą. I dość pouczającą (o czym później) dla obserwatorów,

którzy wychodzą ze skóry żeby „rozszyfrować” Europę Zachodnią 1977 „ożywioną” zastrzykiem „eurokomunistycznym”.

Z jednej strony chadecy i komuniści ze swoimi „tak, ale” i „nie, ale”, przy czym nie bardzo wiadomo kto jaką stosuje dewizę. Fundusze do dyspozycji *Biennale del dissenso* są, przynajmniej chwilowo, humorystyczne. Wielki przemysłowiec Marinotti, proszony o udostępnienie *Palazzo Grassi* na wystawę książki, odpowiada suchym „nie”, zaniepokojony niby to „kontrowersjami i polemikami” wokół imprezy, w rzeczywistości zgjęty także w pół przed „kategorycznym imperatywem nie przeszkadzania handlowi ze Wschodem”. Leninowi należy się pochwała za jego przenikliwość: „Kapitałiści zachodni sprzedadzą nam w podskokach sznur, na którym ich powiesimy”.

Z drugiej strony Ripa di Meana i jego współpracownicy w wyścigu z czasem. Codziennie napływają dziesiątki zgłoszeń od pisarzy, uczonych i artystów rosyjskich, wschodnioeuropejskich (na emigracji) i zachodnich (wrażliwych na problematykę dysydencką); istnieje ostrożny kontakt z dysydentami w ZSSR i w kadeelach; plan *Biennale del dissenso* jest przemyślany i inteligentny, z podziałem na szereg sekcji, wystaw i pokazów. Rzecz jasna, w połowie listopada nie odstoi się w Wenecji cała góra lodowa innej kultury na Wschodzie, za mało na to czasu; lecz nawet jej wierzchołek powinien uzmysłwić słuchaczom i widzom zasięg i wagę zjawiska.

A morał weneckiej powiastki? W roku „praw ludzkich” proklamowanych przez Cartera, w roku „weryfikacji” Helsinek w Belgradzie, *Biennale del dissenso* odbędzie się (jeżeli się w końcu odbędzie) jako wyzwanie rzucone włoskiemu „kompromisowi historycznemu” w akcji, zmovie włoskich chadeków z włoskimi komunistami. Marnuje się czas i energię, walcując do znudzenia „kryzys czy zgon marksizmu”, ekscytując się książkami francuskich „nowych filozofów”. Jesteśmy już na następnym etapie. We Włoszech wypróbowuje się, na fali „eurokomunistycznej”, model zachodnio-europejskiego reżymu przyszłości. Reżymu, który dzięki ekskluzywnej spółce konserwatywno-komunistycznej ukróci nareszcie rozpasaną zanadto wolność i wkupi się w łaski Moskwy w charakterze poważnego, trzeźwego, realistycznego, sfinlandyzowanego partnera...

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Indiańscy intelektualiści (Dok.)

Na wąskich trotuarach starej dzielnicy Mexico, czasami, przy samej jezdni i na szerszych trotuarach eleganckiej Zona Roza, siedzą kobiety w szerokich spódnicach, w haftowanych bluzkach ze sznurami bardzo świecących koralu. Niemowlęta zawinięte w *rebosos*... kilkoro małych dzieci pełza naokoło. Niektóre z nich sprzedają owoce, przeważnie jabłka i brzoskwinie, inne — ogromne włoskie orzechy z wylupanymi misternie „okienkami”. Z owoców i orzechów ustawiają pedantyczne piramidy i tak siedzą godzinami wpatrzona w te swoje budowle, skupione i milczące. Czasem coś sprzedadzą, częściej nie. Niektóre z nich nieśmiało zebrzą...

Kobiety te to prawniczki dawnych Mazahuów z legendarnego Mazahuanu, czy Popoloków, indiańskich szczepów, które prawdopodobnie wielkich kultur nigdy nie miały. Niektóre jednak to prawniczki wielkich Nahuów, Zapoteków, Mixteków i kto wie... może nawet ich sławnych władców, kapłanów, astronomów czy poetów...

Gdy na seminarium o Meksyku powiedziałam niedawno moim angielskim słuchaczom, że czasami wyobrażam sobie wnuczki Churchilla zebrzące tak na ulicach Londynu w Europie przyszłości, nie dotarła do nich w ogóle ta okropna wizja i nie zrozumieli o co chodzi nawet wówczas gdy im przypominałam, że nie tak dawno przecież Europa była o krok od podobnego unicestwienia.

Bez niezależnych (choćby tylko wewnętrznie), odpowiedzialnych i choćby w najluźniejszy sposób powiązanych ze sobą intelektualistów, żadne społeczeństwo o szerszej, ponad-etnicznej kulturze, naród, konfederacja czy państwo, nie może się utrzymać,

\* Ze względu na dyskrecję w stosunku do rozmówców niektóre dane osobiste są tu zmienione.

Pierwsza część artykułu była zamieszczona w nr. 5/320 w 1974 roku.

rozwinąć a tym bardziej nie może się odrodzić. Podtrzymywanie, przetwarzanie, obrona wartości danego ponad-etnicznego społeczeństwa to odwieczne zadania ludzi o szerszym niż przeciętnie wykształceniu i wizji. W niektórych epokach i krajach ludzie ci to rodowa arystokracja — w innych przywódcy ludowi; czasami rycerze, wojskowi, książęta; czasami poeci, naukowcy związani z centrami władzy a czasami rewolucjonistyczne podziemie czy rewizjonistyczne półpodziemie. Intelektualista jest zawsze *homo politicus* i cokolwiek powiedziałby o tym Karol Manheim wizja każdego intelektualisty ma w sobie zawsze elementy zarówno konserwatywne („ideologiczne”) jak i postępowe („utopijne”).

Ostatni intelektualista Azteckiego Imperium (czy też jak wolą inni „Konfederacji Anauak”) byli to rycerze, kapłani i artyści, dumna, uprzywilejowana i bardzo na ówczesne czasy kosmopolityczna arystokracja. Byli to ludzie z poczuciem misji dziejowej, intelektualnie wyrafinowani, bardzo zdyscyplinowani, wściekle odważni i jednocześnie bardzo dyplomatyczni. W Imperium swoim stworzyli totalitarną biurokrację, która pozwalała na bardzo daleko posunięty indywidualizm rządzących elit.

Według oficjalnej historii, obowiązującej w Meksyku przynajmniej od Rewolucji 1910 roku, ostatni cesarz Imperium, Cauhtémoc (młody, 26-letni, wykształcony w ekskluzywnym kolegium dla azteckiej arystokracji) jest największym meksykańskim bohaterem. Jedynym bohaterem „na poziomie sztuki” — według słów meksykańskiego poety; „Naszym Młodym Pradziadem” według podręczników historii i przemówień na akademiach narodowych. Ma on w Mexico swoją ulicę, ma pomnik w centrum miasta i każde dziecko miejskie wie o tym, że Cauhtémoc dostawszy się do niewoli po trzymiesięcznej obronie stolicy powiedział do Hernana Cortesa: „Zrobiłem wszystko co powinienem był zrobić w obronie mego Miasta i moich poddanych. Nie mogę zrobić nic więcej. Sprowadzono mnie tu przemocą jako więźnia. Wyciągnij z pochwy swój sztylet i zabij mnie jak najprędzej”.

Współczesne masy indiańskie niewiele jednak wiedzą o bohaterskim Cauhtémocu. Nie słyszeli o nim Mazahuowie, których studiowałam przez wiele lat i nie wiedziały o nim zapewne nic Indianki sprzedające owoce, orzechy i zebrzące na ulicach dawnego Tenochtitlanu. Może nawet jego własne prawnuczki nie wiedziałyby nic, bo przecież tradycja największych nawet rodzin czy dynastii zanika z czasem stłamszona prześladowaniami, nędzą, głodem, analfabetyzmem...

W oblężeniu Tenochtitlanu zginęła prawie cała ich arystokracja i czytając wiersze i kroniki tych niewielu którzy przeżyli (pisane w pierwszych dekadach po Podboju) odnosi się wrażenie, że była wśród nich jedynie rozpacz i duma (chęć udokumento-

wania wielkości zniszczonej Cywilizacji) ale nie było już siły do walki.

Czytając historię Nowej Hiszpanii i etnologiczną literaturę o meksykańskich Indianach odnosi się wrażenie, że ta dumna i odważna elita aztecka została pewno raz na zawsze zniszczona i że opór stawiany okupantom w czasach kolonialnych był jedynie spontanicznym oporem indiańskich mas, bez wodzów, bez kierunku, bez wizji przyszłości.

Przy dalszym grzebaniu się jednak w dokumentach z epoki kolonialnej i przede wszystkim po odrzuceniu narzucających się automatycznie analogii z europejskimi ruchami oporu, obraz ten przedstawia się inaczej. Jak się okazuje w nocy z 12 na 13 sierpnia 1521 roku, po trzymiesięcznej walce, gdy już wiadomo było, że Tenochtitlanu obronić się nie da, zebrała się po raz ostatni Wielka Rada Imperium (lub „Konfederacji”) i wydała mniej więcej taką odezwę do ludności Miasta:

„Zaciemniło się nasze słońce i już nas nie ogrzewa, wiemy jednak, że nastanie dzień, w którym zacznie nam znowu świecić. W międzyczasie zamknijmy nasze domy i zachowajmy w sercach wszystko to co kochamy, pamiętając jednak zawsze aby nasze dzieci wiedziały czym był Anauak i czym powinien być w przyszłości”.

Pragnący bogactwa, sławy i przekonani o wyższości kultury europejskiej i religii katolickiej, Hiszpanie starali się wszelkimi sposobami „dla ich własnego dobra” zeuropeizować Indian. Zastosowali masowe nawracania na katolicyzm prześladowanie „heretży i przesądów”<sup>1</sup>, zasadę *divide et impera* w stosunku do setek grup indiańskich, zdobywanie sobie zaufania wpływowych Indian przy pomocy nobilitacji, nadawania ziem i wielu innych zaszczytów. Polityka tego rodzaju, stosowana ze specjalnym zacięciem i wyrafinowaniem w stosunku do resztek arystokracji azteckiej, stworzyła naturalnie kolaborantów ale stworzyła także i bohaterów<sup>2</sup>.

Niektórzy książęta Nahuas<sup>3</sup> przyjmowali hiszpańskie nobilitacje, „honor” noszenia miecza i hiszpańskiego stroju, przywilej jeźdźdzenia na osiodłanych koniach czy mułach i przede wszystkim przyjmowali wielkie obszary ziemi, na których wielu z nich *modo*

1. Julio Jimenez Rueda, *Herejias y Supersticiones en La Nueva España*, Imprenta Universitaria, Mexico, 1946.

2. Kronikarze indiańscy wykształceni we franciszkańskim Colegio de Santa Cruz, niewątpliwie nie pisali całej prawdy i często starali się przypodobać zwycięzcom.

3. Terminy: Nahuas, Aztek używane są w tym artykule w odniesieniu do tej samej przed-kolonialnej ludności obecnego Meksyku, nazywanej również *Mexica*, co tłumaczone jest zwykle jako „Meksykanie”.

*hispanico* założyło ogromne hodowle owiec<sup>4</sup>. Mimo to, że nadal żenili się z arystokratkami azteckimi i przypuszczalnie obracali się w podobnych lub tych samych kręgach towarzyskich co przed Podbojem, ich rola społeczna i styl życia były już na pewno bardzo inne. Ich poziom intelektualny, odpowiedzialność i *prestige* wśród mas indiańskich musiały się naturalnie zmniejszać proporcjonalnie do absorbującej i popłatnej kolaboracji.

O bohaterstwie Indian w czasach wczesno-kolonialnych dowiadujemy się chyba najczęściej z archiwów Inkwizycji, która wkrótce po Podboju zaczęła tu swoją działalność. Indianie byli torturowani za ukrywanie „idoli”, za „kult demonów” lub „kontakty z diabłem”. W 1539 roku skazany został przez Inkwizycję i żywcem spalony wnuk Nezahualcoyotla, sławnego Króla-Poety z Texcoco, Omotochtzin Yoyontzin (ochrzczony, na pewno wbrew swej woli, jako „Don Carlos”). Oskarżony był nie tylko o kult Tlalolca, boga swych przodków, Tolteków, ale przede wszystkim o buntowanie Indian przeciwko okupantom hiszpańskim. Zachowały się w archiwach Inkwizycji fragmenty jego przemówienia:

„Ojciec mój i dziadek” — mówił podobno — „byli wielkimi prorokami. Od nich nauczyłem się wiele o naszej przeszłości i o tym co nam ofiarowuje przyszłość. Nigdy jednak nie przepowiedzieli tego co przeżywamy dzisiaj. Kim są ci nasi prześladowcy i jakim prawem gnębią nas i niszczą? Słuchajcie — to ja: Yoyontzin, a obok mnie widzicie Pana na Meksyku, Yoanizi — a tam dalej stoi mój siostrzeńiec Tezapilli, Pan na Takubie a obok niego Tlacahuapantli, Pan na Tuli i wszyscy uważamy, że naszą jest ta ziemia i nasze jest to państwo i do nas powinno należeć! O bracia, jestem rozgoryczony i oburzony! Kim są ci obcy, którzy przyszlizli rozkazywać nam i gnębić nas? Nie są nam równi, inna krew płynie w ich żyłach, nie są z nami spokrewnieni. O bracia, trzymajcie się z daleka od tych którzy kłamią i słuchają rozkazów naszych wrogów!<sup>5</sup>”

W moich dawniejszych rozmowach z indiańskimi intelektualistami<sup>6</sup>, potomkami najróżniejszych szczepów i narodów starałam się zrozumieć ich stosunek do Podboju i ich wizję przyszłości. Większość z nich, Indian z wyższym wykształceniem, którzy zwykle dopiero jako kilkunastoletni chłopcy wydostali się z zapadłych wsi, to „realiści” lub „pragmatyści”, jak sami o sobie

mówią. Wiedzą oni z własnego doświadczenia o nędzy i upokorzeniach mas indiańskich, zdają sobie sprawę, że jest to w dalszym ciągu konsekwencją Podboju, że ani Niepodległość ani Rewolucja nie dokonały prawdziwej dekolonizacji, w każdym razie z punktu widzenia mas meksykańskich a specjalnie Indian. Niektórzy uważają nawet, że wskutek eksploatacyjnych inwestycji zagranicznych a zwłaszcza amerykańskich, sytuacja się pogorszyła. Większość z nich to ludzie politycznie świadomi i politycznie aktywni. Z jednej strony stawiają oni na długodystansową politykę nacjonalistyczną (i dekolonizacyjną) rządu meksykańskiego, z drugiej strony sami na własną rękę starają się masom indiańskim pomóc. Zorganizowani są w liczne większe i mniejsze stowarzyszenia, oceniające i krytykujące indianistyczną politykę Rządu i pomagające indiańskim wsiom. Pracują oni rzeczywiście z wielkim osobistym poświęceniem, często ryzykując życie w starciach z prowincjonalnymi kacykami. Tylko nieliczni spośród nich (związani z bezsilną partią socjalistyczną, PPS, *Partido Popular Socialista*), myślą, dość mętnymi zresztą, terminami rewolucyjnymi raczej niż reformistycznymi. I jedni i drudzy, patrząc z perspektywy historycznej, przyjmują jednak jako punkt wyjścia nieodwracalność zasadniczego *status quo*, tego, że Meksyk od czasów Podboju jest nie krajem Indian lecz krajem metysów i że nie ma w nim żadnej szansy na odrodzenie się indiańskich kultur a tym bardziej indiańskich systemów politycznych. Akulturacja Indian, dalsze ich „modernizowanie” (czyli europeizowanie) pod egidą indiańskich intelektualistów i o ile to możliwe z zachowaniem szacunku dla lokalnych indiańskich kultur — taka jest chyba w streszczeniu platforma polityczna większości indiańskich intelektualistów w Meksyku, niezależnie od ich częstych „nierealistycznych” nostalgii.

Pod sam koniec dopiero moich badań sprzed czterech lat, za późno niestety aby te studia pogłębić, odkryłam tu jednak bardzo ciekawą indiańską sektę polityczno-mistyczną<sup>7</sup>, która stoi na zupełnie innym stanowisku niż indiańscy „realiści” czy „pragmatyści”. O tej sekcji słyszałam już poprzednio od kilku indiańskich intelektualistów, były to jednak raczej nostalgiczno-złośliwe plotki niż konkretne informacje. Prócz jednego tylko, osobiście poznanego członka tej dziwnej sekty, który po dziesięciodniowym

4. Charles Gibson, *The Aztecs under Spanish Rule*, Stanford University Press 1964, p. 155-6.

5. Julio Jimenez Rueda, *op. cit.*, str. 10.

6. Artykuł na ten temat ukazał się w nr. 5/320 *Kultury*.

7. Doskonałą analizę sekty polityczno-mistycznej można znaleźć w książce Luis Cosera *Hombres de Ideas*, Fondo de Cultura Economica, Mexico 1973 (angielski tytuł oryginału *Men of Ideas*).

namyśle zakomunikował mi że jednak lepiej abym swe badania ograniczyła do analizy ich pisma *Izkalotl*<sup>8</sup>, nikogo innego spośród, rzekomo licznych, Odnowiciele Anauaku jak dotąd nie znam. Rezerwa ta zresztą dobrze świadczy o grupie Odrodzenia Anauak, gdyby bowiem takie mistyczno-polityczne sekty były łatwe i szeroko otwarte, nie przetrwałyby zapewne nawet trzech lat, podczas gdy grupa ta podobno istnieje już od lat dwudziestu pięciu!

Przy pierwszej zresztą rozmowie, nie wiedząc jeszcze nic ani o Odnowicielach Anauaku, ani o ich piśmie *Izkalotl*, powiedziałam to, co zawsze mówię przed rozmowami tego typu. Zznaaczyłam, że zależy mi przede wszystkim na tym aby im w niczym nie zaszkodzić i że będę pisała tylko o tych rzeczach które mi sami udostępnią, ale naturalnie pisać będę z mojego własnego, nie z ich punktu widzenia, no i jak się da najobiektywniej. *Izkalotl* znaczy w języku nahuatl „Odrodzenie Anauak”. Anauak to ogromne, sięgające w momencie Podboju (1521) od Kalifornii do Hondurasu „Imperium Azteckie”, nazywane zresztą przez niektórych historyków i archeologów „Konfederacją”, tak jak jest nazywane na łamach *Izkalotl*. Termin „Imperium” jest dla Odnowiciele Anauaku terminem etnocentrycznym, przywiezionym przez Hiszpanów z Europy „gdzie przyzwyczaili się do tego stopnia do politycznego centralizmu i terroru, że nie byli w stanie zrozumieć pokojowej ekspansji, na której opierała się Konfederacja Anauak”. Stolicą Anauaku był Tenochtitlan (obecnie Mexico) — piękne miasto zbudowane na wodzie rozległych jezior, które Hiszpanie nazwali „Wenecją Amerykańską”. Mieszkańcami Anauaku byli nie tylko Aztecy (czyli *Mexicanos*), twórcy „Imperium” czy też „Konfederacji”, ale również wiele innych grup autochtonów amerykańskich (termin „Indianin” jest *tabu* dla grupy Odrodzenia Anauak) mówiących innymi językami, które „dołączyły się do Konfederacji” („zostały podbite i okupowane przez Imperium” według oficjalnej historii Meksyku) i które „dobrowolnie przyjęły wiele elementów wyższej bo prawdziwie uniwersalistycznej i opartej na zasadach naukowych, kultury Nahuatl”. Do tej reinterpretacji oficjalnej historii wróć jednak później.

Z punktu widzenia administracyjnego grupa Odrodzenia Anauak jest jednym z wielu stowarzyszeń meksykańskich zarejestrowanych w odpowiednim urzędzie, a pismo *Izkalotl* (miesięcznik wychodzący już od lat 13-tu w nakładzie rzekomo 3.000 do 4.000

8. *Izkalotl* — nazwa pisma znaczy w języku nahuatl „Odrodzenie Anauak”. Członkowie tej grupy nazywają się również „Odnowicielami Anauaku”. Pismo redagowane jest po hiszpańsku, stara się się jednak propagować język nahuatl, oficjalny język dawnego Imperium Azteckiego czy też Konfederacji.

egzemplarzy) można znaleźć w tych bibliotekach państwowych, które otrzymują wszystkie oficjalne pisma i druki.

Z punktu widzenia socjologicznego grupa Odrodzenia Anauak jest polityczno-mistyczną sektą o ideologii rewindykacyjno-rewizjonistycznej. Jak wiele sekt tego typu (masoneria czy Saint-Simoniści na przykład) prowadzi i jawną i tajną działalność. Rytuły są ekskluzywne i tajne, i tajne są również posiedzenia „Najwyższych Wtajemniczonych”. Działalność polityczna, sądząc w każdym razie z tego co się o niej pisze w *Izkalotl*, jest jawna i stara się objąć jak największe kręgi meksykańskich autochtonów, zdefiniowanych zresztą bardzo szeroko jako „wszystkich mieszkańców Meksyku i innych krajów, których przodkowie pochodzą z dawnego Anauak”. W 1966 roku Odnowiciele Anauaku zorganizowali partię polityczną o dwuznacznej nazwie *Partido de Mexicanidad*, Partia Meksykańskości<sup>9</sup>. Nazwa ta jest dwuznaczna, bo *Mexicano* znaczy jednocześnie i „Aztek” i „Meksykanin” czyli obywatel dzisiejszego Meksyku, który może nie mieć ani kropli krwi azteckiej i ani cienia sympatii do indiańskość swego kraju. Dwuznaczność i wieloznaczność są, jak wiemy, wielkimi atutami propagandowymi ideologii politycznych. Dwuznaczność terminu *Mexicano* i *Mexicanidad* (Meksykańskość) gra niewątpliwie ważną rolę w ideologii grupy Odrodzenia Anauak. Odezwy tej grupy zaczynają się zwykle od „Mexicanos” (Meksykanie), tak samo jak się zaczynają odezwy Prezydenta Meksyku i przywódców oficjalnych partii politycznych. Nazwiska członków redakcji *Izkalotl* figurują na okładce i artykuły są zwykle podpisywane. Członkowie Prezydium grupy Odrodzenia Anauak (nazwanej *El Gobierno* — Rząd) — rzekomo bardzo liczna grupa wtajemniczonych w różnych stopniach — są tylko częściowo znani i otacza ich aura tajemniczości. Od jednego z intelektualistów indiańskich nienależących do tej grupy (pochodzenia nieazteckiego) słyszałam, że owo Prezydium jest rzekomo „podziemnym rządem” Nahuów, pragnących rekonstrukcji Imperium w granicach z roku Podboju i że grupa ta nie uznaje Rządu Meksykańskiego. Nie znalazłam jednak potwierdzenia tej opinii na łamach *Izkalotl* i nie wydaje mi się to ani potrzebne z punktu widzenia grupy Odrodzenia Anauak ani prawdopodobne. Aura tajemniczości, która otacza owo Prezydium wzmocniona jest starodawnymi i kontynuowanymi (lub „odrodzonymi” przez Odnowiciele Anauak) wierzeniami religijnymi, nazywanymi na łamach pisma „zasadami

9. *Izkalotl* w jednym z numerów drukuje Notę Redakcji, z której dowiadujemy się, że wielu intelektualistów meksykańskich odniosło się bardzo entuzjastycznie do idei propagowania „Meksykańskości”, dowiedziawszy się jednak, że chodzi o kulturę aztecką a nie współczesną, meksykańską, wycofało swój entuzjazm i współpracę.

naukowymi” lub „filozoficznymi”. Wedle tych wierzeń człowiek nie umiera lecz „powraca do natury”. Powrót ten odbywa się poprzez siłę witalną (*Omeyotl*) koncentrującą się w momencie tak zwanej „śmierci” w kropli krwi umierającego. Kropla ta wraca do Słońca (Słońce-*Teotabtzin* było najważniejszym bóstwem dawnych Azteków) tam się oczyszcza i uaktywnia i wraca na ziemię wcielając się w nowonarodzonego, i zawsze lepszego i bardziej witalnego, człowieka<sup>10</sup>. Tajemniczość Prezydium Odrodzenia Anauak staje się jeszcze bardziej zrozumiała gdy dowiadujemy się że... w Prezydium tym zasiadają nie tylko żywi ale również, wedle naszych pojęć, umarli — bohaterzy i prorocy dawnych Nahuów... Członkowie tego dziwnego Prezydium poprzez „kontakt” z prorokami i bohaterami dawnych Nahuów formułują swe „objawione cele” i do nich dostosowują swą działalność<sup>11</sup>. Odnawiciele Anauku odwołują się jednak nie tylko do tego autorytetu — w naszym pojęciu nadprzyrodzonego — opierają oni również swą działalność na autorytecie Instytutu Badawczego Kultury Nahu<sup>12</sup>, który w pierwszych latach swego istnienia zajmował się głównie standaryzacją języka nahuatl i uczeniem tego języka poprzez kursy na różnych poziomach, tak aby „wszyscy Nahuowie, którzy zapomnieli swego języka nauczyli się go jak najprędzej” język ten bowiem ma być kiedyś językiem oficjalnym Odrodzonego Anauaku... Czasopismo *Izkalotl* prowadzi obszerną kolumnę lingwistyczną. Uczenie języka połączone jest z uczeniem historii kultury Nahu<sup>12</sup>, z sugestiami, w jaki sposób można je dostosować do dzisiejszych czasów, nie tracąc tego co w nich najważniejsze.

Próba jak najszybszego znahuazowania „wynarodowionych Nahuów” — to najważniejsze zadanie grupy Odrodzenia Anauak przy czym trudności powrotu do własnej kultury „po przeszło 400-tu latach forsownej polityki denacjonalizacyjnej okupantów”, stale są podkreślane na łamach pisma. W roku 1964 Instytut Kultury Nahu<sup>12</sup> zaprojektował stworzenie szeregu Akademii (Akademii Filozofii, Sztuki, Śpiewu, Tańca, Literatury, Rzeźby, Filologii, Biologii, Nauk Ścisłych, Etnohistorii i Akademii Prawa). Sądząc ze sprawozdań z działalności tych Akademii, niektóre z nich (kilka pod kierownictwem ludzi z tytułami doktorskimi) są bardziej aktywne niż inne. Większa aktywność Akademii Filozofii, Filologii i Prawa wydaje się związana z hierarchią celów grupy Odrodzenia Anauak: powrót do języka nahuatl, rekonstrukcja kosmogonii dawnych Nahuów oraz ich instytucji administra-

10. *Izkalotl*, listopad 1963.

11. *Izkalotl*, styczeń/luty 1961.

12. *Izkalotl*, wrzesień 1960.

cyjnych zwłaszcza *calpullis*, komunalnych (ale nie komunistycznych jak to zaznacza często *Izkalotl*) społeczności, które praktykowały rzekomo „prawdziwą reprezentacyjną demokrację, znacznie efektywniejsza od jakiegokolwiek wymyślonej gdzie indziej”.

Chociaż ideologia grupy Odrodzenia Anauak jest konfederacyjna raczej niż nacjonalistyczna i „antyrasistowska”, co podkreślane jest na każdym kroku, jednakże czystej krwi Aztecy uważani są za awangardę kulturalną i polityczną tej grupy, za prawdziwych kontynuatorów tradycji, mających najbliższy kontakt z prorokami i bohaterami dawnych Nahuów, którzy „wróciwszy do natury pracują nad Odrodzeniem Wielkiego Anauaku”. Być może (ale tego nigdy nie widziałam czarno na białym), że do owej grupy tajemniczego Prezydium Odrodzenia Anauak należeć mogą jedynie czystej krwi Nahuowie a może nawet jedynie ci, którzy mogą się wykazać odpowiednimi genealogiami. Nacisk na ciągłość genealogii arystokracji azteckiej można zaobserwować w wielu artykułach *Izkalotl*.

Na niższych szczeblach organizacja Odrodzenia Anauak jest jednak bardzo szeroko otwarta i zaprasza a nawet rekrutuje wszystkich mieszkańców obu Ameryk, którzy mają choćby kroplę krwi indiańskiej a nawet takich, którzy tej krwi nie mają ale chcieliby żyć w „Odrodzonym Anauaku” i gotowi są dla przyszłości Anauaku pracować. Tutaj nawiązuje się do cywilizującej misji dawnych Nahuów i do ich tradycji uniwersalistycznych. Ponieważ nie ma i nie było według *Izkalotl* cywilizacji o wyższych moralnych i intelektualnych walorach niż cywilizacja Nahu<sup>12</sup>, „bardzo prawdopodobne, że po wyzwoleniu Wielkiego Anauaku, nastąpi również przy jego pomocy wyzwolenie wszystkich autochtonów Ixachilan, czyli całej Ameryki.<sup>13</sup>” i że kultura Nahu<sup>12</sup> rozprzestrzeni się z czasem na cały świat. Kontakty z Nahuami rozproszonymi po obu amerykańskich kontynentach oraz z innymi grupami amerykańskich Indian podkreślane są często na łamach *Izkalotl*. Listy członków i sympatyków Odrodzenia Anauak zamieszkujących w Nowym Jorku, Argentynie czy Boliwii drukowane są w *Izkalotl* często. Jedną z ciekawych cech tego czasopisma jest jego dwutorowość. Z jednej strony artykuły pisane są przez ludzi z wyższym wykształceniem i na ogół dla ludzi wykształconych. Z drugiej jednak strony czasopismo zamieszcza wiele artykułów popularnych skierowanych do trochę podkształconych Indian, a przede wszystkim do znacznie liczniejszych „potencjalnych Indian”, którym *Izkalotl* stara się przypomnieć o ich przeszłości. Podobną dwutorowość zauważyć można w działalności kulturalnej i politycznej Odnawicieli Anauaku. Z jednej strony

13. *Izkalotl*, wrzesień 1960.

jest to działalność elitarna: zmodernizowanie tradycyjnej filozofii Nahuia; próba rekonstrukcji azteckich obyczajów we współczesnym wydaniu; intensywne odbrazowywanie przed-kolonialnej historii; ocena posunięć Rządu Meksykańskiego; zapraszanie wybitnych meksykańskich intelektualistów i ambasadorów państw obcych na „Wspaniałe Kolacje” organizowane w najlepszych restauracjach czy klubach stolicy z okazji ważnych rocznic grupy Odrodzenia Anauak etc. Z drugiej strony jest to działalność wśród mas indiańskich, głównie wśród Indian pochodzenia azteckiego: uczenie ich historii Anauaku; zapoznavanie z celami grupy Odrodzenia Anauak i Partii Meksykańskości<sup>14</sup>; przede wszystkim jednak organizowanie ich w zwarte społeczności typu pre-kolonialnego, *calpullis*, naturalnie zmodernizowane i kontrolowane przez Odnawicieli Anauaku.

Kilka przykładów pierwszego typu działalności. Ponieważ znaczna większość meksykańskich Indian ma imiona i nazwiska hiszpańskie, Odnawiciele Anauaku starają się lansować powrót do imion i nazwisk azteckich. Aby dać dobry przykład wszyscy członkowie Prezydium Odrodzenia Anauak mają już swoje, jak mówią „prawdziwe nazwiska”, zachowują jednak i używają w życiu codziennym, nazwiska hiszpańskie. Lansuje się również powrót do ceremonii ślubnych Nahuia (zachowując obowiązkowy w Meksyku ślub cywilny) i do „wszystkich najlepszych zwyczajów sprzed Inwazji — w nowoczesnej interpretacji”. Religie katolicką (jako narzuconą przez okupantów) odrzuca się (ale niezbyt głośno), nawołując do kultu przed-kolonialnych bogów (dość nieśmiało zresztą i z silnym podkreśleniem monoistycznej tendencji w religii pradziadów Tolteków). Wbrew oficjalnej historii *Izkalotl* twierdzi stanowczo, że Aztecy nie podtrzymywali życia Słońca poprzez wrywanie ludzkich serc na szczytach piramid. Twierdzenia ich poparte są artykułami meksykańskiej specjalistki od archeologii azteckiej, Eulalii Guzman (również współpracownicy *Izkalotl*), która twierdzi, że myślenie pre-kolonialnych Azteków było dużo bardziej metaforyczne niż myślenie współczesnych im Europejczyków i że hiszpańscy historycy przypuszczalnie mylnie odczytali azteckie pismo obrazkowe interpretując sceny przedstawiające wrywanie serc zbyt dosłownie. Odnawiciele Anauak zaznaczają w związku z tym, że „legenda o ludzkich ofiarach” była dla Hiszpanów bardzo wygodna jako usprawiedliwienie brutalnej Inwazji i wyzysku.

Zakładanie przez Odnawicieli Anauaku *calpullis*, zmodernizo-

14. Gdy zapytałam znajomego z Odrodzenia Anauak czy Partia Meksykańskości jest oficjalnie zarejestrowana, jako partia polityczna i czy staje do wyborów, odpowiedział mi, że jak dotąd nie — nadal jeszcze „dojrzewa”.

wanych samorządowych gmin indiańskich o wspólnej ideologii i działalności — jest przykładem drugiego typu działalności Odnawicieli Anauak i z punktu widzenia socjologicznego jest szczególnie interesujące. Grupy te bowiem, zakładając nawet sztuczność i sporadyczność ich funkcjonowania, stwarzają ważną więź między tymi neo-azteckimi intelektualistami a masami zabiedzonych, upokarzanych i fatalistycznych mas indiańskich. Niewiele sekt politycznych znanych nam z historii potrafiło nawiązać choćby taki kontakt z masami a przecież bez kontaktu z masami żaden ruch społeczny, rewolucyjny czy rewizjonistyczny nie ma szans powodzenia! Na zebraniach tych uwspółcześnionych wiejskich i miejskich *calpullis*, neo-azteccy intelektualiści (często zapewne pochodzenia „plebejskiego” według pojęć staro-azteckich) spotykają się rzekomo z prawdziwą starą arystokracją Nahuia, z poważnymi, zabiedzonymi starcami, którzy stracili wprawdzie wyrafinowaną kulturę Nahuia ale zachowali cenne papiery, genealogie, mapy, niektóre zwyczaje, czasem nawet starodawne „idole”, no i przede wszystkim zachowali wolę przetrwania...

W Mexico, dawnych Tenochtitlanie — na Placu Trzech Kultur w dzielnicy Tlatelolco, gdzie obok resztek świątyni azteckiej, stoi piękny kolonialny kościół i bardzo nowoczesna szkoła — za któregoś tam z niedawnych Prezydentów wmurowano tablicę z następującym napisem:

„13 sierpnia 1521 roku Tlatelolco, bronione bohatersko przez Cauhtémoca dostało się w ręce Hernana Cortesa. Nie był to ani tryumf ani klęska lecz bolesne narodziny narodu metysów, którym jest dzisiejszy naród meksykański<sup>15</sup>”.

Przeciwko tej tablicy zaprotestowała energicznie grupa Odrodzenia Anauaku. Upadek Tlatelolco, ostatniej dzielnicy oblężonego Tenochtitlanu był naturalnie klęską Imperium. Wedle ideologii grupy Odrodzenia Anauak Meksyk jest niezupełnie jeszcze wyzwolonym krajem indiańskim, a nie krajem metysów hiszpańsko-indiańskiego pochodzenia. Istnieją według Odnawicieli Anauaku trzy etapy wyzwolenia się Meksyku: 1) Wojna o Niepodległość 1810 roku, która skończyła się wyrzuceniem hiszpańskich okupantów. Wyzwolenie to nazywa *Izkalotl* „wyzwoleniem politycznym”. 2) Reforma (1857) — odebranie klerowi katolickiemu posiadłości — wyzwolenie religijne i częściowo ekonomiczne. 3) Rewolucja 1910 roku — dalsze kroki w kierunku wyzwolenia ekonomicznego poprzez proklamację Reformy Rolnej.

15. *Izkalotl*, styczeń 1967.



W jednej z wielu odezwo ogłoszonych przez grupę Odrodzenia Anauak na łamach *Izkalotl*, czytamy: „Odrodzenie się kultury meksykańskiej<sup>16</sup> jako norma ewolucji naszego kraju jest (1) obowiązkiem wobec naszych przodków, (2) naszym prawem: prawem do posiadania własnej kultury, (3) koniecznością gdyż bez takiego odrodzenia kulturalnego nie można uzdrowić kraju ekonomicznie i wyeliminować panującej w nim korupcji. Uniezależnienie się Meksyku od ekonomicznej i kulturalnej dominacji krajów kultury zachodniej, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, jest zdaniem Odnowicieli Anauaku, jednym z najpilniejszych zadań społecznych. Indywidualizm zachodni, rywalizacja ekonomiczna, centralizm polityczny, sprzeczne są z duchem kultur indiańskich Ameryki i jedynie przez powrót do politycznej decentralizacji, charakterystycznej dla tych kultur<sup>17</sup> i do ekonomii komunalnej (ale nie komunistycznej) można Meksyk uzdrowić. *Calpullis* dawnego Anauaku były, jak dotąd najlepszym modelem demokracji i jednym z najpilniejszych zadań Odnowicieli Anauaku jest pokojowe (w obrębie Konstytucji Meksykańskiej) zreformowanie struktury administracyjnej meksykańskiej poprzez wyeliminowanie źle funkcjonujących pro-hiszańskich struktur i powrót do pre-kolonialnej struktury typu komunalnego, która zapewni Meksykowi z czasem ekonomiczną i kulturalną samowystarczalność, nieodzowną dla moralnego odrodzenia się narodu.

Epoka nasza jest — według Odnowicieli Anauaku — epoką upadku kultur europejskich opartych na podbojach, kolonizacji i centralizacji politycznej zabijającej godność człowieka. Grupa Odrodzenia Anauaku ostrzega społeczeństwo przed myśleniem terminami kapitalizm - versus komunizm. Zarówno Rosja jak i Stany Zjednoczone „są krajami kultury europejskiej” nie odpowiedniej dla kontynentów amerykańskich, bo sprzecznej z ich tradycjami. Grupa Odrodzenia Anauaku nie chce być nazywana ani grupą pravicową ani lewicową, gdyż czasem w konkretnych sprawach wypowiada się po stronie lewicy — czasem po stronie prawicy, zależnie od najważniejszego celu, który jej przyświeca: Odrodzenia Konfederacji Anauak.

Walka o niepodległość, zwłaszcza w warunkach długotrwałej i ustabilizowanej niewoli odbywa się zawsze na granicy rzeczywistości i utopii i trudno czasem powiedzieć, co jest mitem a co prawdą — co wyrafinowaną strategią a co szaleństwem. Czy Odnowiciele Anauaku mają jakiegokolwiek szanse zrealizowa-

16. Czyli azteckiej.

17. Sądzę, że decentralizacja polityczna Konfederacji Anauak jest legendą raczej niż rzeczywistością. Opinie archeologów na ten temat są jednak podzielone.

nia tego w co wierzą i o co walczą? Może warto trochę na ten temat pospekulować...

Sekta Saint-Simonistów stworzona po śmierci Saint Simona w 1825 roku przez jego najgorliwszych adeptów była również a może bardziej jeszcze utopijną sektą polityczno-mistyczną<sup>18</sup>. Nie stworzyli oni partii politycznej ale założyli klasztor, z którego wysyłali misje głoszące ideologię postępu, planowania społecznego i braterstwa. Grupa ta w momencie największego rozkwitu miała zaledwie 100 członków, samych intelektualistów, nie miała swojego pisma i przetrwała tylko siedem lat, mimo to jednak miała wielki wpływ na wiele ważnych ruchów społecznych swej epoki i wypracowała system świeckiej etyki społecznej w tym bardzo katolickim kraju jakim była ówczesna Francja<sup>19</sup>. Kto wie... może właśnie tego rodzaju wpływ będzie kiedyś miała grupa Odrodzenia Anauak, która przecież założona została już 25 lat temu, ma pismo wychodzące regularnie przez lat trzynaście. Może ideologia tej grupy (oczyszczona z elementów mistycznych i ukonkretniona) wpłynie kiedyś na wyeliminowanie zafałszowań, sprzeczności, drętwej mowy oficjalnej ideologii rządowej partii PRI (*Pardino Revolucionario Institucional*), która, mówiąc słowami *Izkalotl* „spełniła wprawdzie swoją misję zgromadzenia pod jedną banderą wszystkich rewolucjonistów meksykańskich<sup>20</sup> ale nie do prowadziła do obiecanej niezależności ekonomicznej i nie wypracowała doktryny filozoficznej<sup>21</sup> zgodnej z tradycjami kraju<sup>22</sup>”. Wątpię jednak czy tego rodzaju wpływ wystarczyłby Odnowicielom Anauaku...

◆

Moje rozmowy z tym jedynym, jak dotąd, członkiem Odrodzenia Anauaku, jakiego znam, są zwykle telefoniczne. Od czasu do czasu dzwonię do niego aby podyskutować o artykułach z *Izkalotl*. W jednej z rozmów w 1973 r. zapytałam się czy w tym roku będą, tak jak zwykle, obchodzić rocznicę upadku Tenochtitlanu, 13 sierpnia i dość nieśmiało wspomniałam, że bardzo chciałabym zobaczyć tę ceremonię. Odpowiedział, że w tym roku zaistniały jakieś nieprzewidziane problemy i nie wiadomo jeszcze gdzie się odbędzie ceremonia... 13-go rano zadzwonił jednak telefon i zaproszona zostałam na ceremonię przed pomnikiem Cauh-temoca zorganizowaną przez „czynniki oficjalne” z epilogiem

18. Coser, *op. cit.*

19. *Ibid.*, str. 120.

20. Chodzi tu o Rewolucję typu narodowego i liberalnego z 1910 roku.

21. Czyli ideologii.

22. *Izkalotl*, listopad/grudzień 1965.

grupy Odrodzenia Anauaku... Po raz pierwszy i po długich naradach Odnowiciele Anauaku zdecydowali się na taką współpracę...

Pomnik Cauhtemoca stoi na małej cementowej wysepce na głównej bardzo ruchliwej alei Paseo de la Reforma. Gdy przyszedłam, zaczęły przyjeżdżać właśnie ciężarówki z ogromnymi wieńcami, które układano naokoło platformy pomnika ubranego białymi kwiatami. U stóp Cauhtemoca napis z kwiatów „Wojownikowi o Wolność”. Potem przemaszerowało wojsko: mali, ciemni żołnierze w mundurach khaki z białymi atłasowymi szalikami i ogromnymi karabinami. Otoczyli cementową wysepkę podczas gdy orkiestra wojskowa ustawiła się na platformie. Potem zaczęli nadjeżdżać dygnitarze: przedstawiciele miasta, partii politycznych, młodzieży, związków zawodowych, ale grupy Odrodzenia Anauaku, która miała wystąpić w azteckich strojach, nie było jakoś widać. Nie zauważyłam ich również podczas okropnie gadatliwej i hałaśliwej akademii, podczas przemówień drętą mową, podczas hymnu narodowego; podniesienia i zniesienia chorągwi biało-zielono-czerwonej, ani podczas recytacji bladego aktora, który bardzo głośno wykrzykiwanym wierszem o bohaterskim „Pradziadku Młodzieńcu” starał się zagłuszyć obustronny szum samochodów. Dopiero pod sam koniec, gdy żołnierze zaczęli się już rozchodzić, zapowiedziano przez mikrofon wystąpienie grupy Odnowicieli Anauaku. Była to mała grupka złożona najwyżej z dziesięciu osób: młodzi chłopcy ubrani w kostiumy i maski rycerzy-tygrysów i rycerzy-orłów i bardzo wiotkie dziewczyny w płóciennych azteckich tunikach. Kilka z nich niosło dymiące kadzidła w glinianych kadzielnicach. Wszyscy bosi. Dziewczyny z szerokimi bransoletami z żółdździ na kostkach. Oni też przynieśli wieniec: dużo mniejszy niż inne ale bardziej kolorowy, z czerwonych, żółtych i niebieskich polnych kwiatów (kolory Konfederacji Anauak...). Potem wszyscy bardzo cicho zeszedli z platformy, na której został tylko bardzo-szczupły rycerz-tygrys z wielką różową muszlą w obu dłoniach. Poczulałam zapach kadzideł... wśród nieprzerwanego szumu samochodów jadących ciurkiem z obu stron wysepki, zaczęła się ceremonia. W tym gęstym szumie ledwo było słyszeć cienkie dźwięki różowej muszli, na której rycerz-tygrys zagrał Cauhtemokowi dziwny, smutny hymn. A potem na platformę weszło kilka dziewczyn w tunikach. Odańczyły przed Cauhtemokiem bardzo powolny taniec, podczas gdy rycerze-tygrysy i rycerze-orły stali na baczność obok pomnika. Dziewczyny miały nieruchome oczy, świecące warkoczki i zacięte wargi. Po tym tańcu spodziewałam się jakiegoś przemówienia w języku nahuatl ale żadnego przemówienia się nie docze-

kałam i po chwili już ich nie było... Zniknęli tak nagle, że aż mnie to zastanowiło...

Zatelefonowałam tego dnia wieczorem do mego kontaktu z grupy Odrodzenia Anauak. — Zdecydowaliśmy się w tej sytuacji — powiedział, nie czekając na moje pytania — nie wygłaszać, żadnych przemówień. Chodziło nam o kontrast i chyba każdy musiał zauważyć ten kontrast między oficjalną akademią a naszą ceremonią. Nasze milczenie było przecież bardzo wymowne... chyba pani to zauważyła. I czy rozpoznała pani na wieńcu upleciony z kwiatów nasz symbol *nani ollin* — czas-ewolucja...? Chodzi o to, że wszystko należy robić w odpowiednim czasie, że nie należy forsować ewolucji i że... dla nas pracuje czas...

Alicja IWANŃSKA

Mexico, 14 sierpnia 1973 roku

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

SERIA « BEZ CENZURY »

TOM 271 — BOGDAN MADEJ

### MAŚĆ NA SZCZURY

Tom drapieżnych opowiadań Madeja, opisujących rzeczywistość polskiej prowincji, otwiera nową serię w „Bibliotece Kultury”.

Str. 208.

Cena F. 30,00.



TOM 273 — ANIELA STEINBERGOWA

### WIDZIANE Z ŁAWY OBROŃCZEJ

Relacje z procesów politycznych w PRL. Przez swą odwagę i bezkompromisowość A. Steinsbergowa kontynuuje świetne tradycje polskiej advokatury. Aniela Steinsbergowa jest członkiem-założycielem Komitetu Obrony Robotników.

Str. 96.

Cena F. 18,00.



TOM 275 — STANISŁAW BARAŃCZAK

### JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE

(Wiersze z lat 1975-1976)

Str. 64.

Cena F. 15,00.

ANONIM Z KRAJU

## JESTEM ŚWIADOMYM OBYWATELEM SWEGO KRAJU

*Mam na swoje usprawiedliwienie  
zarys  
historii Polski w trzech  
tomach  
w płóciennej oprawie oraz  
poczucie winy  
od urodzenia. Poza tym mam*

*czyste sumienie, zawsze  
odprasowane spodnie oraz  
krawat dobrany do  
koloru skarpetek. To wszystko*

*jest wynikiem coraz lepszego  
zaopatrzenia: jadam  
chleb z masłem i szynką. Potrafię  
bez wysiłku  
wyżyć z pensji i jeszcze  
zaoszczędzić. Ten zarys*

*historii Polski  
kupiłem legalnie w Domu  
Książki przy  
ulicy Świerczewskiego (róg  
Marchlewskiego). Na*

*pytanie odpowiadam,  
że  
wszystko zrozumiałem i  
nie mam wątpliwości. Mój  
syn  
na pewno zostanie  
kosmonautą.*

## Wiersze

Kazimierz Maria SKRZYDLIŃSKI

### LEKCJA ANATOMII

*Gluche stęzenie warg  
ponad ciszą śmierci —  
Nóż doktora Tulpa  
otworzył nadzieję.  
W zimnej bieli ciała  
sina krew wnętrzości —  
Czerń surduta zwisa  
nad dłoni bezwładem,  
ściągniętej rozpaczą  
próżnej samotności.  
Tu zastygła chwila  
okrutnego żalu,  
tu jeszcze się błąka  
milczenie Rembrandta.*

4. III. 1968 r.

Kazimierz Maria SKRZYDLIŃSKI

## CZEŚĆ, JAK CI LECI?

*Jak ci się snuje (przędzie) ten  
sen bezsennej nocy, jak ci  
jest w tym świecie, którego  
nie ma, w tym  
domu, który ci  
burzono podczas kolejnych  
rewolucji; jak ci  
się zdaje: kto  
odpowiada za te wszystkie  
pytania, którymi  
obciążasz świat, kto  
podniesie głos, który  
zdtawiłeś kneblem strachu, kto*

*zbierze dowody twojej  
niewinności?*

ANONIM Z KRAJU

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

## MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Wybór ważniejszych i nadal aktualnych artykułów  
światnego publicysty z okresu 1971-1976.

Str. 256.

Cena F. 40,00.

## Archiwum polityczne

### Przejście do demokracji w warunkach komunizmu

Poniższy tekst jest tłumaczeniem drugiego artykułu redakcyjnego na ten temat zamieszczonego w miesięczniku ideologicznym szwedzkiej partii socjaldemokratycznej, *Tiden* (Czas).

Pierwszy z nich, opublikowany w numerze grudniowym 1976, poprzedzał tłumaczenie „Listu otwartego” Edwarda Lipińskiego do Edwarda Gierka, długą rozmowę rozczarowanego, polskiego komunisty starszego pokolenia (którego nazwiska nie podano) z redakcją *Tiden* oraz inne artykuły i dokumenty poświęcone Europie Wschodniej. Drugi, który drukujemy poniżej, ukazał się w numerze lipcowym 1977 i stanowił wstęp do tekstu Adama Michnika pt. „Nowy ewolucjonizm”, dwóch listów Michnika, jednego napisanego w Paryżu 30 kwietnia 1977 roku, tuż przed powrotem do Polski i opublikowanego w *Le Monde*, i drugiego, pisanego z więzienia 16 maja 1977 roku, opublikowanego w *Der Spiegel*, oraz tłumaczenia programu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego.

Redaktorem naczelnym *Tiden* jest Sten Johansson, profesor nauk społecznych w Instytucie Badań Społecznych przy Uniwersytecie Sztokholmskim i członek zarządu partii socjaldemokratycznej. Redakcja *Tiden* i tłumacze mają nadzieję, że publikacja w *Kulturze* przyczyni się do wywołania dyskusji wokół poruszonych problemów, a w szczególności stosunku socjaldemokracji i całej lewicy zachodniej do dyktatur komunistycznych i do opozycji demokratycznej w Europie Wschodniej.

Najciekawsze i najbardziej reprezentatywne wypowiedzi przedstawicieli polskiej myśli demokratycznej, tak z Kraju jak i na emigracji, zostaną przetłumaczone na szwedzki i opublikowane.

Pierwsze wolne wybory w Portugalii ustanowiły demokratyczne instytucje w kraju, w którym przez lat czterdzieści panowała faszystowska dyktatura. Nowe władze walczą obecnie z wielkimi trudnościami. Jeśli jednak uda się je pokonać, demokracja w Portugalii uzyska takie same silne podstawy jak pozostałe kraje Europy Zachodniej i wszelkie szanse przeżycia.

W Hiszpanii przeprowadzono właśnie pierwsze wolne wybory. Dały one wprawdzie przewagę partiom burżuazyjnym, ale sam fakt ich przeprowadzenia, jest już wielką sprawą. Oznacza on bowiem upadek ostatniego faszystowskiego bastionu w Zachod-

niej Europie. W całej Zachodniej Europie zapanują, przynajmniej formalnie, ustroje demokratyczne.

Siłą społeczną, która doprowadziła do obalenia panujących dyktatur, była we wszystkich krajach zachodnio-europejskich klasa robotnicza w przymierzu z postępową burżuazją. Wprawdzie nie wszędzie ruch robotniczy miał możliwość kierowania tymi zmianami, lecz wszędzie nacisk ze strony klasy robotniczej był tą siłą, która zdecydowała o możliwości ich przeprowadzenia. Działalność postępowej inteligencji bez udziału klasy robotniczej nie mogła być skuteczna. Tak było w Szwecji przed sześćdziesięciu prawie laty. Tak jest również i we współczesnej Hiszpanii.

Również w Europie Wschodniej zaczyna powstawać demokratyczny ruch oporu. Ostatecznym zadaniem tego ruchu jest demokratyzacja systemu przez uzyskanie wolności słowa i wprowadzenie zasady wielopartyjności. Jednakże opozycja w Europie Wschodniej nie przybrała jeszcze stałych, wyraźnych form organizacyjnych, które przecież są koniecznym warunkiem skutecznego, długofalowego działania.

Partie socjaldemokratyczne w Europie Zachodniej nie mają jeszcze jasnego wyobrażenia o tym, jaki ma być ich stosunek do opozycji w Europie Wschodniej. To niejako naturalne uczucie solidarności, jakie okazano Mario Suarezowi i Felipo Gonzalesowi oraz poparcie, jakiego im udzielono, nie stały się udziałem opozycji w Europie Wschodniej. Przyczyny tego, być może, leżą w odmienności dróg, jakie prowadzą do demokracji w warunkach komunizmu; w tym, że nie łatwo jest określić, jakie siły społeczne są motorem tych zmian.

#### *Przejsie do demokracji w warunkach kapitalizmu*

Społeczne procesy, które w systemie kapitalistycznym są wynikiem sprzeczności między pracą a kapitałem, zmuszają robotników do organizowania się w związkach zawodowych. Dążenie to jest tak silne, że celem zahamowania go władze są zmuszone uciekać się do represji o charakterze faszystowskim.

Ale nawet najbardziej brutalne represje nie mogą całkowicie zniszczyć ruchu związkowego, który natychmiast rozwija się ponownie, gdy tylko ucisk staje się słabszy. To zjawisko dało się szczególnie silnie zaobserwować w Hiszpanii na przykładzie nielegalnie działających tam komisji robotniczych.

W walce o prawo do organizowania się, łączyli się robotnicy z postępowymi ugrupowaniami mieszczańskimi. To właśnie sojusze tych dwóch sił społecznych umożliwił przejście do demokracji we wszystkich kapitalistycznych krajach w Europie Zachodniej.

*W jaki sposób może dokonać się demokratyzacja systemu komunistycznego?*

Czy jednak te same siły społeczne walczą o przejście do demo-

kracji również i w systemie komunistycznym? Takie pytanie nasuwa się, kiedy rozważa się na przykład sytuację w Polsce. Robotnicy byli w stanie spowodować zmiany rządu: w roku 1956 kiedy doszedł do władzy Gomułka i w roku 1971 kiedy władzę objął Gierek.

Jednak żywiołowo wyłonione wówczas organizacje robotnicze nie okazały takiej samej siły żywotnej jak organizacje, które powstały w walce z dyktaturą kapitalistyczną i które albo były tak silne, że mogły działać jawnie lub też kontynuowały swą działalność w podziemiu, jak to miało miejsce w Hiszpanii. Przeciwnie polskie komitety robotnicze zostały bardzo szybko zneutralizowane przez obietnice zmian udzielone przez władze, a następnie wchłonięte przez oficjalne związki zawodowe. Ci, którzy stawiali opór, zostali uciszeni metodami policyjnymi.

Powstaje interesujące pytanie: dlaczego polska klasa robotnicza dała się w ten sposób rozbroić, dlaczego walka polskiej klasy robotniczej o prawo do organizowania związków zawodowych, o demokratyzację systemu nie okazała się tak samo nieustępliwa i wytrwała jak w ustroju kapitalistycznym. Być może, stało się tak dlatego, że w tego rodzaju systemie, z jakim mamy do czynienia w Polsce, istnieją sprzeczności innego rodzaju niż w kapitalizmie, które powodują, że droga do demokracji musi tu być inna. Można pójść o krok dalej i zapytać, czy w walce o demokrację w komunizmie decydującą siłą jest klasa robotnicza, czy też inne grupy społeczne.

Jest jednak oczywiste, że jak długo istnieje tego rodzaju wątpliwość, partie robotnicze w Europie Zachodniej mogą pozostawać jedynie biernymi obserwatorami, komentującymi w mało obowiązujący sposób przebieg wydarzeń.

#### *Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego*

To zagadnienie staje się niezmiernie istotne w świetle ostatnich dokumentów, które dotarły do nas od polskiej opozycji. W bieżącym numerze *TIDEN* publikujemy właśnie „Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego”. Jest to dokument, z którym powinni zaznajomić się wszyscy, którzy chcą zrozumieć, jakie społeczne siły działają w Polsce, oraz poznać klimat polityczny, którego częścią jest polska opozycja.

Program opiera się wyraźnie na przemysłanych i jednolitych poglądach politycznych. Stanowi on interesujący dokument dla wszystkich, którzy chcieliby poznać, jakie siły społeczne walczą o demokratyzację systemu komunistycznego. Ale program ten nie może wywołać jakichś żywszych uczuć solidarności u zachodnio-europejskich socjaldemokratów.

Szczerze mówiąc, nie jest łatwo sprecyzować — dlaczego. Pierwszym powodem, który przychodzi na myśl, jest to, że twórcy programu uzasadniają dążenie do demokracji, powołując się

raczej na uczucia narodowe oraz potrzeby kultury niż na problemy socjalne i ekonomiczne. Trudno jest nie odnieść się z respektem do wyrażonych w programie dążeń do wyzwolenia narodowego, jednak pewne sformułowania, w których wyczuwa się gorący nacjonalizm, budzą mimo wszystko niepokój, a to ze względu na złe doświadczenia, jakie miała Europa z nacjonalizmem.

Program zajmuje się sprawami klasy robotniczej jedynie mimochodem. Wydaje się, że w pierwszym rządzie jednoczy on inteligencję z tymi grupami społecznymi, które można by określić jako grupy „pośrednie”. W każdym razie nie odczuwa się go jako programu o charakterze socjaldemokratycznym — jeśli by ktoś tego oczekiwał.

Jeżeli sięgnąć głębiej, można znaleźć i inne powody, które wpływają na brak poparcia ze strony zachodniej socjaldemokracji — ale te powody wydają się nieuzasadnione. Program jest rezultatem ciężko okupionych doświadczeń całego narodu i jako taki zasługuje na szacunek i powinien być potraktowany poważnie. Daje on ponadto okazję do krytycznego przemyślenia różnych tendencji występujących w naszej własnej dyskusji na tematy ideologiczne.

Wiele postulatów zawartych w programie potwierdza na przykład słuszność stanowiska socjaldemokratów w takich sprawach jak bezwzględna obrona demokracji parlamentarnej lub przestrzeganie zasady niezależności sądownictwa. Ale program wypowiada się również w sposób zdecydowany za większą samodzielnością kierownictwa przedsiębiorstw w pobieraniu decyzji gospodarczych. Wydaje się, że temu zagadnieniu powinniśmy poświęcić szczególnie dużo uwagi, a to ze względu na toczącą się u nas obecnie dyskusję dotyczącą pytania: jakie instytucje powinny zająć miejsce prywatnych posiadaczy akcji w wielkich przedsiębiorstwach.

W sumie można wyrazić przypuszczenie, że jeżeli opozycja w Europie Wschodniej ukształtuje się na takich zasadach, jakie zawarte są w Programie Porozumienia Niepodległościowego — to choć wszelkie przemiany w kierunku większej demokracji powitane będą z radością — trudno będzie oczekiwać pełnego zaangażowania się ze strony zachodniej socjaldemokracji.

*Opozycja reprezentowana przez m.in. Jacka Kuronia i Adama Michnika*

Znacznie bliżej ideologii socjaldemokratycznej stoi ta część opozycji, która reprezentowana jest m.in. przez Jacka Kuronia, Adama Michnika, Jana Józefa Lipskiego. Wszyscy trzej przeszli oni przemiany od krytyki komunizmu z pozycji lewicowych, charakterystycznych dla opozycji lat 60-tych, na coraz bardziej wyraźnie określone pozycje socjaldemokratyczne. Kuroń opisał i zanalizował w obszernym artykule swoje przejście od ideologii

„lewicowego” komunizmu opartego na samorządzie robotniczym i bezpośredniej demokracji do uznania demokracji parlamentarnej. Według posiadanych przez nas informacji taka właśnie postawa jest charakterystyczna dla dużej części młodej generacji. Adam Michnik w artykule o nowym „ewolucjonizmie”, który również publikujemy w bieżącym numerze, pisze między innymi właśnie o tych zmianach w sposobie myślenia polskiej opozycji.

Kuroń, Lipski i Michnik zostali wraz z innymi osobami aresztowani przez polskie władze za swoją działalność w Komitecie Obrony Robotników. Są oni zagrożeni karą do lat pięciu. List Michnika napisany przed powrotem do kraju i ogłoszony w *Le Monde*, oraz list napisany przez niego z więzienia odstaniają całą nędkę poczynań polskich władz. Opublikowanie jego artykułu oraz obu listów podyktowane zostało nie tylko uznaniem, że stanowią one interesującą lekturę. Opublikowanie tych materiałów jest czymś więcej, stanowi wyraz naszej solidarności z dążeniami reprezentowanymi m.in. przez tych trzech opozycjonistów. Szwedzki ruch robotniczy ma mianowicie wszelkie powody, ażeby dokładnie śledzić, jak będą oni traktowani przez polskie władze. Przewinieniem bowiem — za które na przykład Adam Michnik ma zostać ukarany — jest również to, że nawiązał on kontakt ze szwedzkim ruchem robotniczym.

## BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

# GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca II-ej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.

## Kraj

### Z nadzieją, ale bez złudzeń

W 1951 r. Bolesław Bierut po powrocie z Moskwy opowiadał mi o zagadkowej wypowiedzi Stalina. Na pytanie Bieruta o los komunistów polskich, którzy przed drugą wojną światową znaleźli się w Sowietach, Stalin powiedział: „Wiecie przecież, towarzyszu Bierut, jakie nieszczęście spotkało naszą partię w 1937 i 1938 roku: straciliśmy właściwie całą kadrę partyjną”.

Roy Miedwiediew (*Let History Judge*, New York, Knopf) opisuje los starego bolszewika J.M. Stiełkowa, historyka i publicysty. Prerażony falą aresztu w 1937 roku zgłosił się do Stalina i został przyjęty. Stalin wysłuchał pierwszych kilku zdań, po czym wstał, wziął Stiełkowa pod rękę i powiedział: „Co się z wami dzieje, towarzyszu Stiełkow, przecież partia ma do was nieograniczone zaufanie i na pewno nic wam nie zagraża”. Stiełkow wrócił do domu, poinformował o rozmowie rodzinę i przyjaciół i tej samej nocy został aresztowany, wkrótce potem rozstrzelany.

W lutym 1977 roku Edward Gierek spotkał się z przedstawicielami środowisk twórczych. Karol Małcużyński przytoczył kilka przykładów prześladowania sygnatariuszy różnych protestów. Gierek zwrócił się do obecnego na spotkaniu członka Biura Politycznego i ministra Kultury i Sztuki Józefa Tejchmy: „Towarzyszu Józefie, co ja słyszę, czyżby to było możliwe, że pozbawiani są u nas pracy ludzie, którzy piszą listy do władz?”.

Nie porównuję Gierka ze Stalinem, lecz chodzi mi o uwypuklenie pewnej cechy charakteru, która moim zdaniem, wspólna jest komunistom wszystkich formacji: obłudy. Wydaje się to szczególnie ważne w momencie kiedy po zwolnieniu robotników z Radomia i Ursusa oraz członków i współpracowników KOR'u i zamknięciu pewnego etapu w rozgrywce między społeczeństwem a rządem, następują naturalne w tych warunkach próby podsumowania wydarzeń w okresie czerwiec 1976 - lipiec 1977 i ponownej oceny sytuacji politycznej. Tak więc pojawiają się

znów zrodzone w cieniu marksizmu bezpłodne szablony o walce wewnątrz kierownictwa partii, o zwycięstwie frakcji liberałów i pragmatyków nad zamordystami i dogmatykami, a wreszcie ostrzeżenia, aby nadmiernie zaostrozonymi metodami walki opozycja demokratyczna wbrew własnej woli nie ułatwiała zadania zwolennikom twardego kursu i ich moskiewskim protektorom.

Ten uproszczony, w moim przekonaniu, sposób rozumowania sprowadza się do posługiwania analogiami historycznymi wtedy, kiedy brak wiarygodnych informacji o sytuacji w PZPR uniemożliwia operowanie faktami. Uważa się więc, że jeśli brali się za łby komuniści przed październikiem 1956 roku i przed styczniem 1971 roku to pewnie i teraz mniej więcej w tej samej konfiguracji toczą się walki w łonie partyjnych elit.

Ani mi przez myśl nie przejdzie negowanie permanentnych w gruncie rzeczy walk frakcyjnych w partiach komunistycznych, a więc i w polskiej. Nienaturalny system jednopartyjny prowadzi do wtłoczenia w szeregi partii komunistycznej wszystkich, lub prawie wszystkich prądów politycznych istniejących w danej chwili w kraju. Są one oczywiście zmuszone do przystosowania się do obowiązującej w partiach komunistycznych liturgii, ale uwzględniając to, w ten czy inny sposób dają znać o swoim istnieniu, a w sprzyjających warunkach podejmują walkę o realizację pewnych swoich postulatów. Sami komuniści nigdy nie stanowili wewnętrznie zwartej grupy i jedynie w wysiłkach o zdobycie lub utrzymanie władzy jednocyli się w imię tych celów nadrzędnych. Bo z wszystkich nauk Lenina komuniści najlepiej i najpełniej przyswoili sobie dyrektywę o decydującym znaczeniu władzy. W tej sprawie wykazują upór, determinację, zdumiewającą elastyczność i wytrwałość, a przede wszystkim całkowitą amoralność.

Ale są to wszystko stwierdzenia bardzo ogólnikowe, przydatne może w pewnych okolicznościach, ale tylko w oparciu o konkretne fakty. Jeśli nie chcemy zamknąć sobie drogi do zrozumienia sytuacji w Polsce, musimy oceniać ją za każdym razem od nowa i przy pomocy nowych metod. Inaczej było w chwili rozłamu wśród komunistów polskich w 1948 roku, kiedy starli się zwolennicy i przeciwnicy tzw. prawicowego i nacjonalistycznego odchylenia, czyli po prostu ci, którzy nie wyobrażali sobie Polski komunistycznej bez jej sowietyzacji z tymi, którzy tego nie chcieli; inaczej znów kiedy po śmierci Stalina powstał głęboki ferment w ruchu komunistycznym i w Polsce, doszedł do władzy Gomułka; jeszcze inaczej wygląda układ sił w partii komunistycznej lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czyli w okresie ponownego ujawnienia się społecznych i gospodarczych skutków wadliwej polityki komunistycznego kierownictwa.

Gierek nie jest liberałem, tak jak nie był liberałem Gomułka, ale zarówno w 1956 jak i w 1968 roku (bo i ten kryzys trzeba mieć na uwadze) oraz w grudniu 1970 roku w partii komunistycznej istniała alternatywa w stosunku do zwolnionego kierownictwa. Takiej alternatywy w tej chwili w Polsce nie ma, i to

nie dlatego, że Gierek jest mężem opatrnościowym, ale dlatego, że na razie nie ma chętnych. I tej właśnie sprawie chciałbym poświęcić jeszcze parę słów.

Kiedy w 1956 roku dojrzewał w Polsce głęboki kryzys polityczny Gomułka prowadził rozmowy w sprawie ponownego przejęcia steru władzy (bo na to się zanościło) z przedstawicielami tzw. Natolina, Zenonem Nowakiem, Bolesławem Rumińskim, Kalinowskim i innymi. W rozmowach tych nie ukrywał niechęci, a nawet pogardy wobec rewizjonistów z ulicy Puławskiej, których jego zdaniem należało całkowicie wyeliminować z życia politycznego. I jeżeli właśnie z tymi znieawidzonymi „puławianami” Jerzym Albrechtem, Józefem Cyrankiewiczem, Jerzym Morawskim, Romanem Zambrowskim zawarł sojusz polityczny, który doprowadził go do władzy to stało się to dlatego, że Gomułka zorientował się w prawdziwych nastrojach społeczeństwa polskiego które — jak słusznie uważał — całkowite zlekceważenie swoich postulatów i przejęcie kierownictwa przez ściśle związanych z ambasadą sowiecką zwolenników twardego kursu musiało potraktować jako prowokację, co łatwo mogło doprowadzić do tragedii w rodzaju węgierskiej. Dla Gomułki był to sojusz nienaturalny, ale społeczeństwo polskie wiele na tym zyskało, tak, że nawet po dziś dzień zachowało pewne wówczas wywalczone swobody: chłop polski nadal jest właścicielem swojej ziemi, Kościół korzysta z pewnej swobody, nasza prasa mimo wszystko nie została zepchnięta na dno w jakim znalazły się czasopisma i gazety Rosji, Czechosłowacji czy NRD, na co dzień nikt nas nie zmusza do wychwalania partii tak jak to ma miejsce w NRD, władze jak dotąd nie usiłują zmusić krytyków czy przeciwników systemu do emigracji. Społeczeństwo zdobyte te zwycięstwa własnej walce, a polityka partii mogła się zmienić, bo istniała ekipa partyjna, która wyjścia z kryzysu szukała na drodze ustępstw wobec społeczeństwa.

Odmienne przebiegła walka o władzę Edwarda Gierka. Warto chyba przypomnieć, że 19 marca 1968 roku na wiecu w Sali Kongresowej, zwołanym w celu zaprotestowania przeciwko walce studentów, a zorganizowanym przez Komitet Warszawski z Józefem Kępą na czele, sala skandowała w czasie przemówienia Władysława Gomułki „Gierek! Gierek!” i nazwisko to pojawiło się też na transparentach, wysuniętych nieoczekiwanie przez partyjnych aktywistów.

Prawdopodobnie już wtedy zawiązał się spisek, który w niepełna trzy lata później miał Edwarda Gierka doprowadzić do władzy. Spiskowcy skupiali się właśnie wokół Komitetu Warszawskiego a obok Józefa Kępy i jego bezpośrednich współpracowników gromadzili się zwolennicy Mieczysława Moczara, a także przedstawiciele jakiś popłuczyn rewizjonistycznych. Na prywatnych przyjęciach pojawiał się Tejcyma obok Moczara, Stefan Olszowski z Franciszkiem Szlachcicem, a od czasu do czasu przyjeżdżali przedstawiciele katowickiej odnogi spisku w osobie Mitręgi czy Kowalczyka. W tym czasie prowadzono też

rozmowy z przedstawicielami kierownictwa sowieckiego, bez których zgody nie może być mowy o żadnych zasadniczych zmianach na szczytach władzy w Polsce.

Adwersarze Gomułki szybko uzgodnili dwa etapy programu, do realizacji którego potrzebne im było objęcie władzy. Nie wiedzieli oczywiście w jakich okolicznościach takie zmiany się dokonają, ale postanowili skorzystać z pierwszej nadarzącej się okazji, a nawet nieco pomagając, aby okazja taka rzeczywiście się znalazła.

W otoczeniu Kępy i Moczara nie ukrywano wówczas poglądu, że ćwierć wieku rządów partii w Polsce nie tylko nie doprowadziło do dobrobytu i zadowolenia społeczeństwa ale pokazało, że jest to w stosunku do *tego* społeczeństwa niemożliwe. Jeśli, mówili spiskowcy, nie możemy uszczęśliwić wszystkich, to nie wolno nam zrezygnować z wyraźnego poprawienia sytuacji choćby kilku milionów ludzi. Sprawę uznano za kluczową, bo chodziło przecież o stworzenie trwałej i godnej zaufania bazy socjalnej rządów komunistycznych w Polsce. Temu celowi miały służyć podwyżki płac (w pierwszym rządzie pomyślano o dziennikarzach, bezpieczeństwie, milicji, aparacie partyjnym i dygnitarzach państwowych), przyspieszenie motoryzacji, rozszerzenie możliwości wyjazdów za granicę. W drugim etapie realizacji programu, w którego opracowaniu uczestniczyło szersze grono doradców i ekspertów, chciano przyspieszyć uprzemysłowienie przez zaciągnięcie dużych kredytów na Zachodzie, zwiększenie inwestycji i podjęcie intensywnych starań o „przebudowę rolnictwa”.

A więc i tym razem istniała ekipa gotowa do przejęcia schedy po dotychczasowym kierownictwie. Nie wydaje się, aby można było to samo powiedzieć o sytuacji obecnej.

Za rządów Gierka nastąpiło gwałtowne przyspieszenie socjetyzacji naszego kraju. Do pierwszych aktów nowej władzy należało wyrażenie zgody na budowę szerokotorowej, eksterytorialnej magistrali kolejowej Terespol-Gubin, czego Gomułka do końca odmawiał. W tej chwili kosztem wielu miliardów złotych budujemy „Autostradę olimpijską” Zachód-Wschód potrzebną Rosji w związku z Olimpiadą 1980 roku. Nie istnieje prawdopodobnie żadna dziedzina życia publicznego, która nie jest integrowana z Rosją. Polscy historycy, prawnicy, etnolodzy, psychologowie, ekonomiści, socjologowie nie mogą przedstawić żadnego referatu na forum międzynarodowym bez zgody odpowiednich instancji sowieckich (nie wiem jak to wygląda w dziedzinie nauk technicznych czy przyrodniczych). Integracja gospodarcza w ramach RWPG oznacza przede wszystkim podporządkowanie interesów naszej gospodarki potrzebom sowieckim. Polska na dorobku realizuje niezmiernie kapitałochłonne inwestycje w przemyśle sowieckim (ropa i gaz, azbest, rudy żelaza itd.), kupując często za dewizy wyposażenie, za które Rosja płaci nam w rublach. Zmuszeni zostaliśmy do udziału w realizacji sowieckiego



programu zbrojeń, co w dużej mierze decyduje o kierunku polityki gospodarczej Polski.

Pod rządami Gierka nastąpiło nie tylko przyspieszenie uprzemysłowienia, ale związane z tym ogromne zwiększenie społecznego zróżnicowania. Partyjni i państwowi dygnitarze nigdy jeszcze nie opływali w takie dostatki jak obecnie, bo przecież nigdy uposażenia w wysokości 10, 20 i 80 tysięcy (pisał o tym profesor Jan Szczepański w prasie) miesięcznie nie były rzeczą normalną, jak to jest dziś. Dziś dygnitarz ma nie jeden lecz kilka samochodów, nie tylko luksusowo wyposażone mieszkanie, ale i willę podmiejską, a członkowie Biura Politycznego niemal w każdej bardziej atrakcyjnej miejscowości mają własne wille. Wzrosły nie tylko przywileje, ale rozszerzył się też krąg ludzi z nich korzystających.

A na drugim biegunie znalazła się większość społeczeństwa, która na własnej skórze odczuwa skutki dysproporcji, powstałych w wyniku przyspieszonej pod rządami ekipy Gierka industrializacji. Przeszło półtoramilionowy deficyt mieszkań, rozpaczalna sytuacja młodzieży (jedynie 18% nowych małżeństw posiada mieszkanie), katastrofalny stan komunikacji miejskiej i dalekobieżnej, pogłębiający się kryzys szpitalnictwa wraz z niedowładem całej służby zdrowia, upośledzenie usług, rażąco niewystarczająca sieć placówek handlowych, nieustannie pogorszająca się jakość towarów, przerażający stan sanitarny, powodujący wzrost chorób przewodu pokarmowego, zatruc i infekcji, a przede wszystkim straszna drożyzna przy stałych brakach właściwie prawie wszystkich towarów, codzienne spędzanie czasu w niekończących się ogonkach, nieustanna pogoń za lekarstwami, których stale brak w aptekach — oto obraz udręki, na którą skazana jest większość Polaków. Dodajmy upośledzenie rolników, pomiatanych i wyzyskiwanych, a zobaczymy jak fałszywy jest obraz Polski z „rosnącą stopą życiową”.

Pod rządami Gierka partia przystąpiła do ponownej próby socjalizacji rolnictwa, co doprowadziło do katastrofy hodowli i głębokiego kryzysu całego rolnictwa.

Naturalnie Gierek widzi to inaczej. Niedawno na spotkaniu z kilku dygnitarzami gospodarczymi powiedział, że Polskę czekają dwa lub trzy trudne lata, kiedy możliwości ekspansji gospodarczej i polityki społecznej będą bardzo ograniczone, w związku z czym należy unikać wszelkich konfliktów i konfrontacji. Ale po upływie tego czasu zaczęła owocować inwestycje poczynione w przemyśle przede wszystkim w oparciu o zachodnie kredyty, a wtedy uzyskamy — jak twierdzi Gierek — możliwości zwiększenia eksportu, a w ten sposób załatwienie spłaty długów i realizację importu inwestycyjnego, a nawet konsumpcyjnego. Można wątpić w realność tej wizji roztoczonej przez Gierka. Po pierwsze towary produkowane przez przemysł polski w latach osiemdziesiątych na podłożu technologii z początku lat siedemdziesiątych będą bardzo często przestarzałe w porównaniu z towarami zachodnimi, a po drugie dziś prawdopodobnie nie potrafimy

nawet w przybliżeniu określić, jakie towary będą za kilka lat produkowane i poszukiwane.

Późną wiosną tego roku wyczyny cenzury zaniepokoiły nawet funkcjonariuszy Związku Literatów Polskich i postanowiono prosić Gierka o pewne złagodzenie obroży nałożonej na wydawnictwa i prasę i w tym celu wydelegowano członka Zarządu i pierwszego sekretarza POP pułkownika Zbigniewa Załuskiego, którego Gierek zgodził się przyjąć jedynie w towarzystwie „kogoś ze starych towarzyszy”, jak się wyraził. Wybrano Włodzimierza Sokorskiego, rzeczywiście „starego towarzysza”, bo chyba od 1928 roku członka KPP, a od 1940 roku agenta NKWD. Ku wielkiemu zdumieniu delegatów Gierek przyjął ich słowami: „Może wy mi powiecie, towarzysze, co się dzieje w naszym kraju. Przecie ja dla ludzi tyle zrobiłem, a teraz spotyka mnie czarna niewdzięczność?”.

Przytoczone tu wypowiedzi Gierka w jakiś sposób charakteryzują jego sposób myślenia, a rzucają także światło na stan umysłów w kierownictwie partii. Ulubiona przez Gierka metoda myślenia oczu, występowanie w roli orędownika sprawy szarego człowieka coraz rzadziej może być z powodzeniem stosowana. Fakty, utrapiona rzeczywistość demaskują obłudę i fałsz. Na oczach wszystkich kończy się autorytet kierownictwa i Gierka w szczególności. Lipcowa amnestia nie zażegnała, bo i zażegnać nie mogła i nie miała kryzysu władzy trwającego w Polsce nieprzerwanie od czerwca ubiegłego roku. Ale jest to inny kryzys niż ten z grudnia 1970 roku. Ekipa Gierka wpuściła Polskę nie tylko w kryzys gospodarczy i polityczny, ale i w stan chaosu administracyjnego. Zdaje się, że nawet na Zachodzie dostrzeżono już pewne objawy tej sytuacji w naszym kraju. Ustały nareszcie głosy o „polskim cudzie gospodarczym”, o uwielbianym przez Polaków przedstawicielu „zachodniej (belgijskiej!) orientacji komunistycznej” Edwardzie Gierku, o wdzięczności Polaków za odbudowę Zamku itd.

Ale pokutuje nadal wersja o konflikcie Gierka z aparatem partyjnym, co udaremnia rzekomo wiele pragmatycznych planów kierownictwa partyjnego. Nie tu miejsce na szersze umotywalenie niesłuszności tej diagnozy. Ograniczymy się do stwierdzenia, że Gierek odnowił faktycznie cały aparat i ten obecnie funkcjonujący wszystko jemu właśnie zawdzięcza. Temu przecież służyła reforma administracji, która we wszystkich innych dziedzinach ujawniła już swoje skutki negatywne. W latach 1971-1977 nieustannie rosły uposażenia aparatu partyjnego, a o utrzymanie jego dominującej roli zabiega wytrwale kierownictwo partyjne.

Nie oznacza to bynajmniej aby schorzenia ogólnospołeczne nie objęły również i tego aparatu. Codziennie i na każdym kroku ludzie z aparatu partyjnego konstatują nieudolność kierownictwa, które anulując dziś to co nakazywano wczoraj zachęca niemal do biernego odczekania na wynik tej „dziwnej zabawy”. Aparat zdążył już ośwoić się z myślą, że kierownictwo *nie chce znać*

prawdziwego stanu rzeczy, że woli pławić się w atmosferze hołdów i uwielbienia, a za wrogów uważa nie tylko krytyków, lecz i tych, którzy usiłują odstąpić przed nimi nieco prawdy. Funkcjonariusze partyjni wiedzą doskonale, że społeczeństwo staje się coraz bardziej krytyczne i na wszelkie apele partyjne odpowiada biernością.

Nie jest wykluczone, że z analizy socjologicznej wynika istnienie sprzeczności czy konfliktu tego aparatu, hołdującego metodom konserwatywnym i dogmatycznym z ekipą Gierka, pragnącą rządzić w kontakcie ze społeczeństwem, liberalnie i pragmatycznie. W życiu nie znajduję potwierdzenia tych tez.

Sowieci czujnie i niespokojnie obserwują ewolucję wydarzeń w Polsce. Widzą, że w łonie kierownictwa powstaje grupa ludzi, dystansujących się od Gierka, Jaroszewicza, Babiucha i Łukaszczyka. Do grupy tej należą Stefan Olszowski, Mieczysław Jagielski, Józef Kępa, Ryszard Frelek, a więc ludzie o bardzo różnej przeszłości i różnych poglądach. Sowieci demonstracyjnie wyróżnili Stefana Olszowskiego, którego wbrew wszystkim panującym dotąd obyczajom przyjął Breżniew i o czym donieść musiała polska prasa partyjna. Wszyscy zrozumieli ten gest jako desygnowanie Olszowskiego na potencjalnego następcę Gierka, a ten starał się złagodzić to wrażenie uzyskując przyjęcie przez Breżniewa także Babiucha, o czym również poinformowano społeczeństwo za pośrednictwem prasy. Ale Breżniew skorzystał z okazji rozmowy z Babiuchem, aby przedstawić cały rejestr pretensji wobec kierownictwa polskich komunistów. Wyraził więc niezadowolony z nieudolności wykazywanej zdaniem Breżniewa w stosunkach z dysydentami. Breżniew oświadczył, że w Sowietach nie mogą zrozumieć ustępliwości wykazywanej przez komunistów w Polsce wobec Kościoła katolickiego; okazało się, że Sowieci nie aprobują poprawek wprowadzonych przez kierownictwo partyjne do polityki rolnej pod wpływem kryzysu hodowli i potępiają „bucharinowską politykę tworzenia zamożnego chłopstwa indywidualnego”, wreszcie Breżniew zgłosił zastrzeżenia wobec nadmiernego zadłużenia Polski na Zachodzie, co jego zdaniem grozi uzależnieniem gospodarczym, a może nawet politycznym.

W takiej sytuacji komuniści polscy stoją w obliczu nowej próby sił: gotują się do przeprowadzenia serii podwyżek cen artykułów pierwszej potrzeby, która już dwa razy doprowadziła do głębokich wstrząsów społecznych. Już teraz wywołuje w społeczeństwie wielkie zaniepokojenie „pożyczka mieszkaniowa”, którą władze mają zamiar narzucić w ramach realizacji programu budownictwa mieszkaniowego, a faktycznie z myślą o zmniejszeniu siły nabywczej ludności.

Wśród odpowiedzialnych pracowników partyjnych i państwowych panuje zgodne przekonanie, że kierownictwo partyjne w obecnym składzie i w obecnym stanie umysłów nie jest zdolne do przeprowadzenia tej operacji. Nie chodzi więc o podział na zamordystów i liberałów, lecz o to, że grupa rządząca nie nadaje

się więcej do sprawowania władzy, ale nie ma na razie chętnych do zajęcia ich miejsca, bo nikt nie czuje się na siłach wyciągnąć wehikułu aż po osie ugrzęzły w błocie. Nie ma „buntu sił bezpieczeństwa” przeciw kierownictwu, jak to kiedyś ktoś sugerował, bo w samym bezpieczeństwie wyeliminowanie ministra Spraw Wewnętrznych Kowalczyka (chorego na nieuleczalną chorobę) pozbawiło te organy głosu w kierowniczym zespole.

Widać wyraźnie, że stare szablony nie ułatwią orientacji. Gierek jest rzecznikiem i realizatorem wzmoczonej sowietyzacji, a w tej chwili Sowiety wykazują właśnie wobec niego zniecierpliwienie, choć muszą go tolerować, bo nie widzą alternatywy. Opór społeczeństwa spowodował pewne korzystne zmiany w rodzaju lipcowej amnestii, ale bez kontynuowania w nowych warunkach, przy pomocy nowych metod oporu wobec groźby sowietyzacji Polski nie ma gwarancji trwałości wywalczonych swobód. Wydaje się, że warunkiem wstępnym takiej postawy jest rezygnacja z różnych złudzeń w rodzaju legend o liberałach, pragmatykach i męczach opatrnościowych.

*Franciszek HNIEDZIUK*

## Dziura w ścianie

Moje bezpośrednie, własne doświadczenia z policją polską są nader skromne: paragoniczne „aresztowanie” w Szczecinie, w Boże Narodzenie 1970 roku, kilka rewizji na granicy, wylegitymowanie na ulicy warszawskiej (w kilka godzin po spacerze z Jackiem Kuronim), pięć dni ostantacyjnego nadzoru, jedna rozmowa w Pałacu Mostowskich, podsłuch w sypialni, bliska znajomość z człowiekiem, który później okazał się policyjnym agentem... Właściwie zebrano się tego sporo, lecz w porównaniu z codzienną obecnością policji w życiu polskich dysydentów, i z grozą jaką te stałe konfrontacje niosą, moje przygody wydają się tylko wejściem turysty w koloryt lokalny, czyli w szary dzień i w mroczną noc tubylców.

Najzabawniejsza była dziura w ścianie. W połowie sierpnia 1975 roku byłem w Londynie, kiedy w ścianie warszawskiej sypialni którą opuściłem, odpadł mały płat tynku i z dziurki poza nim wysypała się kupka mączki cegły. Dziurka była idealnie okrągła i biegła trzydzieści trzy centymetry w głąb, zapewne ginąc w przewodzie wentylacyjnym. Niezamierzony otwór wylo-

towy ukazał się kilka centymetrów nad podłogą, tuż obok tapczanu na którym zwykłem sypiać. Elżbieta, gospodyni mieszkania, przeprowadziła małe dochodzenie. U sąsiadów zza ściany nie było żadnych znaków drażnienia. Nie wiedzieli o niczym, a niepokój jakim zareagowali na wiadomość o dziurze potwierdzał ich szczerłość. Pan domu grał na bębnie w warszawskim zespole, bywał za granicą, więc uznał że policja jego śledzi za pomocą dziury u sąsiadów. W innych rozmowach z mieszkańcami kamienicy wyszło na jaw, że jakiś czas temu pojawiło się kilku młodych ludzi w kombinezonach, wyposażonych w „walkie-talkie”, którzy twierdzili że wysłała ich administracja do sprawdzenia stanu przewodów wentylacyjnych. Chcieli dostać się do piwnic i na strych. Ale w ADM (Administracja Domów Mieszkalnych) nikt nic o takiej ekipie nie wiedział, nikt robotników pod ten adres nie wysłał.

Dziura w ścianie doczekała się mego ponownego przyjazdu i zyskała status turystycznej atrakcji mieszkania. Prowadziliśmy do niej przyjezdnych Anglików i warszawskich tubylców. Każdemu dziura od razu się kojarzyła z policyjnym podsłuchem. Zależnie od temperamentu, dowcipu, słownictwa i stopnia zaangażowania politycznego, zwiedzający wykrzykiwali w dziurę rady i komentarze, wszeptywali zwierzenia polityczne. Ciekaw jestem, czy cały ten kabaret został utrwalony i czy przechowywany jest w policyjnych magazynach. Dodać wypada, że ja sam głos mam cichy i matowy, taki co kiepsko się nagrywa.

Dziura ze ściany wyjrzała kiedy w grach z policją nie byłem już zawodnikiem całkiem początkującym. Zimą tego samego roku jeździłem po cichu do Szczecina, zbierając dokumentację do filmu o strajku w Stoczni im. A. Warskiego. Za każdym razem wyruszałem z Warszawy w nastroju nerwowego podniecenia. Inaczej mówiąc — bałem się. Szczecin był dla mnie miastem mało znanym, i miastem niedobrych wspomnień. W Warszawie czułem się zadomowiony, dorobiłem się tam setek przyjaciół i znajomych, w Warszawie istniało gniazdo dysydentów, miasto huczało od plotek kolportujących zwielokrotnione wersje każdego wydarzenia. Na swój sposób, stolica była miastem otwartym, co na co dzień stwarzało poczucie bezpieczeństwa. Do Szczecina wjeżdżałem jak w miasto Dzikiego Zachodu, miasto bezprawia, które w swych podziemiach nie toleruje wścibskich intruzów. Wszystko, co słyszałem, wzmacniało we mnie te paniczne, subiektywne odczucia. Spotkani robotnicy traktowali mnie początkowo jako nasłanego ubeka, „trenera”, bo któż inny przychodziłby do nich z takimi pytaniami? Jeżeli już udało mi się zyskać ich zaufanie, przynajmniej na czas pewien, opowiadali dziwne o policyjnej dżungli w jakiej żyją i rzucali oskarżenia o współpracę z policją

jedni na drugich. W ich egzystencji policja była wszechobecna, a jej interwencje wcale niezależne od pisanego kodeksu praw.

W Szczecinie nie spotkały mnie żadne złe przygody, ale po moim drugim tam pobycie poszedł na mnie donos do warszawskiej centrali. Jeżeli moje domysły są słuszne, donos złożyła osoba, której osobiście, mimo jej starań, wcale nie spotkałem. Słyszeliśmy tylko o sobie. Zaraz po moim powrocie do Warszawy pojechaliśmy z Elżbietą na kilka dni na wieś, zabierając maszyny do pisania. Na kwaterach wiejskich prawie nikt się nie przejmując obowiązkiem rejestrowania cudzoziemców, czyli że zginąłem z pola widzenia policji. Tymczasem w Warszawie, w opuszczonym przez nas mieszkaniu i w biurze Elżbiety, rozdzwoniły się telefony. Nieznajomi panowie koniecznie chcieli wiedzieć gdzie jesteśmy i kiedy wracamy. Nie znaleźli nas, ale w chwilę po swoim powrocie do biura, Elżbieta otrzymała telefoniczne wezwanie na Rakowiecką.

Rozmowa, niby kurtuazyjna w tonie, ale przeplatana pogroźkami i insynuacjami, odbywała się w murach centrali MSW na Rakowieckiej. Głównym jej tematem była moja osoba. Z punktu widzenia interlokutorów, owoce przesłuchania były chyba miżerne. Wieczorem tego samego dnia zorientowaliśmy się, że jesteśmy śledzeni. Jechaliśmy taksówką do znajomych na daleką Wolę. W zapadającym mroku zauważyliśmy przez tylne okienko czarną Dację (rumuńska, licencjonowana wersja Renault), trzy mającą się uporczywie naszego kursu w pewnym odstępnie za nami. Nasz kierowca zmylił drogę, wjechał w złą ulicę, zawrócił, a czarna Dacja powtórzyła wiernie te same bezsensowne manewry. Zatrzymaliśmy się na skraju nowego osiedla mieszkaniowego, Dacja też. Odeszliśmy taksówkę i szliśmy już dalej piechotą. Z Dacji za nami wysiadła panienka w krótkim kożuszkę baranym (był to mroźny, późno-zimowy wieczór) i mężczyzna w jesionce, a kierowca odjechał na pobliski parking. Weszliśmy pomiędzy wieżowce, umyślnie oddalając się od adresu znajomych. Po chwili mężczyzna się gdzieś zgubił, ale panienka szła uparcie za nami nie więcej niż dwadzieścia kroków z tyłu. Wykonaliśmy nagły zwrot, dosłownie po to żeby zajrzeć jej w twarz. Patrzyła przed siebie z marmurowo-teatralną obojętnością, nie przyjmując spotkania naszych oczu. Lakier, jak szron, błyskał w jej spiętrzonych, utapirowanych włosach. Po kilku minutach dalszego kluczenia wydało się nam, żeśmy ją zmylili. Wkroczyliśmy więc do wieżowca gdzie mieszkali znajomi, ale nim otworzyliśmy windę, weszli panienka z kierowcą Dacji. Zatrzasnęliśmy windę, a oni pukali w okienko i coś do nas wykrzykiwali. Polskie windy ruszają statecznie i potem też się

nie śpieszą. Po drodze w górę słyszeliśmy jeszcze tupot nóg pościgu.

Podobnie było przez kilka następnych dni, gdziekolwiek się nie ruszyłem. Policja nadzorowała nas — a przede wszystkim mnie — z nieskrywaną ostentacją. Przypuszczam że zainstalowani byli w kamienicy naprzeciw okien naszego mieszkania. O wszystkich porach dnia i nocy pojawiali się dokładnie w chwili kiedy przekraczałem próg domu. Było ich wielu, ludzi przeważnie młodych, poci obojga. Dziewczyny wszystkie ubrane były w takie same bułgarskie kożuszki, spod których wyglądał rąb krótkiej spódniczki, i w buciki z cholewkami po kolana. Z ramienia zwiślała skórzana torebka. Z fryzurą usztywnioną lakierem, nieruchomą pustką w twarzy i wystudiowaną niedbałością ruchów wyglądały jak odświeżone przybrane panny z powiatowej prowincji. W torebce zapewne nosiły mini aparat krótkofalowy. Kiedy szedłem piechotą i zatrzymywałem się, na przykład, na skrzyżowaniu ulic, czekając na zmianę świateł, dziewczyna w kożuszku wchodziła zwykle w bramę jakiejś kamienicy, chyba po to by nadać sygnał do kolegów. Koledzy urządzani byli wygodniej. Wszyscy nosili pod pachą skórzane teczeki-aktówki. Podobno byli w stanie nadawać w ruchu, podsuwając w górę, w stronę ust, ukryty w rogu aktówki mikrofon. Swojej obecności specjalnie nie maskowali, a raczej maskowali ją z pewną teatralną emfazą, urządzając nam, na ulicach Warszawy, kilkunastu dniowe przedstawienie, którego byliśmy, ja i Elżbieta, jednocześnie zniewolonymi głównymi postaciami i jedynymi świadomymi widzami. Po wyjściu z domu kierowałem się czasem do postoju taksówek. Na ulicy zaraz sprawdzałem spojrzeniem przez ramię czy idą za mną panna w kożuszku lub pan z teczką. Nie brakło ich nigdy. Nim przeszedłem sto metrów do rogu ulicy, mijał mnie samochód osobowy, który zatrzymywał się za postojem i czekał aż ruszy moja taksówka. Raz, wieczorem, zajrzeliśmy z Elżbietą do takiego czekającego samochodu. Spleceni w ciasnym, gwałtownym uścisku panna w kożuszku i młody kierowca łypali na nas, przechodzących, zimnymi oczkami. Kiedyś wychodząc z bramy domu, udało mi się zatrzymać przejeżdżającą pustą taksówkę. Już się cieszyłem, że ich zgubię, ale nim przejechaliśmy pięćdziesiąt metrów wyjechał nagle zza rogu, gwałcąc wszelkie przepisy drogowe, otwarty „jeep”, i zablokował nam drogę. Na przednim siedzeniu obok kierowcy siedziała dziewczyna w bułgarskim kożuszku. Mój taksówkarz obsypał ich całym asortymentem wyzwisk warszawskiej ulicy, ale minęło sporo czasu nim „jeep” dał mu drogę. Kiedy wreszcie ruszyliśmy, jechała już za nami normalna, czarna Dacia.

Znacznie częściej niż taksówką jeździłem po Warszawie tram-

wajem i autobusem. Na moim przystanku tramwajowym, na Filtrowej, obstawiały mnie co najmniej trzy osoby: jedna wśród czekających ludzi o parę kroków ode mnie, jedna wśród zaparkowanych samochodów z widokiem na całą ulicę i przystanek, jedna na postoju taksówek naprzeciw przystanku, na wypadek gdybym zmienił zamiar i przebiegł tam przez jezdnię. Czasem, sprawdzając zasady tej harcerskiej zabawy, przepuszczałem umyślnie kilka kolejnych tramwajów. Inni ludzie wsiadali, przystanek się wyludniał, tkwiłem tylko ja i ubek, mój cień. Ja wbiąłem w niego bezczelny wzrok, komunikując że już wiem kto on, a pan z teczką odwracał się plecami, niby wypatrując na placu Narutowicza następnego tramwaju. Kiedy trwało to dłużej, i głupota sytuacji zaczynała ciążyć, kolega z chodnika przechodził na przystanek, a mój zluźniony cień poprzedni odchodził na chodnik. Zabawę mogłem kontynuować z nowym partnerem. Zdarzało się, że próbowałem ich zgubić. Nadchodził mój tramwaj, a ja odstępowałem o krok, puszczałem innych, niby się odwracałem, i dopiero jak się drzwi już zamykały, wskakiwałem na stopień. Uciecha, kiedy mi się udawało, nie trwała dłużej niż do następnego przystanku. Obstawa, zapewne podrzucana szybszym od tramwaju samochodem, znowu do mnie dołączała. Zdarzyło się, że w moim punkcie docelowym na drugim końcu Warszawy z innych drzwi tramwaju wysiadał ten sam ubek którego udało mi się „zgubić” na Filtrowej i odprowadzał mnie pod same drzwi.

Byłem w tej grze, jak się rzekło, nowym zawodnikiem i dawałem się łatwo wciągnąć. Nie potrafiłem sobie odmówić satysfakcji identyfikowania śledzących mnie ubeków. Nie było to wcale trudne. Wszyscy nosili na twarzy martwą maskę obojętności. Kiedy im się z bliska, oko w oko, zaglądało w twarz, nie okazywali zdziwienia, nie spotykali wzroku, nie reagowali wcale. Nawet głośną, wyraźnie zaadresowaną obelgę, za którą prawidłowemu Polakowi wypada huknąć w pysk, przyjmowali bez reakcji, z nieruchomym spojrzeniem gdzieś obok mego ucha. Za to byli czujni na każdy nieoczekiwany mój ruch. Jeśli, wysiadając z tramwaju, kierowałem się na chodniku w lewo, po czym nagle, w tej samej sekundzie, zawracałem w prawo, mój cień, wysiadając za mną, z mechaniczną, bezduszną precyzją, powtarzał ten moment udanego wahania.

Zmieniali się dosyć często. Kiedy mi się twarz spotykana tego samego dnia w różnych punktach miasta już opatrzyła, zniknęła i znowu miałem zabawę z identyfikowaniem świeżej. I tak przez pięć kolejnych dni.

Czułem się jak w podłej, kryminalnej szmirze, gdzie ograne

chwyty powtarzają się w jednym ciągu; w szmirze bezradnie nudnej, która dojść nie może do żadnego spełnienia. Niby się nie bałem, to znaczy — chowałem strach przed samym sobą. Zdawałem sobie sprawę, że nic strasznego mi nie grozi: najwyżej przesłuchanie, wyrzucenie z Kraju, lub — w najgorszym już wypadku — poszturchanie, dla przestrogi, w jakiejś ciemnej brampie. A jednak strach gdzieś tkwił na granicach świadomości, bo spędziliśmy te dni w nerwowym podnieceniu. W środku znajomego miasta, wśród tłumu ludzi z którymi zdawało się, że jesteśmy zżyci, poczuliśmy się nagle samotni i jakby dotknięci zaraźliwą chorobą. Zapewne policja dobrze o tym wie, że pierwszym efektem ostentacyjnej inwigilacji, szczególnie dla jeszcze niezahartowanych, jest rosnące wrażenie wyobcowania; że nie-normalność własnej sytuacji, obnoszona wszędzie, wytrąca śledzonych z udziału w normalnej ludzkiej społeczności. Poprzez każdy zawodowy lub towarzyski kontakt, ciągnąc musieliśmy za sobą swój ubecki ogon. Pracowałem wtedy w Warszawie nad scenariuszem polsko-angielskiego filmu i jeździłem często do biura produkcji, odprowadzany pod próg przez UB. W biurze nie mówiłem o tym ani słowa, bo nie chciałem nikogo płoszyć. Międzynarodowe koprodukcje filmowe z Zachodem, i bez tego są w Polsce sprawą nerwową. Zaproszenia do prywatnych domów stwarzały nowy, delikatny problem: czy jest przyzwoicie zaproszenie przyjmować, i w ten sposób kierować na gospodarzy uwagę UB? Przyjaciołom najbardziej zaufanym i ludziom o których wiedzieliśmy, że mają w swoim życiorysie podobne przeżycia, mówiliśmy wprost, nie zważając na prawdopodobieństwo telefonicznego podsłuchu, że jesteśmy śledzeni. Przyjmowaliśmy zaproszenia ponawiane tonem niewątpliwej szczerości. Innych znajomych po prostu nie wypadało informować o naszej sytuacji. Sprawa stawała się towarzysko nieprzyzwoita. Pytać się, czy możemy przyjść ciągnąc za sobą ogon UB, brzmiało jak propozycja wejścia na przyjęcie z otwartym rozporkiem. Nie przyjmowaliśmy więc zaproszeń, nie zapraszaliśmy nikogo, siedzieliśmy w domu, lub, z przewrotnego impulsu, wychodziliśmy ostentacyjnie, na przykład, do restauracji, zademonstrować policji, że nic sobie z nich nie robimy. Podświadomie coraz częściej adresowaliśmy nasze poczynania i rozmowy do policji, w poczuciu że jesteśmy stale obserwowani i podsłuchiwani. Oni stawali się naszym najbardziej zwykłym, choć nieznośnie drażniącym towarzystwem. Wyzywaliśmy ich do walki na miny, prowadziliśmy z nimi pośredni, nieartykułowany i w sumie dosyć głupi dialog.

Końcówką sceną tego przedstawienia była rozmowa UB ze mną w Pałacu Mostowskich. Sprawy zawodowe zatrzymały

mnie w Warszawie dłużej niż początkowo zamierzałem. Uzbromiony w pismo z Zespołów Filmowych udałem się z prośbą o przedłużenie wizy do Biura Kontroli Ruchu Cudzoziemców, mieszczącego się na tyłach Pałacu Mostowskich. Mój brytyjski paszport nie miał już wolnych kartek: wypełniony był pieczęciami dokumentującymi częstotliwość moich kontaktów z Polską Ludową. Odesłano mnie więc po nowy paszport do Konsulatu Brytyjskiego. W trakcie tych właśnie dni kiedy stałem się obiektem Operacji Specjalnej, krążyłem, włokąc za sobą swój ubecki ogon, pomiędzy pałacykiem w Alei Róż gdzie mieści się warszawskie przedstawicielstwo Zjednoczonego Królestwa, starą babcią przy ulicy Kruczej która w ciasnym pokoiku obwieszonym zdjęciami wnuczek w dzień Pierwszej Komunii wykonywała zdjęcia paszportowe (w nowym paszporcie mam na twarzy wyraz wyzywającej bezmyślności, czyli minę moich ubeckich nadzorców) i Pałacem Mostowskich. Panienci w bułgarskim kożuszkach i panowie z aktówką wysiadali wraz ze mną na placu Dzierżyńskiego i prowadzeni przeze mnie szli wzdłuż własnej rezydencji, wzdłuż zakratowanych okien znanych wielu dysydemtom piwnic, do klatki schodowej z tyłu, przy ulicy Nowotki, gdzie ja znikąłem w drzwiach, a oni czekali na mrozie pod własnym domem, aż się znowu pokażą.

Kiedy przyszedłem do Pałacu Mostowskich po raz ostatni, już po odbiór wizy, urzędnik z biura paszportowego przeprosił, że wiza nie jest gotowa, natomiast że pan — tu wymamrotał całkiem niezrozumiale jakieś nazwisko na „icz” — chce ze mną porozmawiać. Prowadził mnie przez korytarz i klekocący maszynami biurowymi pokój do ukrytego z tyłu gabinetu, gdzie czekał niewielki człowieczek w średnim wieku, z plastyczną twarzą aktora od charakterystycznych, drugoplanowych ról. Wymamrotał jakieś nazwisko — coś jak „Turowicz”, lub „Borowicz” — kazał siadać (urzędnik z biura paszportowego też usiadł), i rozpoczął tonem dość impertynenckim mniej więcej tak: — „Przyjeżdża pan do Polski od lat, wpuszczamy pana, nie czynimy panu trudności, a tu okazuje się, że wchodzi pan w stosunki ze znanymi kryminalistami”. Owi „kryminaliści” — wyjaśniło się za chwilę — to stoczniovcy ze Szczecina, członkowie pogrudniowego Komitetu Strajkowego, z którymi, według mego rozmówcy, miałem się spotkać.

Przebieg całej rozmowy nie jest dla tej relacji istotny. Miałem w niej sytuację ułatwioną, bo mój interlokutor prawie bez oporu przyjął deklarację, że etyka zawodowa nie pozwala mi odpowiadać na pytania inkryminujące kogokolwiek. Nawet na przesłuchaniu w Pałacu Mostowskich zachowałem uprzywilejowany

status cudzoziemca. Wywiązała się półtoragodzinna zabawa w kota i myszkę, nie bez pogroźek pod moim adresem, ale „światowa”, prowadzona w tonie lepkiej kurtuazji. Indagujący mnie cywilny ubek okazał się na tyle cywilizowany, że bez żenady nazywał sam siebie policjantem, i chociaż sugerował, bez cienia uśmiechu, że wspólne jest nam dążenie do prawdy, do zbierania autentycznych informacji, nie przeczył też, że społeczne funkcje policjanta i pisarza są sobie przeciwstawne, a jakiegokolwiek ich zbliżenie jest symptomem choroby. Przy końcu rozmowy wystąpił milczącego świadka po mój paszport, po czym wręczył go mnie, ze wstemplowaną wizą, i ze stwierdzeniem, że nasza rozmowa zostawia w nim „poczucie niedosytu”. Kiedy wyszedłem z Pałacu, nie było w polu widzenia żadnych dziewczyn w bułgarskich kozuszkach, ani panów z aktówkami.

Cała ta moja łagodna policyjna przygoda spowodowana była wyłącznie kontaktami w środowisku robotniczym. Mój rozmówca w Pałacu Mostowskich nawet nie dotknął, chociażby w formie odległych aluzji, tematu mojej wcale nieskrywanej przyjaźni z warszawskimi dysydentami, która musiała być policji znana. Być może znali ją na tyle dobrze, że nie było potrzeby indagowania mnie w tej sprawie. Póki chadzałem przetartymi szlakami inteligentkiej opozycji, pęczniała po cichu moja warszawska, policyjna kartoteka, ale nie istniała potrzeba interweniowania. Działo się to przecież półtora roku przed powstaniem KOR'u, kiedy UB, we własnym przekonaniu, panowało nad sytuacją w opozycyjnych środowiskach inteligentkich. Co innego robotnicy. Każdy kontakt niepowołanych do tego osób z robotnikami pobudzał policję do natychmiastowego działania.

W okresach „normalizacji”, kiedy frustracje społeczne nie szukają otwartego politycznego wyrazu, zadaniem polskiej policji politycznej jest niewątpliwie wiedzieć raczej niż interweniować. W zasadzie ogranicza się ona wtedy do zbierania informacji poprzez obserwację, podsłuch i infiltrację opozycyjnych, czy potencjalnie opozycyjnych środowisk. Brzmi to jak konwencjonalne działanie aparatu policji jeżeli nie w każdym, to niestety w prawie każdym państwie i systemie. Tylko że w Polsce (prawdy oczywiście najłatwiej się zapomina) taka konwencjonalna działalność policyjna obejmuje obszary społeczne niesłychanie rozległe. Tam gdzie państwo ma monopol na inicjowanie wszelkich działań zbiorowych i na kontrolowanie ich przebiegu, każde środowisko powstałe spontanicznie i funkcjonujące bez oficjalnej licencji tym samym jest podejrzan, pośrednio antypaństwowe, i staje się przedmiotem otwartej lub ukrytej inwigilacji. Nie ogranicza się to wcale do grup organizujących się politycznie. Policja śledzi

wszystkich — od czarnego rynku po sekty religijne — którzy spotykają się z innymi we własnych, nieoficjalnych sprawach. Dotyczy to oczywiście także ludzi ukrytych w zakamarkach oficjalnej struktury, prowadzących tam własne interesy lub zdolnych do działania z osobistych pobudek.

Nie znam żadnych zakazanych policyjnych tajemnic, zabraknie więc w tej relacji sensacyjnych faktów. Funkcje policji w zaszczepionym Polsce systemie rządów widoczne są gołym okiem, a otarcie się, własną skórą, o donosicieli, etatowych agentów, podsłuch, inwigilację, jedynie zaostrza wzrok i pobudza bystrość obserwacji. Policja w tym systemie „kompensuje” brak otwartego życia politycznego. Zmuszają ją do tego mechanizmy społeczne i mechanizmy władzy, bo żadna inna zinstytucjonalizowana siła nie jest w stanie wejść w tę przepastną próżnię. Skoro nie istnieje „wolna gra sił” — z taką pogardą denuncjowana w oficjalnej prasie jako narzędzie kapitalistycznego wyzysku — skoro układy władzy nie pozwalają ujawniać i dramatyzować konfliktów społecznych, sprzecznych interesów grupowych, skoro na społecznej widowni nie ma politycznej sceny, gdzie odbywałby się nieustanny teatr politycznych konfrontacji i spień, ktoś musi te skrywane procesy podglądać i rejestrować, dotykać miejsc drażniących, mierzyć napięcia. Nauki społeczne, dziennikarstwo, literatura „faktów”, czy czysto polityczne, partyjne kanały sprawozdawcze, służą przecież głównie podtrzymywaniu oficjalnej, zadeklarowanej wersji rzeczywistości. Tylko policja jest zwolniona z obowiązku doktrynalnej prawomyślności, czy raczej z obowiązku pilnego przyswajania kolejnych doraźnych posunięć władzy jako miażdżąco słusznych.

Policja ma i swobodę i obowiązek przekraczania granic życia oficjalnego i przebywania na wstydlivych dla systemu obszarach spontanicznego życia społecznego. To jest źródłem jej siły. Policja jest jedynym, strukturalnie nieodzownym filarem, który utrzymuje oficjalną wersję rzeczywistości w strefie rozrzedzonego powietrza, łącząc ją, swoimi kanałami, z życiem faktycznym. Czym dalej od ziemi jest rzeczywistość oficjalna, tym większa jest władza i donioślejsza rola policji. Bo w tym systemie policja stoi, owszem, na straży prawdy: by przypadkiem jakieś jej krople nie przedostały się do życia publicznego.

Graficzny obraz struktury policyjnej, z jej wszystkimi rozgałęzieniami i pędami korzonków, wrosniętej z jednej strony w mnożące instytucje ludowego państwa, a z drugiej w podziemną zbiorowość jego obywateli, oszałamiałaby barokową bujnością i śmiałością form. Urząd Bezpieczeństwa ma swoich ludzi w agencjach prasowych i informacyjnych, w redakcjach i biurach wy-

dawnictw, w placówkach dyplomatycznych MSZ, urzędach ministerstw, w sporcie itd. Poza rzeszą etatowych, choć nieoficjalnych pracowników Służby Bezpieczeństwa są na jej usługach ludzie luźniej z nią związani i niekoniecznie płatni. Wystarczy, że ktoś przyjmie zaproszenie na poufne spotkanie w kawiarni z cywilnym funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa, i że się wda z nim w pierwszą, pozornie niewinną rozmowę. Strach przed konsekwencjami odmowy skłania wielu — zapewne większość — zaproszonych do stawienia się na takie telefonicznie omówione spotkania. Po pierwszym przychodzą zwykle dalsze zaproszenia, rzadkie i w nieregularnych odstępach. Chodzi tu o łagodną, towarzyską, kawiarniano-plotkarską formę współpracy, z uśmierającym skrupuły zapewnieniem ze strony oficera w cywilu, że rozmowa jest obustronnie poufna i przekazane w niej informacje nie zostaną przeciwko nikomu użyte. Świeży kontakt, o ile zaraz na wstępie nie odmówi takich usług w sposób całkiem jednoznaczny, wkrótce grzęźnie po uszy w roli donosiciela.

Nic dziwnego, że obraz wszechobecnego UB zakorzenił się silnie w zbiorowej wyobraźni mieszkańców Polski Ludowej. Miano „ubek” należy do najbardziej powszechnych terminów obrazy. Operuje się nim często rozrzutnie i raczej pochopnie, bo właśnie po to by kogoś dotknąć lub oczernić, bez konkretyzowania o jaki rodzaj działalności, chodzi, ale zwykle jest ta nazwa wyrazem podejrzenia o donosicielstwo, a nie o rolę pełnego agenta MSW, z miesięczną gażą i legitymacją służbową w kieszeni cywilnej marynarki. Czasami „ubekiem” nazywa się osobę wysługującą się skwapliwie jakiegokolwiek władzy, niejako poprzez analogię, bo i w tym wypadku istotą zarzutu jest pomówienie o donosicielstwo. „Ubekiem” jest też pewien typ dziennikarza praktykujący rodzaj felietonu „interwencyjnego”, który w gruncie rzeczy jest tylko publicznym donosem odwrotnie adresowanym, z wyżyn władzy w dół, do tłumu szarych czytelników. W tym wypadku inspiracje policji są niewątpliwe i chyba całkiem bezpośrednio, bo policji jest najłatwiej spreparować kłamstwa dla poparcia represyjnych posunięć władzy. Inne artykuły „polemiczne”, traktujące o „wrogich ośrodkach” i „określonych siłach”, rodzą się z inspiracji czysto politycznych, ale są równoległe do działalności policyjnej i niejako poprzez atrakcję nabierają ubeckiego posmaku. Bo skoro autor „polemizuje”, na przykład, z Sołżenicynem, którego książek nie wolno jest w Polsce czytywać, i nie wolno ich także cytować ani streszczać, „polemika” sprowadzić się musi do rytualnego napiętnowania wroga „przodującego systemu”, a więc jest kontynuacją policyjno-cenzuralnych represji.

Stosunek pogardy do policji jest sam w sobie krzepiącym odruchem obronnym, ale są też w zbiorowej wyobraźni składniki policyjnej psychozy, przeświadczenie, że policja wszystko słyszy i widzi, że obecna jest wszędzie. Nie sięga to w Polsce głębin panicznej grozy, jak chociażby w Związku Sowieckim. Czarny humor i czarna autoironia są w Polsce częstszym wyrazem takich kompleksów niż odruchy paniki. W rozmowie w cztery oczy na ryzykowny temat wstępnym dowcipem bywa wariant stereotypu „który z nas będzie to nagrywał”, a na zakończenie „kto z nas teraz zadzwoni na Rakowiecką”. Nonszalancja jest powszechnym sposobem bycia, ale pokrywa ona prawdziwą podejrzliwość i zakamarki prawdziwego strachu.

Czarny humor jest także po to, by rozpedzać demony, a w jednej parze z podejrzliwością chadza sceptycyzm, niedowierzanie by mogło być aż tak źle jak być się wydaje. Jakże często właśnie ludzie z Kraju, w konfrontacji z konkretnymi wypadkami inwigilacji policyjnej, nie chcą dawać wiary oczywistym symptomom, potrzebują namacalnych dowodów, że UB ich śledzi. Pomiędzy ironiczną znajomością policyjnych mechanizmów, a praktycznym ich doświadczeniem, jest szczelina nadziei. Zgryźliwy dowcip jest czarną magią i zamawianiem znachora. Wyobrazić sobie trzeba wszechobecność policji po to, by się rozplynęła. Jest więc szokiem kiedy zamawianie nie skutkuje i zabobonna fikcja staje się ciałem.

Z drugiej strony wyobraźnia ludowa na pewno wyolbrzymia wszechmoc policji i pomnaża zastępy jej cywilnych agentów. Podejrzewam, że chociaż praktyka donosicielstwa rozkrzewiła się ponad wszelką miarę, stając się jednym z czynników wykruszających spoiście społeczną Polaków, ilość etatowych agentów, ukrytych w różnych środowiskach, nie jest tak bardzo wielka. Jako tytuł do dalszych spekulacji na ten temat zgłosić mi w tym miejscu wypada znajomość człowieka, który okazał się agentem. Był postacią znaną w środowiskach warszawskiej opozycji, po czym pojawił się na emigracji, „zawalił” swoją policyjną misję i wrócił do Kraju.

Nie chcę go tu ani demaskować, ani chronić przed zidentyfikowaniem. Nazwiemy go „Maślakiem”. Znajomych miał wielu, nie tylko mnie. Skomplikowany splot okoliczności praktycznie nieszkodliwił go jako agenta i obnażył niektóre aspekty jego działalności, ale wszystko co dzisiaj wiem o nim stanowi jedynie wierzchołek mrocznej kariery „Maślaka”. Lecz znałem go dobrze i mógłbym wyspekulować z jego sylwetki fikcję o wysokim stopniu prawdopodobieństwa. Ciekawsze to jest i bardziej pouczające zadanie, niż ścisła relacja niewielu dostępnych mi faktów, ograniczonych do tego drastycznie wymogami dyskrecji wobec

innych osób zamieszanych w towarzyskie, uczuciowe i zawodo-polityczne życie „Maślaka”. W tym miejscu ograniczę się do paru uogólnień, wcale nie krępując się tym, że uogólniam z jednego, ale za to bardzo jaskrawego przypadku.

Ze znajomości z „Maślakiem” wyniosłem przekonanie, że wystrzegać się należy ludzi, których skwapliwa i energiczna działalność polityczna wypływa z niejasnych, niewidocznych motywów. „Maślak” nie miał okrzeplego światopoglądu politycznego, ani pasji szukania własnej do niego drogi. Działał z niezrozumiałych — zdawało się — wewnętrznych konieczności.

Nie budził podejrzeń, bo był towarzysko wzyty w środowisko opozycji i korzystał z koleżeńskiego kredytu zaufania. Ale w zależności „Maślaka” od towarzyskich układów krył się następny rys niepokojący — jak mi się to widzi z dzisiejszej perspektywy. Bowiem strzec się też należy osób, które jak powietrza łakną towarzyskiego uznania, dla których nieodzownym warunkiem egzystencji jest poczucie że są lubiani, którzy w każdym osobistym stosunku dopasowują się do partnera w stopniu, który przekreśla ich wewnętrzną autonomię, których przeraża perspektywa samotności. Nie chodzi tu wcale o zwykłą próżność, której doza jest niemal nieodzowną cechą ludzi żyjących publicznie. „Maślak” był właśnie wyczulony na cudzą próżność, posiadał rodzaj kurewskiej inteligencji, która pozwalała mu znaleźć właściwy ton i temat by zręcznym pochlebstwem wmościć się w czyjeś łaski. Więc obawiać się trzeba i bystrych pochlebców, ludzi żywej inteligencji ale płaskiego, przyziemnego lotu, których ambicje nie sięgają wyżej towarzyskich sukcesów. Spośród takich, jak „Maślak”, rekrutują się agenci Bezpieczeństwa.

Zapewne większość cywilnych agentów przychodzi do służby poprzez szantaż raczej niż ochotniczo. Ale pod policyjnym naciskiem też się dokonuje rodzaj naturalnej selekcji. Załamują się różni. Imponuje mi ów „marcowy” student, który po wyjściu z aresztu mówił każdemu napotkanemu koledze już przy pierwszym uściśnięciu dłoni: — „słuchaj, musimy przestać się spotykać. W więzieniu podpisałem współpracę z UB”. „Maślaka” nie stać było na gest podobny. Skrzywienie osobowości, które wzmogła w nim i umiejscowiła współpraca z policją, tkwiło w nim i przedtem.

Cyniczny i wyrachowany stał się zapewne dopiero w trakcie wypełniania swego tajemnego zawodu (uwaga na ludzi, którzy mają zwyczaj życia ponad stan, i spłacają długi), ale nie był to cynizm wyrachowanie zimny. „Maślak” miewał porywy sentymentalności i szczerze lubił niektóre ze swoich ofiar. Żył ze sprzedawania ludzi których lubił, bo taki odkrył w sobie talent

i tylko trochę go popchnięto, by wszedł na drogę spożytkowania tych uzdolnień.

Jest mi łatwo uwierzyć, że „Maślak” w sprawozdaniach dla policji umieszczał tylko część tego co wiedział, że dużo policji kłamał, że płatał się w nieprzytomnych pseudolojalnościach i czasami sam przed sobą odgrywał „prawdziwego” opozycjonistę. Skoro kłamał przed przyjaciółmi, kłamał przed samym sobą, dlaczego miałby mówić prawdę policji?

Trudno wyobrazić sobie w Polsce agenta związanego ze swoimi policyjnymi mocodawcami prawdziwym poczuciem lojalności. Prestiż społeczny takiego „zawodu” jest znacznie mniej niż zerowy, wielolicowość leży w samej jego naturze, a otoczenie nie wytwarza, dla takiej służby, żadnych pobudek ideowych. Agent pracuje na swój własny, panicznie egoistyczny pożytek, ratuje co się da ze swojej żalosnej egzystencji, wsłuchuje się w wahania koniunktury, asekuruje się na wszystkie strony, kłamie na wszystkie strony, jest zawsze agentem podwójnym i więcej niż podwójnym.

Obraz podziemnego życia Polaków, składany z relacji policyjnych agentów, nie może być dokładny. Mistyfikacja rodzi się i rozprzestrzenia już u samego źródła informacji, nim jeszcze relacje przetworzone zostaną przez odpowiedzialnych za to pracowników MSW, z ich własnym skrzywieniem wyobraźni, z policyjnymi uprzedzeniami, i o niekoniecznie lotnej inteligencji. W jakimś stopniu wszystkie te sprawozdania, donosy i podśluchy same się neutralizują, poprzez swoją monstrualną masę, przypadkowość i niewiarygodność. Zresztą, chociaż bezprawie jest wrodzonym rysem systemu, Polska nie jest państwem otwartego terroru (nie licząc epizodów takich jak represje po czerwcu 1976 roku) i nie sposób jest wyciągać policyjnych konsekwencji z byle donosu. Przy całej swej wszechobecności policja na pewno nie zna „całej prawdy” i być może nawet nie stara się jej poznać. Natomiast ceni sobie skrawki informacji i pojedyncze fakty, jako momenty przewagi nad podejrzanymi. Przydają się policji wiadomości jakie kto nosi przezwisko, jakie ma gusta i z kim się zadaje. Pozwala to, na przykład, spreparować i uwiarygodnić anonimy, zaszczepiać podejrzliwość, orientować się jakie kłamliwe świństwo może do opozycjonistów przylgnąć.

Bowiem w Polsce aktywność opozycji gasi się zwykle nie terrorem, a wylewaniem kubłów pomoy i gówna na głowy opozycjonistów. To jedno z głównych zadań tajnej policji.

Bolesław SULIK



## Manowce polityki gospodarczej PRL

### DESTRUKCYJNA FUNKCJA WYDAJNOŚCI PRACY

Jedno z naczelnych haseł komunistów opiera się na znanym poglądzie Lenina, że o rywalizacji między socjalizmem i kapitalizmem zadecyduje wyższa społeczna wydajność pracy.

W 1975 roku w całym transporcie PRL przemieszczono łącznie ok. 2,5 mld. ton towarów, z tego aż jeden miliard tzn. 40 % trzeba było przeładować ręcznie. Niemniej uzyskano bardzo dobre wskaźniki wzrostu wydajności pracy, we wspomnianym roku — o ok. 12 %, w latach 1970-1975 aż o ponad 67 %. Skądinąd wiadomo, że liczba godzin nadliczbowych była w całym transporcie wyższa niż w przemyśle ponad cztery razy, a w transporcie samochodowym nawet sześciokrotnie, gdzie na 1 pracownika przypadło przeciętnie 457 godzin nadliczbowych, to znaczy równowartość pięćdziesięciu siedmiu dni w ciągu roku, przy czym na jednych przypadło mniej, na innych znacznie więcej przepracowanych godzin nadliczbowych. Innymi słowy, wydajność pracy tych ostatnich była niebywale wysoka, ich to dziełem był ręczny przeładunek miliarda ton towarów, ich lwiał zasługą — wysoki skok wskaźnika wydajności pracy. *Takiej* dynamiki wydajności pracy w transporcie nie zna żaden zachodni kraj (kapitalistyczny).

Według definicji Marksa wartość jest to społeczna praca ludzka ucieleśniona w towarze. Podobnie jak każdy inny towar, również siła robocza posiada wartość. Siła robocza jest jednak towarem szczególnym, bowiem w procesie jej użytkowania powstaje wartość większa od wartości samej siły roboczej. W jednej części dnia pracy robotnik odtwarza wartość swojej siły roboczej (lub płacy), w drugiej wytwarza wartość dodatkową. Tę wartość przechwytyją kapitaliści, co jest źródłem konfliktów między pracą i kapitałem. Według Marksa bezwzględna wartość dodatkowa powstaje na skutek przedłużenia dnia roboczego i w wyniku zwiększenia natężenia (intensywności) pracy.

Wraz ze wzrostem wydajności pracy ludzkiej zwiększa się stopień wyzysku robotników.

Stalin i jego teoretycy uzupełnili Marksa. W socjalizmie właścicielami środków produkcji są sami robotnicy, ich kapitalistyczni właściciele zostali zlikwidowani. A zatem robotnik przestał być towarem, ponieważ nie może swojej siły roboczej sprzedawać samemu sobie. W związku z tym zanikną również podział czasu pracy na dwie części, zanikła kapitalistyczna kategoria ekonomiczna w postaci wartości dodatkowej — ustał wyzysk klasy robotniczej. Odtąd wzrost wydajności pracy, *każdy* wzrost, również dzięki godzinom nadliczbowym i tzw. czynom społecznym (również w łagrach!) służy wyłącznie socjalistycznym (a nie kapitalistycznym) właścicielom środków produkcji, to znaczy samym robotnikom. Praca wyzwolona od wyzysku, praca dla siebie, stworzyła nowe, niebywałe warunki wzrostu socjalistycznej wydajności pracy. Sam Lenin powiedział: w ostatecznym rozrachunku o rywalizacji między socjalizmem a kapitalizmem zadecyduje wyższa społeczna wydajność pracy.

Według sowieckiej statystyki wydajność pracy przypadająca na jednego zatrudnionego w przemyśle w okresie 1950-1971 wzrosła w kilku krajach jak następuje: w Związku Sowieckim o 260 %, w USA o 100 %, w Anglii o 73 %, we Francji o 186 % i w NRF o 162 %. Tym samym system sowiecki wykazał zdecydowaną przewagę nad systemem kapitalistycznym.

Na podstawie wschodnich źródeł statystycznych można przyjąć, że w 1974 roku ponad 23 mln. zatrudnionych w przemyśle USA wytworzyło dochód narodowy wartości ok. 420 mld. dolarów. a w Związku Sowieckim mniej więcej 43 mln. pracujących w przemyśle wyprodukowało dochód narodowy wartości, szacunkowo, 180 mld. rubli. To znaczy w przeliczeniu na 1 zatrudnionego w przemyśle przypadło w USA więcej niż 18 tysięcy dolarów, w Związku Sowieckim poniżej 4.200 rubli, czyli parokrotnie mniej. O ile, oczywiście, źródła wschodnie podają prawdziwe dane.

Z najnowszych badań opublikowanych w USA wynika, że gospodarkę sowiecką oczekują w najbliższej przyszłości bardzo duże trudności. Tempo rozwoju gospodarczego będzie coraz słabsze m.in. na skutek niemożności kontynuowania wzrostu ekstensywnego („wszerz”) z powodu niedoboru siły roboczej, z drugiej strony wobec niezdolności systemu do przejścia na tory rozwoju intensywnego (poprzez modernizację). W tej sytuacji

Związek Sowiecki będzie zmuszony do importowania z krajów kapitalistycznych coraz większych ilości towarów, maszyn i przede wszystkim nowych technologii, a w tym celu niezbędne będą bardzo wysokie kredyty z krajów zachodnich.

Fryderyk W. Taylor podczas pracy w zakładach mechanicznych w Filadelfii (było to, gwoli przypomnienia, przed pierwszą wojną światową) doszedł do wniosku, że zamiast szacowania danej pracy „na oko”, należy zbadać i ocenić ją w sposób naukowy, na podstawie obserwacji ruchów, pomiaru czasu i innych czynników mających wpływ na wydajność pracy. Na podstawie tych badań ustalał on czas pracy najlepszego robotnika jako obowiązującą normę pracy, następnie wprowadził akordowy system płac oparty na normach. Były to jeszcze lata, kiedy udział pracy żywej był bardzo wysoki, a w organizacji pracy i produkcji tkwiły znaczne rezerwy. W sumie taylorizm prowadził jednak do optymalnej a nierzadko i maksymalnej intensyfikacji pracy robotnika. Z upływem czasu praca akordowa przekształcała się w jedną z najbardziej niehumanitarnych form organizacji produkcji — jednostajne, monotonne ruchy przy taśmie stały się synonimem panowania maszyny nad człowiekiem — robotnik przekształcił się w część maszyny. Taylorizm stawiał również na rywalizację między robotnikami, słabsi mieli równać do silniejszych, ci ostatni zyskiwali uznanie kapitalistów.

Taylorizm znalazł w Związku Sowieckim bardzo silny oddźwięk. Tuż po rewolucji Lenin polecił przeprowadzić dokładne badanie systemu Taylora, wprowadzono o jego naukach wykłady na uczelniach. Późniejszy ruch stachanowski, aczkolwiek był karykaturą taylorizmu, miał z nim coś wspólnego. „Stachanowszczyzna”, jak ją pogardliwie nazywano w Związku Sowieckim, została następnie uzupełniona „metodami pracy socjalistycznej” inż. F. Kowalowa, Korabielnikowej, Żandarowej. Ich pereelowskimi odpowiednikami stali się Pstrowski, Soldek i inni. Potem wprowadzono „metody” pod różnymi nazwaniami, jak np. „Ja nie wypuszczę braku!” System Taylora zdeaktualizował się na Zachodzie w wyniku postępu technicznego, na skutek eliminowania pracy żywej przez pracę uprzedmiotowioną — nie wytrzymała próby czasu metoda określania norm pracy na podstawie wyników najlepszego „przodownika” czy „stachanowca”. Komunizm przyswoił sobie Taylora znacznie lepiej niż kapitalistyczny Zachód, ale odrzucił jednocześnie to co w tayloryzmie było najcenniejsze: zamiast empiryzmu — nauka; w miejsce niezgody — harmonia; najwyższa sprawność zamiast hamowania wydajności pracy; szkolenie jednostki dla poprawy jej osiągnięć i dobrobytu. Co się tyczy harmonii w procesie pracy, komunizm przyjął ją werbalnie, ba, jedność interesów jednostki i kolektywu oraz kolektywu i państwa wypisał

na czołowym miejscu w ideologii i propagandzie. Panuje zbieżność interesów.

*Trybuna Ludu* w lipcu br. pisała: „Niemał każdy może wykazać, że w konkretnych, jednostkowych przypadkach powstają konflikty między dobrą, społecznie najbardziej użyteczną pracą a szansą poprawienia swoich zarobków, uzyskania premii, wyróżnień, awansów itp. Bywa i tak, że łatwiej te korzyści osiągnąć, działając w sprzeczności z interesem społecznym lub na pograniczu tego interesu, niż wtedy, gdy działa się zgodnie z tym interesem”. Nie o oszustach, wydrwigroszach czy włamywaczach tu mowa, lecz o robotnikach, załogach fabryk. Jak oni to robią, że próbują „poprawić swoje zarobki”? Oto przykład. Na rynku brak jest mięsa, wobec czego szczególnego znaczenia nabiera prawidłowe wykorzystanie innych pełnowartościowych surowców spożywczych, w czym niemałą rolę do odegrania mają zakłady garmażeryjne. Przeprowadzona niedawno kontrola w wytwórniach garmażeryjnych wykazała, że w latach 1973-1976 udział wyrobów z surowców mięsnych nadal wzrósł z 42 % na 44 %, a udział surowców niemięsnych zmalał. Przyczyny są dwie i obydwie mają bezpośredni związek z wydajnością pracy oraz z rozbieżnością interesów załogi zakładów garmażeryjnych i państwa. Otóż surowce niemięsne wymagają na ogół większego wkładu pracy, co odbija się ujemnie na poziomie wydajności pracy. Po wtóre, wyroby z surowców niemięsnych są zazwyczaj tańsze od mięsnych, przez co obniża się ogólną wartość wytworzonej produkcji a wraz z nią również poziom wydajności pracy. W konsekwencji robotnicy i administracja zakładów zostają pozbawieni premii, ta zaś stanowi pokaźną część ich ogólnego zarobku. Jest to jawna sprzeczność interesów ekonomicznych, a nie sprzeczność, jak sugeruje *Trybuna Ludu*, wniecana przez „żądnych” swojej szansy zarobkowej robotników.

Brak harmonii, antagonistyczne sprzeczności, komunizm usiłuje przykrywać tzw. socjalistycznym współzawodnictwem pracy. Współzawodniczą między sobą pojedynczy robotnicy, brygady, oddziały, zakłady, zjednoczenia, całe resorty. Zwycięzcy otrzymują tytuły „Bohatera Pracy”, sztandary, puchary; tworzy się „Brygady Socjalistycznej Pracy”, „Brygady Młodzieżowe”; fotografii wyróżnionych publikują gazety, telewizja, wywiesza się w gablotach ozdobnych przy wejściu do zakładów. „Przesłankami powstania socjalistycznego współzawodnictwa pracy — głosi PZPR — jest uspołecznienie środków produkcji, praca „na swoim”. „Do cech i zasad organizacyjnych współzawodnictwa zalicza się: ponadobowiązkowość podejmowanych zadań (a więc ponad plan), dobrowolność, samorzutność, masowość, wzajemną pomoc i upowszechnianie sukcesów. Organizatorem współzawod-

nictwa są związki zawodowe — „szkoła komunizmu” mas pracujących”.

Oczywiście, współzawodnictwo pracy jest wielką fikcją, taką samą, jak udział tysięcy ludzi w manifestacji przeciwko jakiemś „imperializmowi” albo na rzecz „przyjaźni” ze Związkiem Sowieckim. Mechanizm jest podobny. Jest masowe, lecz ani dobrowolne, ani samorządne. Zasadniczy cel polega na śrubowaniu norm pracy przy jednoczesnym ograniczaniu wzrostu płac. Jej następnym celem jest — nie zreszanie wytwórców lecz wręcz przeciwnie — ich dezintegrowanie, rozbijanie wspólnoty interesów pracujących w obliczu odgórnie narzucanych planów. Współzawodnictwo pracy socjalistycznej ma stanowić niejako oprawę sceniczną dla „batalii” o plan, dla klimatu szturm i ofensywy — przy maszynach, na budowach i polach. Ma ono wreszcie stanowić idealny środek zastępczy, który winien wypełnić wyrwy w organizacji pracy, zrekompensować straty powstające w wyniku bałaganu w organizmie gospodarczym (przeście maszyn, wagonów, wadliwa kooperacja, arytmiczność dostaw surowców i materiałów itp.). Współzawodnictwo pracy socjalistycznej stanowić ma polityczną i psychologiczną nadbudowę do koncepcji wzrostu wydajności pracy.

W 1976 roku do wszystkich instancji partyjnych wpłynęły żale i skargi od 287 tys. osób, w tym do KC PZPR siedem tysięcy. Co najmniej równie tyle skarg wpłynęło do urzędów państwowych i dyrekcji przedsiębiorstw. Widzicie, powiada partia, ludzie piszą do nas i przychodzą, a więc mają zaufanie. Nieprawda. To tylko mała część *zrozpaczonych, wzburzonych* postanowiła wyładować swój stress, zawiniony przez partię i państwo. Na co się skarżą? Cytuję za *Nowymi Drogami*: „Jedną z głównych przyczyn skarg jest nieumiejętność kojarzenia przez kierownictwa gospodarczo-partyjne przedsiębiorstw wzrostu produkcji i poprawy efektywności gospodarowania z codzienną troską o załogę, o warunki pracy i sprawy socjalno-bytowe, warunki odпочynku, dojazdy do pracy”. Nieraz administracja w pogoni za efektami produkcyjnymi i ekonomicznymi zapomina o konieczności „równoległego rozwiązywania spraw pracowniczych”. W kolektywach pracowniczych powstają różnego rodzaju *zadrażnienia, pretensje* i wzajemne uwagi... Opinie, uwagi, skargi dotyczą szczególnie *organizacji pracy i toku produkcji, kooperacji, czasu pracy ludzi i maszyn, a także surowców i materiałów*. Skargi i żale ludzi pracy dość wiernie odzwierciedlają system „komunistycznego taylorizmu” w ponad sześćdziesiąt lat od śmierci samego Taylora.

Od kilku miesięcy toczy się na łamach prasy PRL dziwna

wojna, tym dziwniejsza, że zdaje się niezauważona. W majowym numerze *Życia Warszawy* ukazał się artykuł prof. dr. hab. Alojzego Melicha zatytułowany: „Wbrew stereotypom. Płaca a wydajność?” Artykuł odbiega od znanych od trzydziestu lat stereotypów. Autor wysuwa zaskakującą (jak na stosunki wschodnioeuropejskie) tezę w myśl której, wskaźnik wydajności pracy nie odgrywa przypisywanej mu roli. I przytacza ważne argumenty na dowód „zawodności wskaźnika wydajności pracy jako podstawy dla oceny gospodarowania funduszem płac w krótkich okresach”..., a w innym miejscu powiada nawet, że: „Celem produkcji w socjalizmie nie jest zresztą wzrost wydajności pracy, a stale coraz lepsze zaspokajanie potrzeb”. Powinien być, gwołi prawdy, napisać wyraźniej, że jednak celem socjalizmu był i jest jeszcze nadal wzrost wydajności pracy. Ale Autor i tak sobie na bardzo dużo pozwolił, może dlatego, że jest posłem na Sejm, albo dlatego, że jest doradcą i człowiekiem bliskim niejakiemu... Edwardowi Gierkowi. Dokładnie w miesiąc później ten sam Autor opublikował na łamach tygodnika *Życie Gospodarcze* artykuł o wpływie płac na racjonalne zatrudnienie. Niektóre stwierdzenia Autora są fascynujące, jeśli się pamięta o urzędowych obowiązujących dotychczas (w Europie Wschodniej) poglądach. Prof. Melich odmitologizowuje obowiązującą dotychczas żelazną zasadę kształtowania płac przy pomocy norm pracy! „Racjonalizacja zatrudnienia od strony ilościowej zależy przede wszystkim od prawidłowego normowania, które zresztą stanowić powinno podstawowy instrument organizacji pracy, a tylko pomocniczo stanowić podstawę do określania płac za ilościowe efekty. Tymczasem jest publiczną tajemnicą, iż to nie normy określają poziom płac, ale z góry założony poziom płac określa poziom norm”. Racja!!

Akcja wprowadzania norm technicznie uzasadnionych (zwanych NTU) zainicjowana przez partię przed kilkunastu laty trwała około czterech lat. Polegać ona miała na reformie zarówno norm jak i płac, a jej strategicznym celem było uzyskanie w okresie 1961-1965 przyrostu produkcji osiągniętego w 80 % dzięki wydajności pracy, przy czym wzrost płac miał być ściśle związany z kształtowaniem się stopy wzrostu wydajności pracy opartej na nowych, znacznie wyższych normach „technicznie uzasadnionych”. W tym celu stworzony miał być niezawodny system ewidencji odchyżeń i zmian w procesach technologicznych, aby można było na bieżąco korygować normy; robotników zapewniono, że nastąpi kompleksowa poprawa organizacji stanowisk roboczych, zaopatrzenia w niezbędne narzędzia pracy, dostawy surowców i materiałów — ustaną przestoje niezawinione przez robotników. Gdy przeprowadzona z olbrzymim nakładem sił i środków (zaangażowanych było tysiące techników i inżynierów oraz aktywistów partyjnych) akcja dobiegła końca, okazało się, że: w większości przedsiębiorstw robotnicy nadal

sami musieli pobierać narzędzia pracy (w związku czym następowały przestoje i tłok przy okienkach narzędziowni); służby remontowe w większości zakładów zostały osłabione, bowiem część ich pracowników przerzucono do działów produkcyjnych, na skutek czego pogorszyła się konserwacja maszyn, wzrosła ilość przestojów; prawie nigdzie nie zaprowadzono ewidencji przestojów maszyn i ludzi ani odchyień od procesów technologicznych. Robotnicy zostali uderzeni po kieszeni, a niedługo potem zaczęły dziać się dziwy. Pierwszy: Aczkolwiek wskaźnik strat czasu roboczego zaczął nieustannie wzrastać jednocześnie rósł wskaźnik wykonania... norm. I nikt nie mógł dopatrzeć się żadnego logicznego związku między jednym i drugim. Następny. Przed rozpoczęciem akcji NTU w wielu zakładach przemysłowych zakres prac i płac akordowych sięgał 60 %, ale w miarę rozwoju tej akcji wskaźnik akordowy zaczął spadać w dół — aż osiągnął nieco powyżej 30 %. Nowe, wyższe normy objąć miały robotników pracujących w akordzie — w odpowiedzi na to załogi dokonały typowego uniku ze strefy zagrożonej przez NTU. Mało kto zawierzył partii, że to ostateczna zmiana norm i jeszcze mniej, że nowe normy będą faktycznie „technicznie uzasadnione”. Zadanie partii — osiągnięcie przyrostu produkcji w 80 % dzięki wzrostowi wydajności pracy — nie zostało wykonane.

Profesor Alojzy Melich konstatuje: „Normy zresztą w ogóle przeżywają się jako instrument polityki czy techniki płac, choć rośnie ich rola w racjonalnej organizacji pracy... Nie każdy wzrost wydajności pracy jest w ogóle potrzebny i nie powinien on być osiągnany za każdą cenę”. Święta racja!

Handel wewnętrzny dokonał analizy dostarczanych na rynek przez przemysł artykułów, wykonanych niezgodnie z obowiązującymi normami. Np. w II-gim półroczu 1976 wskaźnik zareklamowanych artykułów wynosił: dla telewizorów — 18,3 %, dla radiodbiorników — ok. 11 %, magnetofonów — ponad 8 %; zareklamowano ok. 34 tys. partii mebli o wartości blisko 255 mln. złotych. Wszystkie te wyroby, zanim zostały przez handel zdyskwalifikowane, przyczyniły się do wykonania planów produkcyjnych w zakładach, a ich załogi „z honorem” wywiązały się z zadania wzrostu wydajności pracy. Ale czy to ich wina, że muszą pracować w bałaganie i w warunkach nieżyłowego systemu wskaźnikowego?

Profesor z Katowic musiał wsadzić kij w mrowisko. Wprawdzie nikt nie podjął się polemiki, nigdzie nie padło jego nazwisko, a jednak ma się wrażenie, że coś zawrzało, zabulgotało. Prasę zalała powódź artykułów o problemach płac i wydajności

pracy. Najżywiej zareagowała *Trybuna Ludu*. W miesiąc po artykule profesora Melicha gazeta poświęciła tym sprawom całą kolumnę: „Lepsza organizacja — wyższa wydajność”. „Temat: praca i płaca. Co to znaczy: według wkładu pracy”. Potem artykuł na ten sam temat w *Polityce*, *Kulturze* (warszawskiej) i w innych gazetach. Na początku lipca *Trybuna Ludu* znów daje całą serię, m.in. na temat: „Płace a wydajność pracy. Mechanizmy precyzyjne i sprawiedliwe”. W niecały tydzień później — cała kolumna dotycząca problematyki płac i wydajności pracy. W połowie lipca — obszerny komunikat o naradzie w Urzędzie Rady Ministrów w sprawie zatrudnienia i polityki płac. Trzy dni później ponownie cała kolumna w *Trybunie Ludu*, dotycząca organizacji pracy, płac i wydajności. Przypadek? Na pewno nie. Reakcja na tezy prof. Melicha? Trudno powiedzieć, ale wszyscy autorzy wspomnianych artykułów wystąpili z namiętną obroną ortodoksyjnej i dawno przeżytej koncepcji o wiodącej roli wskaźnika wzrostu wydajności pracy i jego nierozłącznych związków z polityką kształtowania płac. Czyżby więc prof. Melich reprezentował nie tylko własny punkt widzenia, czy jest takich „herezyków” więcej i postanowiono ich zagłuszyć oraz ogłuszyć? Bardzo możliwe.

Istnieją różne metody obliczania wydajności pracy — obowiązująca w Europie Wschodniej była najbardziej przydatna w okresie wczesnego kapitalizmu, kiedy stopień uzbrojenia stanowisk pracy w maszyny i urządzenia był we wszystkich branżach i gałęziach produkcji prawie na jednym poziomie, a udział pracy żywej — bardzo wysoki — również był prawie jednakowy. W tej sytuacji łatwo było porównywać poziom i tempo wzrostu wydajności pracy osiągnane w zakładach różnych dziedzin. Również w tych warunkach wzrost wydajności pracy związany był bardzo silnie z intensyfikacją pracy żywej oraz z wydłużaniem czasu pracy. W tamtym okresie, *jeszcze na początkach kapitalizmu, wzrost wydajności pracy był głównym celem każdego kapitalisty i pozostał nim do dziś w krajach komunistycznych...* Tymczasem poziom techniczny gospodarki, również w Polsce, jest dzisiaj nieporównanie wyższy niż w końcu XIX-go wieku. Nastąpiło wielkie zróżnicowanie uzbrojenia pracy w gospodarce; coraz mniejszą rolę odkrywa intensyfikacja pracy robotnika, mierzona na jednostkę czasu czy jednostkę wyrobu; coraz większe znaczenie dla rozwoju produkcji odgrywa modernizacja, postęp techniczny, naukowa organizacja pracy, produkcji i transportu. Wreszcie coraz większego znaczenia nabiera sprawa optymalizacji natężenia pracy, którego granic nie wolno przekraczać.

W ciągu sześciu miesięcy br. liczba godzin nieprzepracowanych w polskim przemyśle kluczowym zwiększyła się o 5,6 %. Główną przyczyną było powiększenie *absencji chorobowej* aż

o 9 %. To sygnał o pogarszającej się zdrowotności załóg. (Z prasy krajowej).

Statystyka wydajności pracy w PRL — i rozbudowana na jej podstawie cała sprawozdawczość gospodarcza, polityka płacowa i również polityka propagandowa — skupiają się na stosunku wyników produkcji (wartość produkcji globalnej lub czystej) do nakładów pracy żywej. Nie mówi ona jaki był w tym wzroście (wydajności pracy) udział np. godzin nadliczbowych, czynów społecznych i zobowiązań „ku czci”, ani udział uczniów zatrudnionych w gospodarce. Nie wiadomo, czy wzrost wydajności pracy osiągnięty był w przeliczeniu na 1 roboczogodzinę, czy na jednostkę naturalną. Eksponowanie „nagiej” ale jednocześnie „zamglonej” wydajności pracy przyciemnia jakościowe wyniki produkcji oraz efekty gospodarowania. Następuje pomieszanie dwóch zgoła różnych spraw. Oczywiście, że źródłem dobrobytu może być wyłącznie społeczna wydajność pracy, a tę mierzyć należy efektami całej gospodarki. Ale uczynienie ze wzrostu wydajności pracy obowiązującego nakazu dla każdego robotnika, każdego oddziału fabrycznego i wszystkich zakładów i to w każdym okresie planistycznym — w powiązaniu z obowiązującą koniecznością uzyskiwania co rok coraz lepszych rezultatów (wyższych wskaźników) — musi wywierać destrukcyjny wpływ na całą gospodarkę, zarówno na ilość i jakość produkcji jak i na poziom konsumpcji. Wzrost wydajności pracy, jako cel produkcji socjalizmu, kryje w sobie *praźródła konfliktów społecznych*, godzi w najżywotniejsze interesy robotników. Jest to koncepcja ekonomiczna nieefektywna i niehumanitarna.

Antoni GUTOWSKI

## Zdumiewający dokument

Wiersz na tablicy w kształcie ryngrafu, przybitej na drzewie przy grobie Edwarda Rysza-Smigłego na Powązkach w Warszawie (wiszącej od paru lat):

*Z daleka od wykwinionych zastużonych kwater,  
Leży skromna mogiła pod brzoźowym krzyżem,  
A pod darnią pierwszego oporu bohater  
Na listach strat mijany milczenia prestizem.  
Wśród wianuszków, tarcz szkolnych, lilijek harcerzy,  
Na zakręcie historii tu wódz Smigły leży.*

Nadesłał t-w

## Sąsiedzi

### Białe kruki

W mojej książce, wydanej w lecie ub. roku w Nowym Jorku\*, w języku ukraińskim, wspominałem o Polakach, których uznałem za „białe kruki”. O książce tej *Kultura* zamieściła bardzo przychylną wzmiankę w „Kronice Ukraińskiej” (listopad 1976), a następnie w numerze majowym 1977 ukazała się wspaniała recenzja Józefa Łobodowskiego. Otóż za „białe kruki” uznałem tych Polaków, którzy w latach 1919-1939 ustosunkowali się krytycznie, a niekiedy wręcz wrogo do polityki narodowościowej rządów Warszawskich, co było tym bardziej znamienne, że przeczyło ogólnym nastrojom społeczeństwa polskiego, kształtowanym pod wpływem ideologii Narodowej Demokracji.

Ta wzmianka o „białych krukach” spotkała się ze sceptycznymi uwagami recenzenta, pisującego w reprezentacyjnym dzienniku ukraińskim *Swoboda*. Zauważył on, że te „białe kruki” często stawały się czarnymi, „gdy tylko sytuacja zmieniała się na niekorzyść Ukraińców”. Recenzent, dobry znawca literatury ukraińskiej, był profesorem gimnazjalny, nie orientował się jednak należycie w polskim świecie politycznym, naukowym i dziennikarskim, stąd jego sceptyczne uwagi. Gdyby miał rację, należałoby dojść do wniosku, że w całym, wielomilionowym narodzie polskim nie było, w ciągu tego dwudziestolecia, żadnych jednostek rozsądnych i uczciwych, natomiast nie brakowało faryzeuszów, którzy zmieniali swoje poglądy polityczne zależnie od każdorazowej koniunktury. Uważam taką opinię za nonsensowną.

Otóż byli tacy ludzie, którzy nie zgadzali się z polityką asymilacyjną tzw. „mniejszości narodowych”, które stanowiły około 40 % całej ludności państwa polskiego. Najliczniejsza z tych „mniejszości”, Ukraińcy, to przecież odłamek wielkiego narodu, zamieszkałego od niepamiętnych czasów po obu stronach Zbru-

\* „Życie — wydarzenia — ludzie. Wspomnienia i komentarze”. Wydawnictwo „Czerwona Kałyna”, 1976, str. 724.

cza, Dniestru i Dniepru. Nie wszyscy Polacy należeli do Stronnictwa Narodowego, ani do stronnictw, wchodzących w skład koalicji za dwukrotnych rządów Witosa, w latach 1923 i 1926 (popularnie zwane „Chjeno-Piastem”), ale, przy całym rozbiu partyjnym ówczesnego społeczeństwa polskiego, znajdowało się ono, niezależnie od poglądów politycznych, pod wpływami prasy hurrapatriotycznej, grającej na najbardziej prymitywnych uczuciach i nie liczącej się z żadnymi racjami. Jak dobrze wiadomo, hasła maksymalizmu nacjonalistycznego zawsze łatwiej trafiają do mas, niż realistyczne argumenty polityczne, liczące się nie tylko z teraźniejszością, ale i przyszłością.

W rozjątrzonej atmosferze mało było ludzi, którzy poważnie zastanawiali się nad polityką narodowościową; była to domena ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jego departamentu Bezpieczeństwa i podległego mu, a istniejącego dopiero od roku 1926, Wydziału Spraw Narodowościowych. Nie było żadnego ugrupowania politycznego, które by postawiło za swój główny cel walkę o zdrową myśl polityczną i przeciwstawiło się demagogii nacjonalistycznej, proklamującej „połknięcie” wszystkich mniejszości narodowych i dążącej do tego *per fas et nefas*.

Złamane zostały wszystkie obietnice, nie dotrzymane powzięte uchwały; pozostała na papierze ustawa o autonomii dla trzech województw południowo-wschodnich, z 26 września 1922, z klauzulą o założeniu uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie „najdalej do dwóch lat”. Nie został dotrzymany międzynarodowy traktat o ochronie mniejszości narodowych, złamano szereg obietnic, poczynionych Ukraińcom w imię „normalizacji” stosunków. Ale wychodziły w Polsce czasopisma o ideologii prawdziwie postępowej, przy których grupowali się ludzie, patrzących w przyszłość i niezadowolonych z rządowej polityki narodowościowej. Były to *Droga*, *Biuletyn Polsko-Ukraiński*, *Bunt Młodych*, *Problemy Europy Wschodniej*, *Polityka* — że wymienię tylko niektóre. W warszawskim *Robotniku*, organie PPS, w konserwatywnym *Słowie wileńskim* i równie konserwatywnym *Czasie* krakowskim ukazywały się od czasu do czasu rozsądne artykuły, krytykujące politykę narodowościową rządu. W Klubie Społeczno-Politycznym w Warszawie wygłaszano nie mniej rozsądne odczyty na ten temat.

Ale były to głosy na pustyni, nie znajdujące żadnego oddźwięku w Sejmie i w polityce rządowej. Liczna prasa endecka, oraz sekundujące jej dzienniki o wielkich nakładach, jak krakowski *Ilustrowany Kurier Codzienny* Mariana Dąbrowskiego i tzw. „czerwone” popołudniówki w Warszawie, szerzyły z powodzeniem maksymalizm nacjonalistyczny, który podsycił wzajemną nienawiść. To był swoisty fenomen psychologiczny: wszystkie rządy polskie między 1918 a 1939 (a było ich trzydzieści), wszystkie pięć Sejmów — zawsze ta sama nonsensowna polityka „mniejszościowa”, bez żadnych zmian!

Gdy mowa o „białych krukach”, na pierwszym bodaj miejscu postawić należy prof. Jana Baudouin de Courtenay, kiedyś pre-

ześa Koła Polskiego i Klubu autonomistów w Pierwszej Dumie rosyjskiej; profesor ukraiński, Ołeksander Łotoćkyj napisał o nim w swoich wspomnieniach („Storynky mynułoho” — Stronice przeszłości) z najwyższym szacunkiem, jako o faktycznym liderze wszystkich przez carat uciemnionych narodów. Ponieważ Baudouin de Courtenay był Polakiem, nie mógł pracować w Polsce; wykładał językoznawstwo porównawcze na różnych uniwersytetach rosyjskich, w ostatnich latach — w Petersburgu. Profesorem uniwersytetu warszawskiego został dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Jakaż bolesna analogia ze stosunkami w Polsce: Bohdan Łepkyj, Myron Korduba, Stefan Belej, Roman Smal Stoćkyj, Ołeksander Łotoćkyj mogli być profesorami na uniwersytetach w Krakowie i Warszawie; nie wolno im było wykładać na uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie zniesiono wszystkie istniejące za Austrii katedry i docentury ukraińskie. Oczywiście, żaden z nich nie dostał się na uniwersytet ukraiński, którego założenie przybiecano, ale obietnicy nie dotrzymano.

Odwiedziłem prof. Baudouin de Courtenay w Warszawie, po raz pierwszy w roku 1926, wkrótce po przewrocie majowym. Chudy, łysy, ze szpiczastą szpakowatą bródką, niezwykle miły, grzeczny człowiek o wielkiej kulturze, ucieszył się odwiedzinami korespondenta lwowskiego ukraińskiego dziennika *Diło* i zaraz wymienił tych Ukraińców, których znał jeszcze z czasów wspólnej walki o prawa narodowe w carskiej Rosji. Martwił się, że Józef Piłsudski już nie jest tym, kim był, i nie dopuszcza do siebie swych dawnych przyjaciół ideowych. Baudouin, który w Rosji carskiej został skazany na dwa lata twierdzy (odsiedział tylko cztery miesiące) za wydanie broszury pt. „Narodowy i terytorialny czynnik w autonomii”, oburzał się na politykę asymilacyjną, prowadzoną w Polsce. Podczas jednych odwiedzin w jego mieszkaniu podarował mi niezwykle cenny zbiór książek i broszur, traktujących o kwestii narodowościowej w Rosji carskiej; zbiór ten przepadł, wraz z całą moją biblioteką we wrześniu 1939 roku.

Było to w dniu, gdy do Lwowa wkraczały oddziały sowieckie, a ja uciekałem przed „wyzwolicielami” Gródecką ulicą w zachodnim kierunku. Ci Ukraińcy (a były ich setki i tysiące), którzy wtedy uwierzyli, że „Pierwsza Ukraińska Armia” przybywa, by „wyzwolić ich spod polskiego jarzma”, i pozostali na miejscu, zginęli później z nielicznymi tylko wyjątkami. Prof. Baudouin de Courtenay nie dożył nowej — tym razem czerwonej — okupacji rosyjskiej; zmarł w jesieni 1929 roku.

Ze starszej generacji „białych kruków” należy wyróżnić Leona Wasilewskiego. Minister Spraw Zagranicznych w gabinecie Jędrzeja Moraczewskiego (listopad 1918 - styczeń 1919), członek PPS, bliski współpracownik Piłsudskiego w okresie Wyprawy Kijowskiej, był jednym z autorów Konwencji Warszawskiej z kwietnia 1920 roku, zwanej popularnie umową Piłsudskiego z Petlurą. Umowa była nieudana, ale sama koncepcja, idea,

która jej przyświecała, zasługiwała na pełne uznanie o po dziś dzień nie utraciła swej aktualności: współdziałanie narodów, walczących z imperializmem rosyjskim. Wasilewski znał język ukraiński i problematykę Ukrainy, i pozostawił po sobie szereg cennych prac, jak choćby „Kwestia ukraińska, jako zagadnienie międzynarodowe”.

Piłsudski porzucił ideę federalistyczną, a sam Wasilewski złożył swój podpis pod traktatem Ryskim, który podzielił Ziemię Wschodnie na dwie sfery wpływów: rosyjską i polską, stając się w ten sposób współczesnym wydaniem pokoju Andruszowskiego, z roku 1667. Pomijając wszystkie psychologiczne i inne przyczyny, które zaciążyły nad postępowaniem delegacji polskiej w Rydze (jej przewodniczący, Jan Dąbski, był człowiekiem politycznie bardzo ograniczonym), stwierdzić należy, że traktat ten był fatalnym błędem, zarówno z ukraińskiego, jak polskiego punktu widzenia; podział ziem ukraińskich i białoruskich pozostawiał Polskę odosobnioną między dwoma potężnymi mocarstwami i już wtedy przywoływał widmo września 1939 roku.

Identycznie oceniają ten traktat niektórzy współcześni historycy polscy, nie stojący na gruncie ideologii Romana Dmowskiego: M. K. Dziewanowski, profesor uniwersytetu w Bostonie (*Joseph Piłsudski. A European Federalist, 1918-1922*), Piotr Wandycz, profesor historii na uniwersytecie Yale (*Soviet-Polish Relations 1917-1921*). Leon Wasilewski wstydział się swego udziału w traktacie Ryskim; w ogóle nie chciał nawet mówić ze mną na ten temat, motywując, że jeszcze nie czas. Wielka szkoda, że nie pozostawił wspomnień o kulisach Konwencji Warszawskiej i Pokoju Ryskiego. Po zamachu majowym Piłsudski odsunął go od siebie i od jakiegokolwiek wpływu na sprawy państwowe.

Piszę tylko o tych działaczach, ustosunkowanych opozycyjnie do oficjalnej polityki narodowościowej, których znałem osobiście. Postacią ponad przeciętną miarę był Stanisław Thugutt, który także nie miał wpływu na tę politykę, by nadać jej jakiś sens realistyczny. W roku 1924 podpisał, jako wicepremier ówczesnego rządu tzw. „lex Grabski”, ustawę o wprowadzeniu utrakwizmu, co w praktyce zlikwidowało ukraińskie szkolnictwo ludowe. Później przyznawał otwarcie, że Stanisław Grabski oszukał go, przedstawiając niewłaściwie sens i konsekwencje ustawy. Najliczniejsze w Polsce stronnictwo ukraińskie, UNDO („Ukraińskie Nacjonalne Demokratyczne Objednannia”) zwróciło się w roku 1935, za moim pośrednictwem, właśnie do Thugutta z zapytaniem, czy opozycja sejmowa zgodziłaby się na utworzenie wspólnego bloku z Ukraińcami. Thugutt odpowiedział odmownie: Stronnictwa demokratyczne nie mają głosu ani wpływu na politykę narodowościową, zaś utworzenie bloku z ukraińską „mniejszością” dostarczyłoby dodatkową broń demagogom endeckim. Radził, by szukać bezpośredniego porozumienia z rządem. Tak doszło do tzw. „normalizacji”, która — jak i wszystkie uprzednie próby złagodzenia stosunków — skończyła się całkowitym bankructwem.

Nawet w aparacie państwowym (po maju 1926) trafiali się na poważnych stanowiskach ludzie, zasługujący na nazwę „białych kruków”, ale i oni nie mieli decydującego wpływu. Pierwszym po przewrocie ministrem Oświaty był prof. Antoni Sujkowski, który w wywiadzie, udzielonym mi, jako przedstawicielowi lwowskiego *Diła*, zapowiadał, że ruszy z miejsca sprawę ukraińskiego uniwersytetu. Gdy ten wywiad ukazał się drukiem, na najbliższym posiedzeniu sejmku Sujkowski otrzymał votum nieufności. Był mi potem wdzięczny, że dzięki mnie przestał być członkiem rządu.

Wysokim urzędnikiem państwowym był Stanisław Łoś. Będąc radcą ministerstwa Spraw Zagranicznych, namówił ówczesnego ministra Konstantego Skirmunta (1922) na wyjazd do Wiednia w celu wejścia w pertraktacje z zachodnio-ukraińskim rządem emigracyjnym dr. Jewhena Petruszewycza. Sprawa prawnego statusu Galicji Wschodniej wciąż jeszcze nie schodziła z międzynarodowej wokandy politycznej. Ale Petruszewycz nie chciał spotkać się ze Skirmuntem i inicjatywa Łośa spaliła na panewce. Temu ostatniemu bardzo leżała na sercu sprawa uniwersytetu ukraińskiego, do założenia którego rząd polski zobowiązał się ustawą z 22 września 1922, przy czym rzecz miała być zrealizowana w ciągu najwyżej dwóch lat.

Jak już pisałem, nie tylko ustawa ta nie została nigdy wykonana, ale aż do wybuchu drugiej wojny światowej nie utworzono na uniwersytecie lwowskim ani jednej katedry ukraińskiej. Łoś przyjeżdżał w tej sprawie do Lwowa, wraz z prof. Smal Stoczym, na rozmowy z uczonymi ukraińskimi z Naukowego Towarzystwa Szewczenki; był także przyjęty przez metropolitę Szeptyckiego. Pertraktacje te nie dały żadnego pozytywnego wyniku. Rząd polski zgadzał się (według Łośa) na utworzenie ukraińskiego uniwersytetu (dwa wydziały: filozofia i prawo), ale w Stanisławowie, co uzasadniał względami „bezpieczeństwa publicznego”. Ucheni ukraińscy odrzucili ten pomysł, motywując swą decyzję brakiem w Stanisławowie niezbędnego aparatu naukowego: bibliotek, muzeów itd.

Także należał do „białych kruków” Stanisław Paprocki, redaktor organu Instytutu Spraw Narodowościowych, kwartalnika, powstałego po roku 1926. Czasopismo to (komplet znajduje się w Oddziale Słowiańskim „Biblioteki Publicznej” w Nowym Jorku) jest prawdziwym skarbem rzeczowych informacji o tzw. „mniejszościach” narodowych w Polsce przed wojną, podawanych zawsze obiektywnie, bez cienia tendencji. Paprocki omawiał w *Sprawach Narodowościowych* również wydarzenia na Ukrainie Sowieckiej, co stanowiło dowód, iż zdaje sobie sprawę ze ścisłego związku kwestii ukraińskiej w Polsce z zagadnieniem ogólnoukraińskim. Z takim samym obiektywizmem podawał odgłosy międzynarodowe, dotyczące spraw narodowościowych w Rzeczypospolitej.

Niewątpliwie „białym krukem”, pracującym w administracji był Piotr Dunin-Borkowski, wojewoda lwowski od sierpnia 1927

do maja 1928. On sam mi opowiadał, że wygryźli go ze Lwowa przywódcy różnych polskich organizacji, którzy zasypywali Warszawę skargami na Borkowskiego, ponieważ „brata się” z Ukraińcami i buntuje ich przeciw Polsce. Dunin-Borkowski nie stroił od kontaktów z Ukraińcami, zresztą głównie na terenie prywatno-towarzyskim, na którym spotykali się przede wszystkim polscy ziemianie i Ukraińcy ze świata politycznego i gospodarczego. Postawa Borkowskiego była niedwuznaczna. Uprzednio ziemianie polscy żyli w zgodzie ze wsią ukraińską, parcelowali ziemię między znanych im rolników ukraińskich, dla których rola była świętością, a zwiększenie nielicznych morgów pola — marzeniem. Po powstaniu Polski Odrodzonej rządu warszawskie zaczęły nasycać kolonistów, finansując przymusową parcelację z kasy Banku Rolnego. Akcja ta wychodziła na złość polskim ziemianom, a jednocześnie rewolucjonizowała spokojną dotąd wieś ukraińską.

Ziemianie typu Borkowskiego szukali wspólnego języka z Ukraińcami, a jednocześnie starali się przekonać Warszawę, że polityka „połknięcia” Ukraińców jest nie tylko zgubna, także nierealna. Inicjatywy te spotkały się z wrogą reakcją z obu stron: strona polska oskarżała Borkowskiego i jego zwolenników o „zaprzędawanie się” Ukraińcom, zaś nacjonalistyczne podziemie ukraińskie piętnowało tych Ukraińców, którzy chodzili „na czarną kawę” do Polaków, by im „sprzedawać Ukrainę”.

Ostatni raz widziałem Dunin-Borkowskiego w zimie, gdy zjawiał się w moim skromnym mieszkaniu w Krakowie. Ukrywał się przed Niemcami, był zmęczony i głodny, z wdzięcznością zjadł jakąś supkę, przygotowaną na prędko przez moją żonę. Z ołówkiem w ręku udowadniał, że Hitler musi przegrać, choć znajdował się wtedy u szczytu potęgi. Dunin-Borkowski miał szczęście udało mu się przeżyć okupację niemiecką.

Każdy, kto głośno i wyraźnie wypowiadał się przeciw postawie szowinistycznej i polityce asymilacyjnej, narażał się na gwałtowną krytykę, a często nawet na nagonkę, zwłaszcza, jeżeli był w jakimś stopniu zależny od czynników rządowych. Przedmiotem takiej nagonki stał się profesor historii uniwersytetu warszawskiego, Olgierd Górka, za ogłoszenie książki „Ogniem i mieczem w świetle prawdy historycznej”. Całe pokolenia polskie wychowywały się na „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza i patrzyły na Ukraińców oczami księcia Jeremiego Wiśniowieckiego i imię pana Zagłoby. Rewelacje Olgierda Górki, że Wiśniowiecki był pochodzenia ukraińskiego i odznaczał się okrutnym charakterem satrapy, albo, że Skrzetuski był w rzeczywistości oficerem kozackim i ojcem licznej rodziny, że powstanie Chmielnickiego w roku 1648 było spowodowane rządami królewiat na Ukrainie, to wszystko brzmiało, jak świętokradztwo.

W połowie drogi między aparatem państwowym i prasą opozycyjną znalazł się Tadeusz Hołówko. Wybitny członek PPS, z zawodu dziennikarz, po przewrocie majowym przystąpił do pro-rządowego BBWR, co uzasadniał koniecznością zdobycia od-

skocznici do działania politycznego. Mianowano go naczelnikiem Wydziału Wschodniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale pozostawał na tym stanowisku bardzo krótko. Odstawiony na boczny tor, zginął 21 sierpnia 1931 w Truskawcu, zastrzelony przez dwóch członków ukraińskiego podziemia rewolucyjnego (OUN), Wasyla Biłasa i Dmytra Danyłyszyna.

Przyznali się oni do tego czynu, gdy ich aresztowano po głośnym napadzie na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim. Byłem na rozprawie sądowej o zabójstwo Tadeusza Hołówki, prowadzonej w Samborze, jako korespondent *Diła*, i uznałem go za „proces niesamowity”, o czym pisałem niejednokrotnie w latach późniejszych. Byłem i jestem nadal przekonany, że wprawdzie Hołówko zginął z rąk ukraińskich, ale zakulisowymi sprawcami były czynniki wrogie Ukraińcom. Pojawiły się ówczesnie pogłoski, że rząd zamierza trzy województwa południowo-wschodnie połączyć w jedno. Wojewodą, obdarzonym daleko idącymi pełnomocnictwami, miał zostać właśnie Hołówko. Wersja, że działała tu prowokacja, wydaje się całkowicie uzasadniona, a to z następujących racji.

Po pierwsze: Biłasa i Danyłyszyna skazano w trybie doraźnym i stracono za napad na pocztę w Gródku Jagiellońskim, wbrew sugestii obrony, by uprzednio sędzić ich za zabójstwo Hołówki. Po drugie: głównym oskarżonym w procesie samborskim był Roman Baranowski, znany policyjny agent; udowodniono mu podczas rozprawy, że rewolwery, z których strzelali do Hołówki Biłasa i Danyłyszyn, przeszły uprzednio przez jego ręce. Po trzecie: zagraniczne kierownictwo OUN odzegnało się od tego zabójstwa i stanowczo je potępiło, jako szkodliwe dla ukraińskiej sprawy. Sam pułkownik Jewhen Konowałec zapewniał mnie osobiście, że był oburzony, gdy dowiedział się o zabójstwie Hołówki z prasy zagranicznej.

Lecz oto niedawno, gdy ukazała się przed rokiem moja książka wspomnień, a w niej identyczne uwagi o zabójstwie Hołówki, jeden z wybitnych członków rewolucyjnej OUN (Banderowcy), gwałtownie mnie zaatakował, twierdząc, że moja wersja tego zabójstwa powstała z nienawiści do OUN. Że chciałem ją skompromitować, twierdząc, jakoby była inspirowana przez agentów polskiej policji. A w rzeczywistości Hołówkę zastrzelono, jako wroga narodu ukraińskiego.

Zarzuty te (wyszły od osoby, którą szanuję, jako badacza historii ukraińskiej) nie wytrzymują krytyki. Jakże można mnie posądzać o „nienawiść do OUN, jeżeli byłem niejako oficjalnym łącznikiem między Komitetem Centralnym UNDO i OUN i w tym charakterze otrzymałem zaproszenie na Pierwszy Kongres Nacjonalistów Ukraińskich, który odbył się w Wiedniu, w styczniu 1929 roku. Poza tym byłem w osobistej przyjaźni z pułkownikiem Konowalcem.

Dziwnie brzmi posądzenie o „oszczerstwo”, bo pisałem o agentach policji, którzy przedostali się do OUN. Przecież dwoje młodych ludzi, Melnyka i Kowalukównę, zastrzelono w parku Kiliń-



skiego we Lwowie, na podstawie wyroku OUN, jako zdrajców organizacji. Motyka, Żurakowski, Roman Baranowski byli agentami, albo współpracowali z policją. A iluż w ogóle nie zdemaskowano! Rozłam, który nastąpił w OUN na przełomie lat 1939/40, był wynikiem żądania Stepana Bandery przeprowadzenia śledztwa, czy w samym kierownictwie OUN (PUN — Prowid Ukraińskich Nacjonalistów) nie było wtyczek policyjnych. Następca pułkownika Konowalca na stanowisku przywódcy OUN, płk Melnyk, sprzeciwił się temu żądaniu, zaś występujący w roli „pośrednika”, Riko Jary wziął stronę Bandery, działając niewątpliwie z polecenia Niemców, a może i bolszewików, by spowodować rozłam w niewygodnej jednym i drugim organizacji.

A teraz rzecz najważniejsza: kto znał Hołówkę osobiście, czy choćby tylko czytywał jego artykuły i broszury w sprawie ukraińskiej, musi uznać za nonsensowny zarzut, jakoby miał on coś wspólnego z brutalną „pacyfikacją” w roku 1930. A o to właśnie bezpodstawnie go oskarżano. Autor wspomnianego artykułu, ogłoszonego w czasopiśmie, wychodzącym w Londynie, po prostu nie zna faktów. Hołówko nigdy nie pracował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, natomiast był aktywnym członkiem klubu „Prometeusz”, propagującego ideę przywrócenia niepodległości wszystkim podbitym przez Rosję narodom. Nie przyjaźniłem się z Hołówką, nie współpracowałem z nim w żadnej formie, ale znałem go dostatecznie, by stwierdzić, że nie był farfuzem, który w ciągu długich lat udawał przyjaciela Ukraińców, a jednocześnie zalecał „pacyfikację”.

Biłas i Danyłyszyn byli ludźmi ideowymi, ale o nikłym wykształceniu i wyrobieniu, więc można było w nich wmówić, że Tadeusz Hołówko jest sprawcą „pacyfikacji”, za co powinien być ukarany. Kto znał przedwojenną Warszawę i rolę, jaką odgrywał Hołówko, nie może mieć pod tym względem najmniejszej wątpliwości. On także należał w społeczeństwie polskim do nielicznego grona „białych kruków”.

Oczywista, podobnie, jak wszyscy Polacy, nie wyrzekł się, po wygranej wojnie z Ukraińcami i pokoju Ryskim, pięciu województw wschodnich, zamieszkałych przez ludność ukraińską, lecz był zwolennikiem autonomii i głośno forsował koncepcję polsko-ukraińskiego kondominium, mającym stać się pomostem do historycznego pojednania obu narodów. Koncepcja ta nie mogła mu zyskać popularności po żadnej stronie; Polacy uważali, że jest to godzenie w ich interesy narodowe, Ukraińcy zaś uważali autonomię terytorialną za program, w danych warunkach politycznych minimalny, i nigdy nie wyrzekli się dążenia do własnego niepodległego państwa. Hołówko nie miał więc żadnych szans i większych wpływów w żadnym z dwóch społeczeństw nie zdobył. Ale jego śmierć była nieszczęściem dla obydwu stron.

Jeżeli chodzi o polskie środowisko dziennikarskie, „białymi krukami” byli redaktorzy i współpracownicy wyżej wymienionych czasopism, *Droga*, *Bunt Młodych*, *Biuletyn Polsko-Ukraiń-*

*ski*, *Polityka*, *Problemy Europy Wschodniej* — Włodzimierz Bączkowski, Adolf i Aleksander Bocheński, Jerzy Giedroyc, Józef Łobodowski, Ksawery i Mieczysław Pruszyński, Stefan Lubliner, niektórzy działacze PPS z młodszego pokolenia, jak Mieczysław Niedziałkowski i Adam Ciołkosz (posłowie na sejm). Osobną grupę podobnie myślących Polaków stanowili urodzeni na Ukrainie Naddnieprzańskiej, którzy przenieśli się do Polski po katastrofie Wyprawy Kijowskiej, ale zachowali głęboki sentyment do Ukrainy, znali jej problematykę i boleli nad polityką narodowościową, pogłębiającą przepaść między Polakami i Ukraińcami.

Z grupy tej pamiętam ojca i syna Stempowskich, którzy utrzymywali żywe stosunki z Andrijem Liwyckym, następcą Symona Petlury na stanowisku prezydenta Republiki Ukraińskiej na obczyźnie. Obydwaj władali biegle językiem ukraińskim, podobnie, jak Joachim Wołoszynowski, senator po wyborach 1935 roku. Ale znajomość, czy nieznanomość języka ukraińskiego nie stanowiła kryterium decydującego. Bo oto także władał biegle tym językiem Henryk Józewski, wojewoda wołyński w latach 1928-29 i powtórnie, od 1930 do 1938 roku, a więc łącznie w ciągu przeszło dziesięciu lat.

Polityka jego — mówiąc najdelikatniej — była niedorzeczna. Polegała ona głównie na utrzymywaniu Wołynia w separacji od innych ziem ukraińskich, ponieważ, jak wyraził się oficjalnie, intensywna propaganda Moskwy i Berlina, idąca przez Lwów, zmierzała do wywołania w tym kraju sytuacji politycznej, sprzecznej z polską racją stanu. Zasady swej polityki wyłożył na konferencji czterech wojewodów (wołyńskiego, poleskiego, wileńskiego i nowogródzkiego), która odbyła się w Łucku 18 sierpnia 1926. Protokół z tej konferencji został ogłoszony w kwartalniku Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, rocznik IV, 1972.

Jest to dokument, smutnie świadczący o mentalności twórcy tzw. „kordonu sokalskiego”; sądził on, że można i należy województwo wołyńskie otoczyć murem chińskim i wewnątrz niego przeprowadzać eksperymenty, prowadzące do asymilacji państwowej. W praktyce — przekupywał poszczególnych Ukraińców małymi posadami, finansował podporządkowane mu czasopismo *Ukraińska Nywa*, faworyzował niektórych działaczy, narażając ich na bojkot ukraińskiego społeczeństwa... Szkolnictwo doprowadził do takiego stanu, że na 735 szkół polskich i 498 utrakwistycznych było tylko dziewięć ukraińskich (w województwie o olbrzymiej ukraińskiej większości!), a wszystko to pod płaszczykiem frazesów, że on, Henryk Józewski, jest „przyjacielem” Ukraińców.

Losy tylko nielicznych spośród wymienionych działaczy polskich, zaliczonych do „białych kruków”, są znane autorowi niniejszych uwag. Od tamtych czasów minęło przeszło pół stulecia. Narodziły się już dwa nowe pokolenia — i cóż się zmieniło na lepsze?! W Polsce dzisiejszej Ukraińcy obawiają się głośno mówić po ukraińsku na ulicach miast, ponieważ wciąż domi-

nuje planowo i systematycznie podsycany wrogi wobec Ukraińców nastrój. A na emigracji różne polskie organizacje ciągle jeszcze uchwalają rezolucje pod hasłem powrotu do Polski Lwowa i Wilna.

Zrozumiały jest sentyment Polaków urodzonych i wyrosłych na Ziemi Czerwieńskiej, i ich dzieci, wychowanych w rodzinnej tradycji. Ale my, Ukraińcy, również bolejemy, że utraciliśmy Łemkowszczyznę, z której w sposób bezlitosny przesiedlono autochtonów na Ziemię Odzyskane; bolejemy nad utratą Przemyśla, z którego wyszło tylu wybitnych Ukraińców. Ale realizm polityczny drwi sobie z sentymentów. Faktem jest, że na terenie dawnych trzech południowo-wschodnich województw ilość Polaków nie przekracza pięciu procent. Miliony Niemców marzą o powrocie do Gdańska i Wrocławia, przekazanych Polsce jako rekompensata za ziemie wschodnie. Kompromis powinien być podstawą stosunków międzynarodowych, a o przyszłych granicach Polski i Ukrainy decydować będą w przyszłości wolne rządy w Warszawie i Kijowie. Ale warunkiem istnienia niepodległej Polski i Ukrainy będzie wzajemna, przyjazna zgoda, umożliwiająca trwały sojusz.

Zdrowa myśl polityczna z trudem i powoli przebija się przez dżunglę dawnych waśni, sentymentów i resentymentów. Nie brakuje jednak zjawisk pozytywnych. Oto w paryskiej *Kulturze* ukazał się manifest szeregu działaczy różnych narodowości, między nimi także Polaków, nawołujący do uznania i żądania wskrzeszenia niepodległej Ukrainy, bez czego nie będzie równie niepodległej, wolnej Polski.

*Kultura*, podejmująca spadek po swoich poprzednikach z lat 1919-1939, nie jest już jedynym „białym krukiem”. Oto, np. w czasopiśmie pt. *Listy do Polaków (USA)* ukazał się w majowym numerze (1977) piękny i rozsądny artykuł Janusza Muchawca, „Podzieleni — zginiemy”. W tym tytule zawarta jest cała mądra treść polityczna, cała istota zagadnienia „być albo nie być” Polski i Ukrainy.

Iwan KEDRYN

## W sowieckiej prasie

O światowym kongresie psychiatrów w Honolulu prasa sowiecka pisała mało. W nielicznych wzmiankach niejasno wspomniano o intrygach C.I.A., o „oszczercach” twierdzących, że w ZSSR

i w innych krajach socjalistycznych „psychiatria jest wykorzystywana jako broń przeciwko dysydentom”. Prasa zachodnia natomiast poświęciła temu kongresowi — który trwał od 31 sierpnia do 3 września br. — o wiele więcej uwagi. Najlepiej sformułowało wnioski kongresu francuskie pismo, tytułując swój artykuł: „Pliuszcz wygrał większością dwóch głosów”. I rzeczywiście 90 głosami przeciwko 88 kongres uchwalił rezolucję potępiającą „systematyczne nadużywanie psychiatrii przez Związek Sowiecki do celów politycznych”.

Dwa głosy to nieduża większość, ale biorąc pod uwagę, że w ostatnich latach nie było wypadku potępienia polityki ZSSR na forum międzynarodowym — jeśli przypomnieć, że światowa opinia publiczna, a w tym opinia znacznej części zachodnich psychiatrów, zmieniła się na skutek dowodów przedstawionych przez sowieckich dysydentów, którzy za nie zapłacili — i wciąż jeszcze płacą — latami przebywania w *psychuszkach* i łagrach, można uważać rezolucję kongresu za wybitne zwycięstwo ducha nad bezlitosną, zwierzęcą siłą.

Przed sześciu laty, w przededniu poprzedniego kongresu psychiatrów, który odbył się w Meksyku, Władimir Bukowski przesłał na Zachód *dossier* zawierające dokumenty, a wśród nich teksty ekspertyz psychiatrycznych, świadczące o wykorzystywaniu psychiatrii do walki z dysydentami. Zebrane dokumenty Bukowski zatytułował: „Nowa choroba psychiczna w ZSSR: opozycja”. Zebrani w Meksyku psychiatrzy odmówili omówienia sytuacji w Związku Sowieckim: delegacja sowiecka zagroziła, że w wypadku wciągnięcia na porządek dzienny tej sprawy opuści kongres i wystąpi z Federacji. Wiktor Fajnberg, który jesienią 1971 roku został osadzony w sowieckim szpitalu psychiatrycznym za demonstrację na Placu Czerwonym przeciwko okupacji Czechosłowacji, po wyjeździe na Zachód opowiadał, że w czasie trwania kongresu w Meksyku stosunek do więźniów „psychuszek” wyraźnie się poprawił. Na drugi dzień po zamknięciu kongresu zaczęto ich znowu męczyć i leczyć przymusowo — jak poprzednio — zastrzykami oszałamiających lekarstw.

Trudno przewidzieć, czy sytuacja więźniów w sowieckich szpitalach psychiatrycznych zmieni się po rezolucji kongresu w Honolulu. Wystarczy zapoznać się ze składem delegacji sowieckiej. Na 30-lecie zwycięstwa nad Hitlerem Leszek Kołakowski napisał znakomity felieton przedstawiający jak wyglądałby świat, gdyby Niemcy zwyciężyły w 1945 roku. Ale nawet Kołakowskiemu, z jego ogromną wyobraźnią, nie przyszło na myśl przedstawić światowy kongres lekarzy, na którym doktor Mengele mówiłby o doświadczeniach, które przeprowadzał w Oświęcimiu i które przyczyniły się do postępu w medycynie. W Honolulu w skład delegacji sowieckiej wchodzili główny teoretyk walki z dysydentami metodą zamykania ich w *psychuszkach*, akademik Snieżniewskij, i prof. Morozow — dyrektor osławionego Instytutu im. Serbskiego w Moskwie. Trudno oczeki-

wać od takich ludzi zmiany stosunku do chorych na skutek jakichś tam rezolucji. Można przypuszczać, że tylko szeregowi lekarze psychiatrzy będą próbowali wykorzystać tę rezolucję celem złagodzenia sytuacji chorych. Należy jednak pamiętać, że wtedy lekarze sowieccy musieliby naruszyć „przysięgę”, którą składają i podpisują przy otrzymywaniu dyplomu. Rosyjscy lekarze przed rewolucją składali *przysięgę Hippokratesa*. Dziś w kraju „rozwinętego socjalizmu” mowy nie ma o Hippokratesie. „Uroczyście przysięgam — oświadcza lekarz sowiecki — podtrzymywać i rozwijać piękne tradycje narodowej medycyny. Opierać całą swoją działalność na zasadach moralności komunistycznej. Stałe pamiętać o wysokim autorytecie sowieckiego lekarza i stałe pamiętać o odpowiedzialności przed narodem i państwem sowieckim”. O chorych w tej przysiędze nie ma ani słowa.

Potępienie ZSSR przez kongres Światowej Federacji Psychiatryków to przede wszystkim zwycięstwo sowieckich dysydentów, zarówno tych którzy znajdują się w Związku Sowieckim na wolności lub w więzieniach, jak i tych, którzy na emigracji mówią prawdę o „kraju rozwinętego socjalizmu”.

Można założyć, że sowiecka władza postara się porachować za porażkę w Honolulu. Już bowiem od pół roku montuje się w Moskwie proces, którego celem ma być śmiertelny cios wymierzony w ruch, który powstał wokół „grupy Helsinki”. W Hollywood cieszą się wielką popularnością *remake*: filmy które miały duże powodzenie wznawia się według starego scenariusza, ale w nowej obsadzie aktorskiej. W Moskwie montuje się dzisiaj *remake* procesu leaderów ruchu demokratycznego z Piotrem Jakirem i Wiktorem Krasinem, których pokajanie się w 1973 roku przyniosło im wolność, ale sprawiło że ruch demokratyczny zamilkł. Na to miejsce weszła „grupa Helsinki”. Na początku 1977 roku zostali aresztowani: prof. Jurij Orłow, następnie Aleksander Ginsburg, a w marcu Anatolij Szczarański. Bezpośrednio przed jego aresztowaniem ukazał się w *Izwiestiach* artykuł prowokatora, przedstawiający zasadnicze punkty przyszłego aktu oskarżenia: związki z obcymi wywiadami i zdrada ojczyzny.

Są już zatem najważniejsze elementy pokazowego procesu sowieckiego: aresztowani, sfabrykowane podstawy oskarżenia, prowokator. Obecnie niezbędne jest uzyskanie pokajania się jednego z oskarżonych. Żores Miedwiediew, który był w sierpniu w Paryżu z okazji ukazania się książki braci Miedwiediew „N. S. Chruszczow — lata u władzy”, powiedział przedstawicielowi *Le Monde*, że w Moskwie przesłuchuje się setki świadków „w związku ze sprawą Ginsburga, celem nadania procesowi specjalnego rozmachu”. Sprawa Jakira i Krasina obejmowała 150 tomów akt — niewiele mniej od sprawy Göringa i towarzyszy sądzonych w Norymberdze. Przygotowując proces Orłowa, Ginsburga i Szczarańskiego KGB niewątpliwie zebrało już setki

tomów zeznań, ale możliwe że ciągle brak tych, które byłyby potrzebne, aby skazać oskarżonych za zdradę ojczyzny.

Proces dopiero się przygotowuje, a Międzynarodowe Targi Książki zostały już — po raz pierwszy! — otwarte w Moskwie. Po raz pierwszy mieszkańcy Moskwy mogą obejrzeć — po przestaniu długich godzin w ogonku za biletami — mnóstwo zagranicznych książek, wydanych przez wydawnictwa zachodnie. W wiecznej nadziei na kolosalne zyski, którymi od 60-ciu lat kusi zachodnich kapitalistów mityczny rynek sowiecki, wydawnictwa zachodnie zgodziły się podporządkować bardzo surowej cenzurze: nie daj Boże, aby zwiedzający zobaczyli jakąkolwiek bądź niedozwoloną książkę.

Organizatorzy Targów doskonale rozumieją na jakie się narażają ryzyko: nie bacząc na najsurowszą cenzurę na stoisku może znaleźć się książka z pozoru niewinna, ale gdzieś tam, w czymś tam (z książkami nigdy nie wiadomo!) — szkodliwa. Organizatorzy poszli na to ryzyko głównie celem „rozwijania związków kulturalnych”. Od chwili podpisania uchwał w Helsinkach propaganda sowiecka kładzie nacisk na „rozszerzenie związków”, które — w rozumieniu KC KPZS — powinny stanowić zwiększenie eksportu sowieckiej literatury na Zachód. Przewodniczący Sowieckiej Agencji dla Praw Autorskich, Borys Pankin, oświadczył w przededniu otwarcia Targów, że zostaną one poświęcone przede wszystkim literaturze pięknej. Związek Sowiecki — podkreślił Pankin — liczy na lepsze zapoznanie się Zachodu z pisarzami sowieckimi i „likwidację dysproporcji istniejącej w wymianie literackiej między Wschodem a Zachodem”.

Kandydat nauk filologicznych, Aleksander Mularczyk, skarży się w *Izwiestiach* na „nieekwiwalentność” wymiany kulturalnej między ZSSR a USA w dziedzinie wydawnictw książkowych, wystawiania przełożonych sztuk teatralnych, zakupu filmów, tele- i radio-programów etc. Członek korespondent Akademii Nauk, N. T. Fedorenko, oburza się w *Litieraturnoj Gaziecie* na „poniżającą dysproporcję” w wydawaniu przekładów autorów zachodnich w ZSSR i pisarzy sowieckich na Zachodzie. W latach 1946-1972 wydano w ZSSR 6.350 tytułów pisarzy sowieckich, a w tymże samym okresie w USA wydano tylko 450 przekładów książek pisarzy sowieckich. Propagandyści sowieccy twierdzą, że jest to niedopuszczalne. Rozumują następująco: jeśli Związek Sowiecki dorównał Stanom Zjednoczonym w dziedzinie rakiet międzykontynentalnych i głowic atomowych, już najwyższy czas aby dobić się i równości w dziedzinie wydawnictw książkowych, sztuce filmowej itp. Powiedzmy, że sowiecki dom wydawniczy wydaje przekład Faulknera, Amerykanie muszą więc natychmiast wydać przekład Markowa. Przy tym przywódcy sowieccy domagają się dla siebie prawa nie tylko wybierania tych pisarzy zachodnich, których należy przekładać, ale i wskazywania wydawcom zachod-

nim autorów sowieckich, których książki należy wydać na Zachodzie.

Specyfika systemu sowieckiego powoduje, że w ZSSR rzeczywistość wydaje się dużo książek wybitniejszych pisarzy zachodnich. Tłumaczy się to bardzo prosto. Każdy prawdziwy pisarz odnosi się krytycznie do swojej epoki i do społeczeństwa, w którym żyje. Jak napisał Jewgienij Zamiatin: Każdy prawdziwy pisarz jest heretykiem. Propaganda sowiecka wykorzystuje zachodnią literaturę jako materiał do „zdemaskowania kapitalizmu”. Natomiast prawdziwym pisarzem sowieckim jest ten, który apoteozuje reżym. Jego więc chciałaby wykorzystać sowiecka propaganda do rozpowszechniania kłamstw o kraju „rozwiniętego socjalizmu”.

Są jednak pisarze sowieccy, którzy nie stosują się do ustalonych norm — dotyczy to nie tylko dysydentów, których — jak to z goryczą zauważył A. Mularczyk — wolą drukować wydawnictwa burżuazyjne, lecz również mniej albo więcej prawowiernych pisarzy, którzy w swych książkach próbują przemycić atomy prawdy. Dlatego też niezbędna jest kontrola nad tym, co z sowieckiej literatury ma być tłumaczone na Zachodzie. Z tego też powodu wybuchł pierwszy skandal na Targach Książki i to jeszcze przed ich otwarciem. Władze sowieckie odmówiły wizy wjazdowej włoskiemu komuniście, profesorowi literatury rosyjskiej — Vittorio Strada, doradcy wydawnictwa Einaudi. Zbyt dobrze zna on literaturę sowiecką i mógłby doradzić coś niepotrzebnego. Z Vittorio Strada władze sowieckie mają na pieńku od dawna. A w 1970 roku dostąpił on wątpliwego zaszczytu stania się główną negatywną postacią — przebiegłym wrogiem rozkładającym system sowiecki — w powieści Wsiewołoda Koczetowa „Czego ty chcesz?”. Vittorio Strada dał dowód, że nie zrozumiał ostrzeżenia wydając dwa numery czasopisma *Rossija*, w którym zamieścił autorów bez uzgodnienia z sowiecką Agencją Ochrony Praw Autorskich. W ich liczbie Polaków: Wojciecha Karpińskiego i Ryszarda Przybylskiego. Po interwencji włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Strada otrzymał jednak wizę, ale ostrzeżenie zostało zrobione.

Ostrzeżenie Vittorio Strada to przede wszystkim ostrzeżenie dla „wydawców burżuazyjnych”: przy doborze książek ściśle przestrzegajcie wskazówek kierowników literatury sowieckiej. Zresztą te wskazówki są łatwe do odkrycia: wszyscy pisarze sowieccy dzielą się według orderów i medali, którymi ozdabia ich wdzięczna władza sowiecka — można więc, nie czytając książki (nawet i lepiej nie czytać) od razu się zorientować jakie miejsce na nieboskłonie literatury zajmuje dany sowiecki pisarz: po fotografiach, albo — po nekrologach.

20 lipca br. pochowano w Moskwie pisarza, którego natarczywie poleca się do przekładów na języki obce, chociaż jedyną książkę dzięki której nazwisko jego pozostanie w literaturze, napisał w 1924 roku. W nekrologu w *Litieraturnoj Gaziecie* napisano: zmarł „wybitny pisarz sowiecki i działacz społeczny,

delegat do Rady Najwyższej ZSSR, bohater pracy socjalistycznej, akademik, przewodniczący zarządu Związku Pisarzy ZSSR”. Następnie wyliczono nagrody, którymi został uhonorowany: „Złota Gwiazda Bohatera Pracy Socjalistycznej, cztery Ordery Lenina, Order Rewolucji Październikowej, dwa Ordery Czerwonego Sztandaru, liczne medale”. Prócz tego wspomniano o „odznace laureata Nagrody Państwowej” (kiedyś była to nagroda stalinowska) oraz nagrody Bułgarii, NRD i Mongolskiej Republiki Ludowej. Ciekawe, że w tym ogromnym tekście, poświęconym zmarłemu, wymienia się tylko dwie jego powieści, a nie wymieniono jego najlepszej książki.

Konstantin Fiedin — bo o nim mowa — jest świetnym przykładem tego, co Arkadij Bielinkow nazwał „Kapitulacją i zagładą sowieckiego inteligenta”. Bielinkow wziął jako przykład Jurija Oleszę. Mógłby być wziąć z całkowitym uzasadnieniem i losy Konstantina Fiedina, który zadebiutował wybitną powieścią „Miasta i lata”, a skończył jako *czynownik*, biorący aktywny udział w zaszczuwaniu Borysa Pasternaka i Aleksandra Sołżenicyna. Wieniamin Kawierin pisał do swego byłego przyjaciela Fiedina w 1968 roku: „Pisarz, który zarzuca pętlę na szyję drugiego pisarza, to postać która zostanie w historii literatury niezależnie od tego, co napisał pierwszy, a całkowicie zależnie od tego co napisał drugi”.

Pytanie jak produkuje się „sowieckich pisarzy” — pisarzy usilnie polecanych do przekładów na języki obce — jest ciekawe nie tylko ze względów teoretycznych: fabrykacja pisarzy-urzędników — *orderonośców* nie zanika ani w Związku sowieckim ani w innych krajach socjalistycznych. Częściową odpowiedź na to pytanie dali najbardziej popularni pisarze sowieccy bracia Strugaccy. Autorzy licznych powieści naukowo-fantastycznych napisali w drugiej połowie lat 60-tych trzy książki: „Slimak na zboczu”, „Bajka o Trójce” i „Brzydkie łabędzie”, które bez żadnej taryfy ulgowej można zaliczyć do prawdziwej literatury. Powieści te zostały przełożone na języki zachodnie bez żadnych nacisków władz sowieckich. Odwrotnie — są one zakazane w Związku sowieckim. Jednakże w początku lat 70-tych bracia Strugaccy, nie wytrzymawszy nacisku władzy, zaczęli pisać coraz gorzej. W ostatniej swej wielkiej powieści — „Za miliard lat do końca świata” — wyjaśniają dlaczego. Akcja powieści toczy się w Moskwie w drugiej połowie lat 70-tych. Bohaterowie powieści, wybitni uczeni, zaczynają przeżywać cuda. Jeden z nich, który dopiero co odwiózł żonę na lotnisko, z zadowoleniem siada do pracy. Pracę przerywa mu dzwonek do drzwi: posłańiec wnosi paczkę z koniakiem, kawioem, czekoladą. Za posłańcem wchodzi piękna młoda dziewczyna, która zostaje na noc u młodego uczonego. Nie udaje mu się już pracować. Drugi uczony nie może pracować, gdyż przychodzi milicja, przeprowadza rewizję, aresztuje. Potem okazuje się, że zaszła pomyłka — ale i ten uczony już nie może pracować. Trzeci traci zdolność do pracy, gdyż prawie nagle traci rozum porażony dziwnym strachem.

Najmądrzejsza z postaci powieści znajduje takie wytłumaczenie: jakaś galaktyczna cywilizacja, obawiając się konkurencji Ziemi, utrudnia ziemskim uczonym zajmowanie się zagadnieniami, które mogłyby przyczynić się do postępu naszej planety. Nieskomplikowaną symbolikę „naukowo-fantastycznej” powieści łatwo wytłumaczyć: istnieje jakaś wszechpotężna siła, mogąca dać uczonym (pisarzom) wszystko, czego dusza zapagnie: pieniądze, wino, kobiety, czekoladki „Pikowa Dama” — albo ich zniszczyć. Co można zrobić, jaki jest wybór? „Koniec końców — powiada główny bohater powieści — istnieją takie naciski, których żaden człowiek nie jest w stanie wytrzymać”. Bohater ten dobrze wyjaśnia co dzieje się z tym, który próbuje przeciwstawiać się „naciskowi”: „...jeszcze wczoraj byłem człowiekiem, członkiem *socjumu*, miałem własne kłopoty i własne nieprzyjemności, ale póki przestrzegałem praw, ustanowionych przez *socjum* — a nie było to zbyt trudne — dopóki więc przestrzegałem tych praw, od wszystkich możliwych niebezpieczeństw skutecznie chroniły mnie milicja, wojsko, Związki Zawodowe, opinia publiczna, przyjaciele, rodzina... I oto coś się zmieniło w otaczającym mnie świecie i zamieniłem się w samotnego piskorza... Wystarczy lekki ruch płetwą, żeby mnie zetrzeć na proszek, rozpląszczyć, zamieść w nicłość...”. Wszystkie postacie powieści nie wytrzymują nacisku, kapitulują, rzucają swoje zajęcia, swoją pracę. I osiągnają spokojne, syte bytowanie.

Przedstawivszy różne rodzaje „nacisków” najpotężniejszej i niepokonanej siły, nacisków polegających nie tyle na groźbach, ile na pokusach, Strugaccy wyjaśnili przyczyny upadku sowieckich pisarzy, uczonych, inteligencji. Nie zauważyli, zapomnieli lub też nie chcieli wymienić najważniejszego elementu nacisku — głównej chyba pokusy — pokusy władzy.

Związek Sowiecki to kraj pryncypialnej nierówności, w którym hierarchia przywilejów stworzyła mnóstwo grup, warstw, stanów — atomizując społeczeństwo: istnieją przywileje pieniężne, żywnościowe, przywileje informacji itd. itp., ma się rozumieć istnieje również przywilej władzy. Osobliwością społeczeństwa sowieckiego i najważniejszym warunkiem jego trwałości jest przywilej władzy, który obejmuje wszystkich obywateli sowieckich. Niewątpliwie Breżniew ma więcej władzy, niż przewodniczący Związku Pisarzy Sowieckich Fiedin. Ale i Fiedin miał wystarczającą ilość władzy, aby nie dopuścić do ukazania się „Doktora Żiwago” i „Oddziału chorych na raka”. Od 60-ciu lat politycy, historycy, sowietolodzy, kremlinoznawcy szukają klucza do tajemnicy sowieckiego ustroju. Tajemnicę tę odkrył, nie podejrzewając tego, dziennikarz A. Rubinow w artykule „Operacja — alkoholotest” (*Litieraturnaja Gazieta* z 27. 7. 77).

Artykuł jest poświęcony tematowi jak najbardziej banalnemu — powszechnemu alkoholizmowi w Związku Sowieckim. A Rubinow opowiada o eksperymencie przeprowadzonym po raz pierwszy w świecie. W danym wypadku priorytet sowiecki jest nie-

wątpliwy. We wszystkich krajach świata bada się trzeźwość, a ściślej stopień pijaństwa kierowców samochodowych — kierowcy dają się balonik, w który dmucha i wszystkim jest jasne. Korespondent *Litieraturnoj Gaziety* „w jednym dość dużym mieście” — nazwy miasta nie podano — zaprosił lekarzy i przeszedł się po sklepach, badając stopień trzeźwości, a ściślej stopień pijaństwa sprzedawców. W pierwszym już sklepie wyjaśniło się, że połowa sprzedawców była pijana — a druga połowa — trzeźwa. *Fifty fifty* — jak to określił dziennikarz. Przy tym Ludmiła Nikołajewna, zastępca kierownika sklepu, nie bez dumy, zadowolona z wyniku, oświadczyła: „Czy w naszym sklepie się pije? U nas są aniołowie — zobaczcie w innych sklepach”. A Rubinow poszedł do innych sklepów i — pozostawiamy dane jego sumieniu — znalazł tam również *fifty fifty*.

Odkrycie dość interesujące. Ważniejsze jest jednak coś innego: wszyscy sprzedawcy, i ci pijani i ci trzeźwi — przy czym pijani znacznie bardziej, niż ci niepodchmieleni — znęcają się nad kupującymi, tyranizują ich i bezwstydnie wykorzystują swoją władzę. Odkrycie to, wyjaśniające sens sowieckiego systemu, A. Rubinow — który stwierdził że w sklepach samoobsługowych sprzedawcy piją mniej — formułuje następująco: „Samoobsługa jest postępową formą organizacji handlu choćby dlatego, że oddziela sprzedawcę od kupującego. Pierwszy nie może postępować samowolnie i brawurować...”.

Wszyscy obywatele sowieccy mają jakąś władzę, choćby atom władzy i wszyscy mają prawo tę władzę wykorzystywać, robić awantury i znęcać się nad tymi, którzy stoją na niższym szczeblu hierarchii.

Wychodząc z formuły reportera *Litieraturnoj Gaziety* o „postępowości” oddzielania kupującego od sprzedawcy można sobie wyobrazić samoobsługowy sklep jako idealny model społeczeństwa sowieckiego w epoce komunizmu. Problem jednak polega na tym — o czym sowiecki dziennikarz nie wspomina — że w sklepach samoobsługowych w ZSSR na każdego kupującego przypada co najmniej dwóch kontrolerów. Nie mówiąc już o tym, że każdy kupujący śledzi wszystkich innych kupujących, czekając chwili gdy będzie mógł kogokolwiek złapać za rękę, lub choćby posadzić i poawanturować się...

Sekretarz Związku Pisarzy Sowieckich, Fiedorenko, który szczególnie narzeka na dysproporcję przekładów książek zachodnich i sowieckich pisarzy, mając w pierwszym rzędzie na uwadze swoje własne utwory, wydał niedawno zbiór aforyzmów, niewątpliwie zasługujących na przekład na wszystkie języki świata. W szczególności jeden aforyzm — nigdy nie zamieszczony w żadnej antologii. Autor — Feliks Dzierżyński — był do tej pory mało znany jako filozof. A okazuje się, że to on właśnie powiedział: „Życie jest długie, a śmierć krótka, więc nie trzeba się jej bać”. Wiadomo, że Feliks Edmundowicz był wybitnym specjalistą od zagadnień śmierci. Ale możliwe, że ma rację —

w odniesieniu do życia sowieckiego. Po takim życiu nie ma powodu bać się śmierci.

Adam KRUCZEK

## Kronika ukraińska

### PRZEŚLADOWANIA UKRAIŃSKICH DYSYDENTÓW

Sąd Najwyższy Republiki Ukraińskiej rozpatrywał niedawno apelację obrony znanych dysydentów ukraińskich Mykoły Rudenka i Ołeksy Tycheho. Ich proces odbywał się w zapadłej miejscowości Drużkowska, oddalonej od Kijowa o dziewięćset kilometrów, a od Moskwy o ponad tysiąc kilometrów.

Wyroki, które zapadły w Drużkowie były drakońskie: Tychaj został skazany na dziesięć lat więzienia i pięć lat zsyłki, a Rudenko — na siedem lat więzienia i również na pięć lat banicji. Ani rodzinie obydwo oskarżonych, ani też ich przyjaciółom politycznym KGB nie pozwoliło na przyśłuchiwanie się rozprawie.

Obydwaj Ukraińcy stali do niedawna na czele Ruchu Obrony Praw Człowieka, dokładniej — ukraińskiej grupy dla badania realizacji aktu końcowego konferencji europejskiej w Helsinkach. Wraz z innymi działaczami podobnego pokroju, redagowali rezolucje, przekazywane najwyższym władzom Republiki Ukraińskiej i centralnym czynnikiem rządowym i partyjnym w Moskwie. Zajmowali się też czynnie gromadzeniem faktów na temat łamania postanowień z Helsinek. To też było przyczyną ich aresztowania zimą bieżącego roku. Ale postępowanie sądowe nie dotyczyło obywatelskiej działalności Tycheho i Rudenki. Sfabrykowano sprawę w sposób zupełnie inny, a mianowicie podczas rewizji w mieszkaniach dysydentów policja podłożyła rzekome dowody antypaństwowej działalności Tycheho i Rudenki. Znalaziono jakoby pakiet walut zagranicznych, głównie dolarów, a u Tycheho nawet stary karabin polniacki. W ten sposób sfabrykowano akt oskarżenia, a obydwoj aresztowani działacze ruchu demokratycznego zostali przedstawieni jako niebezpieczni wyrotowcy. Nic nie pomogły apele przyjaciół i kolegów, jak też moskiewskich działaczy tego samego Ruchu — przede wszystkim generała Piotra Grigorenki — którzy nie jednokrotnie wskazywali na bezpodstawność oskarżeń i na to, że zarówno Tychaj, jak Rudenko działali w pełni legalnie, opierając się wyłącznie na prawach zagwarantowanych w konstytucji sowieckiej oraz na postanowieniach Karty Praw Człowieka i końcowego aktu z Helsinek.

Kim są obydwoj rzecznicy praw ludzkich i obywatelskich na Ukrainie? Ołeksja Tychaj pochodzi z Donbasu, urodził się w roku 1929 na chutorze Iżewka. Ukończył wyższą uczelnię i specjalizował się w dziedzinie pedagogii, literatury i języka ukraińskiego. Po studiach rozpoczął działalność pedagogiczną w szkolnictwie średnim. Ale już w 1956 roku zetknął się po raz pierwszy z niechęcią władz partyjnych. Zaproszono go do miejscowego komitetu partii rzekomo na towarzyską rozmowę w sprawach polityki narodowościowej, a kiedy Tychaj potępił rusyfikację szkolnictwa, oskarżono go

o nacjonalizm. W roku 1957 został aresztowany i skazany na siedem lat więzienia za antysowiecką propagandę i agitację. Po odsiedzeniu całego wyroku nie pozwolono mu już wrócić do szkolnictwa. Tychaj musiał pracować w brygadzie budowlanej. Ale nie ustał w działalności kulturalno-oświatowej, szerząc swoje idee głównie w środowisku robotniczym. Nie dane mu jednak było prowadzić tej działalności w spokoju, gdyż władze policyjne stałe go śledziły i szkykanowały częstymi rewizjami. W listopadzie 1976 roku Ołeksja Tychaj dołączył do powstałej w Kijowie pod kierownictwem Mykoły Rudenka — Ukraińskiej Grupy badania realizacji uchwał z Helsinek. W lutym 1957 roku aresztowano go i w ten sposób rozpoczął się drugi rozdział gehenny Ołeksy Tycheho.

Druga ofiara procesu donieckiego to pisarz Mykoła Rudenko, liczący dziś pięćdziesiąt sześć lat. W młodości, jako syn górnik przedwcześnie zmarłego na skutek katastrofy w kopalni, Mykoła Rudenko był fanatycznym komunistą, wstąpił wczesnie do partii, a w czasie wojny służył nawet w elitarnej dywizji Wojsk Bezpieczeństwa, która przed odejściem na front pod Leningradem była odpowiedzialna za bezpieczeństwo Stalina i całego politbiura na Kremlu. Mykoła Rudenko, ciężko ranny na froncie leningradzkim, jako inwalida wojenny został odznaczony jednym z najwyższych orderów sowieckich, a mianowicie „Orderem Czerwonej Gwiazdy”. W roku 1947 wszedł do literatury jako poeta. Jego pierwszy utwór nosił nazwę „Z pochodą”, później ukazywały się nieomal co roku tomiki nowych poezji, jak na przykład „Niezwalczone plemię”, „Leningradzcy”, „Apel przyjaciół”, „Męstwo”. Treścią tych wszystkich poezji była radosna i optymistyczna państwowotwórczość i oficjalna doktryna stalinowska. Gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych Rudenko — który zajmował również wybitne stanowiska jako odpowiedzialny redaktor czasopism literackich i wpływowego członka grupy pisarzy partyjnych w Związku Pisarzy Ukrainy — zaczął pisać prozę. Najpierw powieść „Wiatr w twarz” następnie drugą „Ostatnia szabla”, w których już było coraz mniej partyjności i oficjalnej tromtadracji, a coraz więcej spraw ludzkich i indywidualnej refleksji. Zarysowało się to jeszcze mocniej w zbiorze opowiadań „Biała akcja” w roku 1962, a przede wszystkim w powieści fantastycznej pod tytułem „Czarujący bumerang” (1966 r.).

Na początku lat siedemdziesiątych Rudenko przeszedł wyraźnie na pozycje opozycyjne, angażując się przy powstawaniu sowieckiej grupy popierania organizacji *Amnesty International*. Stracił prawo do druku, został usunięty z wydawnictw, a potem wydalony z partii. Jego ostateczne zerwanie z wiarą w oficjalną doktrynę marksizmu-leninizmu wyraziło się wreszcie w pracy teoretycznej „Monologi ekonomiczne”. Jest to obszerna rozprawa, będąca krytyczną analizą „Kapitału” Karola Marksa. Książka ta mogła się ukazać jedynie w ukraińskim samizdacie i ma wyjść niebawem drukiem w wydawnictwie emigracyjnym czasopisma *Suczastnist'*.

Nietypowa to chyba, w Związku Sowieckim w ogóle, a na Ukrainie specjalnie, kariera człowieka, który niegdyś służył w Dywizji NKWD imienia Dzierżyńskiego, pisał stalinowskie wiersze, by w wieku męskim stać się rzecznikiem rewizjonizmu w stosunku do ideologii marksistowskiej i stanąć na czele Ukraińskiego Ruchu Obrony Praw Ludzkich i Obywatelskich.

Oczywiście Sąd Najwyższy w Kijowie apelację odrzucił i obydwa wyroki zatwierdził. W tamtejszych kołach dysydentów panuje rozgoryczenie, że opinia na Zachodzie prawie że wcale nie ujęła się za skazanymi. Porównuje się szum robiony przez intelektualistów zachodnich wokół praskiej Karty 77 lub w sprawie aresztowań w Polsce, ze stoickim zaiste spokojem, z jakim na Zachodzie odłożono do aktów wyroki przeciwko Rudence i Tychemu.

## Kronika niemiecka

Frakcja CDU/SCU w *Bundestagu* zażądała aby delegacja zachodnio-niemiecka na konferencji KBWE w Belgradzie poruszyła sprawę zagłuszania przez kraje wschodnioeuropejskie (z wyjątkiem Węgier i Rumunii) programów emitowanych przez zachodnie radiostacje. ■ W szkole letniej *Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego* uczestniczyła po raz pierwszy dziecięcoosobowa grupa młodzieży z Zagłębia Saary oraz czterech nauczycieli ze szkół polonijnych. ■ Ambasada NRF w Warszawie wystawiła w pierwszym półroczu br. ponad 100 tys. wiz obywatelom PRL, tzn. o 15 tys. wiz więcej niż w tym samym okresie ub. roku. Podane liczby nie świadczą bynajmniej o wzroście ruchu turystycznego do NRF, ponieważ 60 % udzielonych wiz stanowią zezwolenia na przejazd tranzytowy, a ok. 25 tys. wiz otrzymali przesiedleńcy, którzy w pierwszym półroczu br. przenieśli się na stałe do NRF. ■ Dotychczasowy *Urząd d/s Wysiedlonych, Uciekinierów i Ewakuowanych* w Bremie, przemianowany został na *Urząd d/s Imigrantów i Przesiedleńców*. Koła chadeckie oceniły zmianę nazwy jako „pogwałcenie porządku prawnego Republiki Federalnej”. ■ Dzięki błyskawicznej akcji pewnej apteki w Kolonii i zachodniemieckich linii lotniczych *Lufthansa*, które przewiozły lekarstwo do Polski, uratowano życie dziecka w Rybniku. Prasa PRL oczywiście przemilczała ten dramatyczny wyścig z czasem. ■ Przedstawiciel frakcji CDU/CSU w *Bundestagu*, deputowany Alois Mertes (1972: „pojednanie z narodem polskim a nie z reżymem komunistycznym powinno stanowić zasadniczy cel rządu niemieckiego”) wyraził ubolewanie, że partie SPD i FDP odrzuciły wniosek opozycji w sprawie wspólnego przygotowania dokumentacji o prawach człowieka w odniesieniu do Niemców na całym obszarze obowiązywania Aktu Końcowego KBWE. ■ 41 % uczniów szkół średnich w PRL pobiera naukę języka niemieckiego. ■ Mirosław Sikora, członek reprezentacji Polski w hokeju na lodzie, odmówił powrotu do kraju i zwrócił się do władz zachodniemieckich z prośbą o azyl. ■ Do ostrych kontrowersji między Warszawą a Wschodnim Berlinem doszło ostatnio na tle odmowy władz NRD udzielenia dotacji finansowej na budowę *Centrum Zdrowia Dziecka* w Warszawie. Rząd w Pankow w poufnej nocy oświadczył, że „NRD nie ponosi moralnej odpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez Hitlera”. Wielki szpital i ośrodek rehabilitacyjny w Warszawie poświęcone są pamięci dwóch milionów polskich dzieci, które poniosły śmierć w czasie drugiej wojny światowej. Prezydent NRF Walter Scheel przekazał na ten cel 100 tys. marek, *Akcja Diakoniczna* — 60 tys., *Kościół Ewangelicki* — 500 tys. a koncern *Kruppa* — 1,2 mln. marek. W sumie dary napływające z Republiki Federalnej sięgają kwoty 5 mln. marek. ■ W wieku 92 lat zmarł w Tybindze prof. Ernst Bloch, wybitny filozof niemiecki, interpretator Marksa i Hegla. Na krótko przed śmiercią podpisał jeden z apeli, w którym zachodniemieccy intelektualiści domagali się zaprzestania przez władze PRL represji wobec członków KOR'u. ■ Nowym korespondentem *PAP* w Bonn został Juliusz Solecki. Jego poprzednik — Eugeniusz Guz powrócił do Warszawy, gdzie objął stanowisko kierownika działu niemieckiego *Polskiej Agencji Prasowej*. ■ W Krakowie przebywała z rewizytą delegacja Norymbergi z nadburmistrzem tego miasta Andreasm Urschlechterem. Podczas rozmów omawiano możliwości nawiązania współpracy między obydwojma miastami w dziedzinie kultury oraz rewaloryzacji obiektów zabytkowych. ■ Nakładem wydawnictwa *Gerhard Weber Verlag* w Lorch ukazała się książka Sigismunda von Zedlitz'a pt. *So sieht uns Polen* (Tak nas widzi Polska). ■ Władze NRD odstawiły

pod zbrojną eskortą do Berlina Zachodniego grupę 8-miu wschodniemieckich obywateli, aresztowanych poprzednio i uwięzionych za złożenie podpisu pod rezolucją wyrażającą protest przeciwko pozbawieniu obywatelstwa NRD znanego piosenkarza Wolfa Biermanna. Wszyscy wydaleniu należą do młodszego pokolenia; są wśród nich pisarze, studenci i robotnicy. ■ Znany publicysta Walter Günzel, opublikował na łamach bońskiego dziennika *Die Welt* obszerny artykuł poświęcony jubileuszowi 30-lecia paryskiej *Kultury*. Gazeta pamiętała także o 75-tej rocznicy urodzin wybitnego polskiego filozofa, emerytowanego profesora Uniwersytetu we Fryburgu, ojca dominikanina I. M. Bocheńskiego. ■ Jak podała agencja *DPA*, Leopold Sobik, zatrudniony w Oddziałach Wartowniczych przy *US Army*, został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa na rzecz wywiadu PRL. Sobik, który w ostatnich latach często jeździł do Polski, pełnił służbę w jednym z amerykańskich magazynów broni w Palatynacie. Wychodzące w Mannheim *Ostatnie Wiadomości* piszą w związku z aresztowaniem: „Wypadek ten jest ostrzeżeniem dla tych wartowników, którzy decydują się na wyjazdy do Polski, gdzie łatwo mogą być wykorzystywani dla celów szpiegowskich”. Władze zachodniemieckie zamierzają odbierać paszporty uchodźcze tym Polakom zamieszkałym w NRF, którzy korzystając z azylu politycznego w tym kraju, odbywają podróże do Polski. ■ W Warszawie podpisano między *Bankiem Handlowym* w Warszawie a konsorcjum banków Republiki Federalnej ramową umowę kredytową na sumę 2 mld. marek z przeznaczeniem na sfinansowanie dostaw z NRF urządzeń do zgazowania węgla i chemicznego przetwarzania gazu w Polsce. Kredyt ten jest objęty gwarancją rządu w Bonn i stanowi zasadniczą część programu kredytowego w wysokości 2,5 miliarda marek, przeznaczonego na realizację tego kompleksu inwestycyjnego. Jest to największa dotychczas operacja kredytowa na sfinansowanie zachodniemieckiego eksportu do Polski. Zadłużenie PRL na Zachodzie sięga już sumy 16 mld. dolarów. Nowy kredyt banków NRF (podobno na 6,5 %) ma zostać spłacony do końca 1992 roku. W tej chwili ok. 40 % do 50 % wartości polskiego eksportu przeznaczają się na spłatę zaciągniętych pożyczek. ■ W Polsce przebywali przedstawiciele *Kościółów Ewangelickich NRF* — pastor dr Theodor Schober, prezydent *Diakonische Werk* ze Sztutgartu oraz pastor Heinz-Günter Gasche, dyrektor organizacji pomocy międzykościelnej *Kościół Ewangelickiego Hesji i Nassau*. Lewicowi działacze ewangelicy złożyli oczywiście wizytę kierownikowi *Urzędu do Spraw Wyznań*, Kazimierzowi Kąkolowi. Reżym PRL jest wyraźnie zainteresowany w intensyfikacji kontaktów z zachodniemieckim *Kościółem Ewangelickim*. Posłusznym instrumentem władz pośredniczącym w tym „dialogu”, jest *Polska Rada Ekumeniczna*. ■ W uroczystościach pogrzebowych ks. arcybp. Antoniego Baraniaka w Poznaniu, wśród gości zagranicznych byli m.in.: ks. bp Friedrich Rintelen (Padeborn), ks. bp Hubertus Brandenburg (Osnabrück) i sekretarz *Konferencji Biskupów Niemieckich*, ks. Frałat Josef Homeyer. Z NRD przybył ks. bp Theodor Hubrich, sufragan Magdeburga. ■ Nakładem zachodniemieckiego *Instytutu d/s Międzynarodowych Badań nad Podręcznikami Szkolnymi im. prof. Georga Eckerta* w Brunzwicku, ukazała się publikacja zawierająca ostatecznie zrehabilitowany pełny tekst wszystkich zaleceń w sprawie rewizji podręczników szkolnych, uzgodnionych przez polskich i zachodniemieckich ekspertów. Książka została wydana w obu językach. ■ Biskup kołobrzesko-koszaliński ks. Ignacy Jeż, mianował honorowym kanonikiem w swej diecezji ks. dr Helmuta Holzpfel'a z Wuerzburga (Bawaria). Ks. Holzpfel, redaktor *Bayerische Klerusblatt*, autor biografii Reinberna, pierwszego biskupa Pomorza, jest pierwszym duchownym zachodniemieckim, który otrzymał tego rodzaju godność od Episkopatu Polski.

## Wywiad z rolnikami w telewizji szwedzkiej

### Sprawy i troski

Telewizja szwedzka przeprowadziła wywiad z rolnikami południowej Szwecji (Skania), gdzie jarzyny i owoce gniją wobec braku rąk do zbiorów. W poprzednich latach młodzież polska, głównie studenci, angażowali się do sezonowej pracy letniej u gospodarzy szwedzkich. W bieżącym roku — wobec wprowadzenia przez władze szwedzkie zakazu zatrudniania studentów zagranicznych którzy nie zapewnili sobie prawa pracy przed wyjazdem do Szwecji via szwedzkie Ambasady czy konsulaty — rolnicy nie mają prawa angażowania młodzieży cudzoziemskiej. Powstał paradoks: rolnicy potrzebują gwałtownie pomocy, a po Szwecji podróżują tysiące polskich studentów w poszukiwaniu pracy. Tymczasem zaś w Szwecji zarejestrowano już około 90.000 bezrobotnych, w tym sporo młodzieży, która wzdraga się przed pracą na roli, woląc dobrze zaakrąglony zasiłek dla bezrobotnych.

## Działalność londyńskiej Biblioteki Polskiej w 1975 r.

Stan zbiorów. — Po wyłączeniu 339 tomów książek zniszczonych i po przekazaniu do bibliotek brytyjskich wydawnictw nie dotyczących Polski, stan zbiorów własnych obecnie udostępnionych przedstawia się następująco:

- 80.206 dzieł (tytułów) książek polskich lub obcojęzycznych dotyczących spraw polskich,
- 1.757 skryptów (wyd. powielanych),
- 510 rękopisów,
- 210 atlasów i map,
- 1.071 nut,
- 127 płyt gramofonowych,
- 37.572 fotografii,
- 11.343 exlibrisy.

Kolekcja czasopism obejmuje ok. 3.000 tytułów periodyków polskich i obcych, z czego przeszło 300 otrzymywanych bieżąco.

Liczba wydawnictw oczekujących na sprawdzenie, ewentualne włączenie do księgozbioru i skatalogowanie pozostaje nadal bliska cyfrze ok. 10.000.

Biblioteka opiekowała się jednocześnie zbiorami depozytu Fundacji z Brzezia Lanckorońskich, zawierającymi ponad 3.000 dzieł jak również kolekcje map, grafiki i rękopisów.

Budżet Biblioteki Polskiej zamykał się w kwocie £ 15.029.80.

Na Fundusz Biblioteczny zebrano £ 3.653.60. Roczna subwencja Uniwersytetu Londyńskiego (SSEES) wynosiła £ 3.000. Za świadczenia i usługi dla innych instytucji otrzymano £ 1.187.67. Ze sprzedaży dubletów, własnych wydawnictw, kartek świątecznych itp. osiągnięto kwotę £ 388.45. Z zapisu po śp. Sergiuszu Piaseckim dalsza wpłata przyniosła £ 67. Część kosztów lokalu w wysokości £ 2.500 (z czynszu wynoszącego £ 4.500) była pokryta przez POSK, który również pokrywał niedobór Funduszu.

Ok. 500 osób wsparło Fundusz Biblioteczny swoją ofiarnością.

Saldo Funduszu im. Kazimierza Wierzyńskiego na dzień 1. I. 1976 wynosiło — £ 225.85.

### ZAPRENUMERUJ "AN POLITYCZNY KWARTALNIK EKS" do ocenzonej prasy A N E K S w Polsce

W nr. 15 m.in.: J. T. GROSS: *Opozycja polityczna w Polsce: SOCJALIZM I DEMOKRACJA* — dyskusja na marginesie książki W. Brusa; S. GOMUŁKA (*O czynnikach ekonomicznych w demokracji socjalizmu i socjalizacji komunizmu*) oraz wypowiedzi M. HIRSZOWICZOWEJ, L. KOŁAKOWSKIEGO i A. MATEJKI; Z. BAUMAN: *Stalin i rewolucja chłopska*; H. ARENDT: *Myśli o polityce i rewolucji*.

Upřednio w nr. 13/14 m.in.: J. KURON: *Myśli o programie działania*; A. MICHNIK: *Nowy ewolucjonizm*; K. MODZELEWSKI: *List Otwarty do E. Gierka*; F. NIEDOLSKI: *Dlaczego nie całkiem jestem chrześcijaninem*; G. GAWIŃSKI: *Niebo w płomieniach*; A. POSPIESZALSKI: *Myśli o opozycji*; PAŹDZIERNIK 1956: J. GROSS: *W 20 lat później*; A. WĄZYK: *Co to było?*; Z. KUBIAK: *NATURA I OBŁĘD*; W. WOROSZYLSKI: *Dziennik węgierski*.

ROZCZNIK 4 numery: \$ 10, F. 40, £. 4, Skr 36.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy kierować na adres:

61 DORSET ROAD, LONDON W5, ENGLAND.



## Kronika kulturalna

### Benedykt Heydenkorn

W kwietniu tego roku przeszedł na emeryturę Benedykt Heydenkorn, znany dziennikarz i publicysta oraz naczelny redaktor *Związkowca*, czołowego pisma kanadyjskiej Polonii. Należy on do nielicznej już grupy przedwojennych, zawodowych dziennikarzy polskich, którzy przebywszy szlak Rosja-Bliski Wschód-Włochy-Anglia, pozostali po wojnie na wychodźstwie, kontynuując służbę dla prasy polskiej poza krajem. Redaktor Heydenkorn obchodził niedawno temu 70-ciolecie swoich urodzin, w ubiegłym roku 50-ciolecie pracy dziennikarskiej, zaś wiosną tego roku, dwudziestolecie redagowania *Związkowca*. Ten rzadki zbieg okoliczności zobowiązuje do tego aby jego sylwetkę przypomnieć topniejącym szeregom czytelników prasy polskiej poza krajem.

Benedykt Heydenkorn (Heidenkorn) urodził się w roku 1905 w Starej Birczy pod Przemysłem. Studia filozoficzne ukończył na Uniwersytecie Warszawskim w roku 1930, ale pracę dziennikarską zaczął jeszcze jako student w roku 1926, pisząc korespondencje stołeczne do *Dziennika Lwowskiego*, okazyjne artykuły do pro-rządowej *Epoki*, i do dodatku literackiego *Głosu Prawdy*, prowadzonego przez Kadena-Bandrowskiego. Jakiś czas współpracował z *Buntem Młodych*, z *Kroniką Polski i Świata*, a także z *Drogą*, redagowaną przez Wilama Horzycę. Kariera jego stabilizuje się, kiedy młody dziennikarz wiąże się z warszawskim biurem dziennika *Berliner Tageblatt*. Przez ostatnie sześć lat, aż do 17 września 1939 roku pracował w warszawskim biurze francuskiej agencji prasowej HAVAS, jako polityczno-parlamentarny korespondent, będąc równocześnie członkiem redakcji popularnej popołudniówki warszawskiej *Ostatnie Wiadomości*, prowadzonej przez Mieczysława Krzypkowskiego.

Druga Wojna Światowa nie przerywa działalności Heydenkorna. Wywieziony do Rosji, wydaje w jednym z obozów radio-

wy biuletyn, później pisuje do bagdadzkiego *Kuriera Polskiego*, wreszcie zaczyna stałą współpracę z prasą Drugiego Korpusu, aż do jego demobilizacji w Anglii. W Londynie zostaje sekretarzem redakcji efemerycznego *Słowa Polskiego*, stworzonego przez Ludwika Rubla dla zdemobilizowanych żołnierzy Korpusu. W londyńskich latach zbliża się również do środowiska socjalistów polskich, współpracując z *Robotnikiem*, a nawet sam redagując organizacyjny biuletyn pt. *Notatnik Socjalisty*. Nie widząc dla siebie wielkiej przyszłości w przeludnionej wychodźcami Anglii, emigruje w listopadzie 1949 roku do Kanady.

#### Na polonijnym odcinku

Emigracja do Kanady oznaczała życie się w nowe środowisko w odmiennych i trudnych warunkach bytowania. Jak wielu innych, Heydenkorn zaczyna od pracy fizycznej, awansuje społecznie na pracownika biurowego w hamiltonskim oddziale Kongresu Polonii, wreszcie zdobywa pracę we własnym zawodzie dzięki zbiegowi historycznych okoliczności.

Były to czasy reorganizacji prasy polskiej w Kanadzie: zeświecczenia i przesuwania się geograficznego wydawnictw starej emigracji z preryjnej Manitoby i Saskatchewan, do Ontario i Quebecu, dokąd napływały fale nowej emigracji powojennej, a więc potencjalnych czytelników. Stanisław Zybala, dziennikarz przybyły z „dipisowskich” Niemiec, stwarzał nowoczesny, emigracyjny i pro-londyński *Głos Polski*, za pomocą ryzykanciej fuzji dwu starszych organów polonijnych, *Gazety Katolickiej* oraz *Głosu Polskiego*, i w roku 1952 zaangażował Heydenkorna do tak powiększonego warsztatu pracy. Nieporozumienia między redakcją a wydawcami, typowa choroba prasy polonijnej, położyły jednak kres tej owocnej kilkuletniej działalności, powodując rezygnację redaktorów. Zybala porzuca w 1956 roku dziennikarstwo na stałe, obierając karierę kanadyjskiego urzędnika do spraw etnicznych, zaś Heydenkorn przenosi się do konkurencyjnego *Związkowca*, gdzie w pół roku później, w maju 1957, obejmuje kierownictwo pisma.

Lata pracy w *Związkowcu* to okres stabilizacji przemian światopoglądowych i politycznych Heydenkorna, rozluźnianie związków z ośrodkiem rządu emigracyjnego w Londynie, oraz re-ewaluacja pozycji i roli Polonii kanadyjskiej, którą uważa przede wszystkim za obywateli adoptowanej ojczyzny, wprowadzie świadomych swych korzeni, ale niezależnych od wpływów zarówno starego kraju, jak i ośrodków dyspozycyjnych politycznej emigracji wrześnieowej. Przyszłość Polonii widzi on w świadomym, gospodarczo-kulturalnym zaangażowaniu się po stronie kanadyjskiej, co w ostatecznym rozrachunku okaże się korzyścią dla Polski. W procesie przeobrażeniowym Heydenkorna odgrywał także rolę i ten ważny fakt, że był on redaktorem pisma stwo-

rzęzonego przez robotniczo-chłopską emigrację, reprezentującego kierunek antyklerykalny i liberalny.

Heydenkorn wniósł do *Związkowca* swe długoletnie doświadczenie i ambicje warszawskiego dziennikarza. *Związkowiec* przekształcony został w półtygodnik wprawdzie jeszcze przez jego poprzednika, Głogowskiego, ale jest niewątpliwą zasługą Heydenkorna, że ten nowy status pisma w trudnych warunkach emigracyjnych przez dwadzieścia lat został utrzymany. Za jego redakcji pismo pozyskało wielu nowych współpracowników, zarówno spośród politycznych pisarzy, jak Ciołkosz, jak i przedstawicieli środowiska akademickiego oraz literackiego, także spoza Kanady. Rozbudowano sieć korespondentów własnych, i zaczęto drukować współczesnych, emigracyjnych i krajowych pisarzy, płacąc im honoraria, co w polonijnej, ubogiej prasie jest rzeczą raczej niepraktykowaną. Częste wyjazdy do Polski samego redaktora, jak i członków redakcji, wzbogaciły tematykę pisma o materiał reporterski, dotyczący rzeczywistości w kraju, nie zawsze jednak bezstronnie prezentowany. Pismo popierało każdą akcję społeczną, czy to w postaci pomocy rodakom w Kraju, czy akcję na rzecz zwrotu tzw. Skarbów Wawelskich, decydując o jej pozytywnym wyniku. A już specjalnością Heydenkorna, były rozrzutnie wystawne numery specjalne pisma, bożonarodzeniowe i wielkanocne, dochodzące do objętości 50-ciu stron druku, które przynosiły oryginalny materiał wspominkarski, folklorystyczny, religijny, sporo poezji i opowiadań. Materiał ten był zamawiany przez redaktora z góry, autorzy dobierani, prace były honorowane czełkiem. Wreszcie trzeba stwierdzić wielkie zasługi pisma na polu propagowania piśmiennictwa polskiego: nie ma drugiego pisma polskiego w całej diasporze, które ogłaszałoby więcej omówień wydawnictw (sam redaktor napisał ich setki), oraz poświęcało więcej miejsca reklamie księgarskiej wydawnictw zarówno emigracyjnych jak i krajowych. Odchodząc, redaktor Heydenkorn zostawił ustabilizowane pismo polonijne na dobrym poziomie, zrównoważone, tolerancyjne, pro-kanadyjskie, ale zarazem otwarte na świat, a przede wszystkim na Polskę. Dla przyszłych badaczy prasy emigracyjnej, zostawił jako upominek, książkę pt. „*Związkowiec*”: *Monografia pisma polonijnego* (Toronto, 1963). Jest to jak dotąd, pierwsza i jedyna tego rodzaju praca ogłoszona na emigracji, omawiająca dzieje i problematykę ważnego polonijnego pisma, od czasów jego powstania aż do roku 1957.

#### Nie-redaktorskie obowiązki

Poza produkcją dziennikarską i recenzyjną we własnym piśmie, Heydenkorn znajdował zawsze w jakiś sposób czas na pisywanie do innych pism emigracyjnych, że wymienimy *Dziennik Polski*, *Tydzień Polski*, czy *Robotnik* a przede wszystkim

paryską *Kulturę*, z którą związany jest od lat. Pisze o zmarłych kolegach, wspomnienia o własnej dziennikarskiej pracy, wywiady, analizy i przeglądy, recenzje, a ostatnio zaczął prowadzić w *Kulturze* skrupulatną kronikę kanadyjskiej Polonii.

Kiedy w latach 60-tych zaczęła się w świecie anglosaskim moda na etniczność oraz wielokulturowość, a nauki społeczne zaczynały kwestionować usankcjonowane teorie tzw. *Melting-pot*, w Heydenkornie budzi się socjolog. Włącza się w dyskusję, przemawiając na sympozjach, zebraniach międzynarodowych, wreszcie publikując artykuły na łamach kanadyjskich periodyków naukowych. Powstaje w ten sposób szereg przyczynków socjologicznych, z których wymienimy najważniejsze: *The Social Structure of Canadian Polonia* (1969), *Polish Contribution to Canadian Culture* (1970), *Przyczynki do historii Polonii Kanadyjskiej* (1971), *The Immigration Policy of Canada* (1971), *Pionierska droga Związku Polaków w Kanadzie* (1973), *The Polish Alliance of Canada* (1974), oraz *Poles in Canada* (1974), napisane wspólnie z R. Koglerem. Dwa szkice poświęcił zagadnieniu pamiętnikarstwa emigranckiego: *Memoirs of the Polish Immigrants* (1974), oraz *Memoirs of the Polish Immigrants to Canada* (1975).

Ostatni z tej serii szkiców, ogłoszony w 1976 roku, poświęcony jest przeglądowi 25-lecia działalności Egzekutywy Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Jak na chodzącego w kieracie redakcyjnym dziennikarza jest to niebagatelny udział Heydenkorna w nie zakończonej jeszcze dyskusji na temat etniczności, a naświetlający polską stronę zagadnienia.

#### Od dziennikarstwa do dokumentacji

To uczestnictwo Heydenkorna w kanadyjskiej dyskusji na temat „wielokulturowości” przerodziło się w ścisłą współpracę z Instytutem Badawczym w Toronto. Kiedy Rada Instytutu, osieroconego przez śmierć założyciela dr. Turka, wystąpiła w roku 1963 z projektem uczczenia stulecia Federacji Kanadyjskiej, postanowiono opublikować leżącą w manuskrypcie pracę Turka o Polakach w Manitobie. Heydenkornowi przypadło w udziale przygotowanie dzieła do druku. Spory tom, zatytułowany *Poles in Manitoba* ukazał się w roku 1967 jako 5-ty kolejny tom *Studiów* tej instytucji, poprzedzony życzliwymi uwagami prof. J.W. Rose, i wstępem redaktora. Jego następną pracą wydawniczo-edytorską było wydanie angielsko-języczne *Tworzywa* Wańkowiec, które ukazało się w roku 1973 pt. *Three generations*.

Od roku 1974 Instytut Badawczy wydaje regularnie co roku tom rozpraw, szkiców i materiałów dokumentarnych o Polonii Kanadyjskiej, przygotowanych do druku przez Benedykta Heydenkorna. Tom ósmy serii, zatytułowany *Past and Present*, zawiera szkice dwunastu autorów dotyczące socjologii polskiej grupy, szkolnictwa, prasy, organizacji społecznych i literatury

imigrantów, między którymi wyróżnia się praca V. Zołobka rejestrująca polskie Canadiana a będąca kontynuacją bibliografii Dr. Turka, doprowadzoną do roku 1971. Dziewiąty tom, *From Prairies to Cities* (Toronto, 1975) to kolekcja sześciu socjologicznych esejów, przygotowanych na VIII-my Światowy Kongres Socjologii. Najobszerniejszy ze szkiców, pióra spółki autorskiej Aleksandra i Joanny Matejków, analizuje osadnictwo chłopskie na kanadyjskich preriach. W szeregu wydawnictw Instytutu szczególnie cenny wydaje się nam tom dziesiąty, wydane w roku 1975 *Pamiętniki Imigrantów*, gdzie zebrano wynik konkursu rozpisanego w roku 1971. Rok temu wydany tom jedenasty, w serii prac Instytutu zatytułowany ogólnikowo *Topics on Poles in Canada*, zajmuje się tematyką takich wybranych zagadnień, jak parafie etniczne, uprzedzenia w stosunku do młodzieży szkolnej, profil kanadyjskiej Polonii, oraz rozwój Kongresu Polonii Kanadyjskiej.

Ukoronowaniem pracy edytorsko-wydawniczej oraz badawczej redaktora Heydenkorna, jest jego współpraca z Henrykiem Radeckim nad monografią Polaków w Kanadzie, pt. *A Member of a Distinguished Family; The Polish Group in Canada*. Książka ukazała się w serii *A History of Canada's People*, wydana przez firmę McClelland and Stewart, przy finansowej pomocy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Kanady, w ramach programu poświęconego wielokulturowości.

Siedemdziesięcioletni Redaktor nie zamierza spocząć na laurach. W druku znajduje się drugi tom *Pamiętników Imigrantów*, obecnie redaguje tom trzeci i ostatni. W zanadrzu ma nowy projekt, do którego już zbiera materiały: *Historia Zjednoczenia Zrzeszeń Polskich w Kanadzie*.

Jan KOWALIK

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec  
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO  
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:  
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

## Książki

### Zapis

Rok 1977 przyniósł Polsce nową formę publikacji tekstów literackich, nie mających szans na przejście przez cenzurę: maszynopiśmienny almanach „Zapis”\*, którego pierwszy tom ukazał się w styczniu. W programowym artykule pt. „Dlaczego 'Zapis'” Stanisław Barańczak pisze o motywach, jakie skłoniły grupę literatów w Kraju (*Zapis I* został przygotowany przez J. Andrzejewskiego, St. Barańczaka, J. Bocheńskiego, K. Brandysa, T. Burka, M. Nowakowskiego, B. Toruńczyk i W. Woroszyńskiego) do posłużenia się instytucją „samizdatu”: w związku z falą protestów wobec projektowanych w ub. roku zmian w konstytucji i czynnym zaangażowaniem się wielu artystów i pisarzy po stronie przesładowanych robotników Ursusa i Radomia śruba cenzury została przykręcona tak silnie, że znikły nawet pozory swobody wypowiedzi. Obok groteskowo rozbudowanej listy tematów, motywów, a nawet pojedynczych słów („nie wolno używać zbyt często słów 'demokracja', 'wolność', 'tolerancja', 'niezawistość', a nawet... 'zachowanie własnej twarzy'”) cenzura służy jako środek represji dla niepokornych i pewni pisarze stali się *unprintable* niezależnie od treści ich tekstów. W tej sytuacji powrót do form przedgutenbergowskich (teksty pisane w kilkunastu egzemplarzach) staje się koniecznością; „Zapis” ma służyć rozpowszechnianiu utworów skazanych oficjalnie na nieistnienie, gdyż lepsza jest „uboga” forma publikacji niż żadna (dodajmy że — jak pokazał rosyjski *samizdat* — ma ona twardy żywot). W intencji wydawców „Zapis” nie ma być czasopismem, a jedynie periodycznie ukazującym się zbiorem materiałów, które oprócz

\* *Zapis I* (Poezja — Proza — Eseje — Felietony), styczeń 1977 (wyd. drukowane nakładem *Index on Censorship*, 21 Russell St., Covent Garden, London WC2), str. 208; *Zapis II* (Poezja — proza — eseje), kwiecień 1977, maszynopis powielany, str. 204; *Zapis III* (T. Konwicki, „Kompleks polski”, powieść), lipiec 1977, maszynopis powielany, str. 206.

posiadania wartości immanentnej stanowią też *signum temporis* i staną się z czasem źródłem do historii kultury obecnej Polski. Należy mieć nadzieję, że wbrew programowemu zastrzeżeniu „Zapis” rozwinie się w czasopismo; tendencję taką wykazuje już zresztą tom II, zawierający obok części antologicznej także kronikę, odnotowującą ostatnie wybrki cenzury oraz wybór głosów czytelników na temat pierwszego tomu publikacji. Wśród tych ostatnich postulat przekształcenia almanachu w czasopismo powtarza się kilkakrotnie.

Z uwagi na charakter publikacji (różnorodność form) i dużą ilość autorów nawet pobieżne omówienie treści *Zapisu* jest zadaniem trudno wykonalnym, toteż nota niniejsza nie rości sobie pretensji do miana recenzji. Dla zorientowania czytelników *Kultury* w zawartości *Zapisu* omówię kolejno jego trzy tomy, dzieląc materiał na prozę artystyczną, poezję, esej i publicystykę — podział ten nie jest ani ostry, ani wyczerpujący, ułatwia jednak orientację.

Większość tekstów prozatorskich w *Zapisie I* stanowią fragmenty powieści. Należą tu: Kazimierza Brandysa „Nierzeczywistość” (rodzaj refleksyjnej autobiografii, w której wspomnienia przeplatają się z próbami określenia stanowiska autora wobec świata, niegdyś i obecnie); Jerzego Andrzejewskiego „Miazga” (fragment pt. „Narodziny”, jakby nowela, której tematem jest autentyczna historia telefonu Stalina do Pasternaka, po aresztowaniu Mandelsztama); Wiktora Woroszyńskiego „Literatura” (refleksyjno-wspomnieniowe fragmenty, dotyczące Pasternaka i Gombrowicza), Jacka Bocheńskiego wyjątek z powieści o Tyberiuszu (fragment pt. „Prospekt” — portret mordercy w służbie „wyższych celów politycznych”), Jana Komolki „Ucieczka do nieba” (wyjątek z powieści pod tymże tytułem, przedstawiającej dom poprawczy niewiele różniący się od obozu koncentracyjnego). Tekst Komolki można by wcielić do osobnej podgrupy „czarnej prozy”, którą reprezentują opowiadania Marka Nowakowskiego i Kazimierza Orłosa — obaj autorzy piszą metodą maupassantowską, pozornie sprawozdawczą; mamy tu coś z Dygata „Pól Elizejskich” (minus salonowość) i coś z Hłaski (minus knajacki romantyzm); opowiadanie Orłosa „Drzewo Pana Jezusa” o bandzie opryszków, bezkarnie gwałcących dziewczynę, której nikt nie ośmiela się pomóc, może się przyśnić.

Poezję reprezentują wiersze Ryszarda Krynickiego, Jerzego Ficowskiego Barbary Sadowskiej, Stanisława Barańczaka i Jerzego Narbutta (tego ostatniego fragment prozy poetyckiej „Czekać w tym mieście” chyba również należy do działu poezji); wstęp do wiersza Ficowskiego pt. „Cogito ergo” — „Myślę, więc nie ma mnie na forum...” mógłby służyć jako motto większości zamieszczonych wierszy (tonacja: gorycz, zawód, oburzenie, brak nadziei).

*Zapis I* udostępnia czytelnikom esej socjologiczny całkowicie proskrybowanego (4 publikacje wycofane z druku) Jakuba Kar-

pińskiego „Ossowski i Tocqueville” — tematem jest typ układu społecznego, nazwanego w klasyfikacji Ossowskiego „systemem porozumień”; jest to w istocie system demokratyczny, policen-tryczny — autor ukazuje go na szerszym tle możliwych typów organizacji społeczeństwa i przeciwstawia go typowi scentrali-zowanemu, totalitarnemu; na świadka ujemnych skutków dłu-giego trwania ustroju monocentrycznego powołany zostaje de Tocqueville, który w swych porewolucyjnych refleksjach odno-tował „...lud ... choć rzeczywiście wyzwolił się spod panowania (tyranii) ... zachowywał dawne zamiłowania niewolnika, równie niezdolny, by zrzucić się samemu, jak bezwzględny okazał się dla swych nauczycieli”.

Barbara Toruńczyk w eseju „Poezja i wojna” zajmuje się stosunkiem podziemnej prasy polskiej do spraw kultury i stwierdza rozpowszechnioną w nich tendencję do utylitaryzmu i ideo-logii — jakby przedsmak powojennego podporządkowania sztuki propagandzie („...od sztuki przestano oczekiwać nieoczeki-wanego. Od sztuki spodziewano się przejrzystych znaczeń... formuły ideologicznej...”). Nie wiem, czy można wykreślać prostą linię pomiędzy refleksjami nad sztuką w warunkach wojny i oku-pacji (gdzie sprawa ta była bądź co bądź luksusowym margi-nesem), a socrealizmem, który był konsekwencją narzuconego ustroju, jednak sam fakt zajęcia się mało zbadaną dziedziną historii polskiej kultury jest bardzo cenny. Do esejów literatu-roznawczych należy też zaliczyć refleksje Tomasza Burka na temat „Alfabetu wspomnień” Słonimskiego (jakby wstęp do pu-blikowanych w *Zapisie I* skonfiskowanych jego felietonów z *Ty-godnika Powszechnego*); Burek zastanawia się nad rozwojem autobiografizmu w polskiej prozie lat ostatnich i dopatruje się jego źródła w głodzie prawdy i autentyzmu, wywołanym przez wypadki polityczne — bezpośrednim bodźcem zdaje się być przy-kład Gombrowicza, który swym „Dziennikiem” wyznaczył nowy zakres możliwości artystycznych tej formy. *Nota-bene* materiał publikowany w tym i następnych tomach *Zapisu* pokazuje, jak bardzo forma ta rozpowszechniła się wśród pisarzy krajowych (Andrzejewski, Brandys, Woroszyński, częściowo powieść Kon-wickiego).

„List otwarty do Włodzimierza Bogomołowa” Andrzeja Dra-wicza reprezentuje dział publicystyczny *Zapisu I*; chodzi tu o rosyjską powieść Bogomołowa „W sierpniu czterdziestego czwartego...”, w której akcja toczy się m.in. na wileńszczyźnie — Bogomołow przedstawił oczywiście tamtejsze AK jako bandy-tów i niemieckich kolaborantów. Drawicz wypunktowuje te fał-sze historyczne i łagodnie perswaduje autorowi, że nie powi-nien — dla dobra strony polskiej i rosyjskiej — zgodzić się na polskie tłumaczenie. Wobec wyraźnej „instrukcyjności” nastawienia Bogomołowa łagodność tonu Drawicza, jego ciągłe zapew-nienia o szacunku dla autora i wierze w dobrą wolę wydają się trochę sztuczne, a zatem zbędne.

Nawiązując do wystąpienia Drawicza zaczęły przeglądać *Zapisu II* od materiałów, które również można zaliczyć do publicystyki. Na pierwszym miejscu — dosłownie i jako *façon de parler* — znajduje się tu esej Jacka Bocheńskiego „Wiara i kalkulacja”, poświęcony polemice z artykułem Jana Szczepańskiego „Wiara intelektualistów” (w warszawskiej *Kulturze* z dn. 20. II. 77). Artykuł Szczepańskiego zawierał owinięty w profesorską watę tezę, jakoby wystąpienia intelektualistów w sprawach publicznych wynikały z różnorodnych kompleksów prywatnych, głównie rozczarowań ideologicznych. Czas i miejsce ukazania się artykułu wykazywały niedwuznacznie, że chodzi o protesty w sprawie konstytucji i bicia robotników (Bocheński przypomina zresztą, że prof. Szczepański — poseł, a jakże — zainterpelowany w sprawie interpelacji w tej sprawie w sejmie, odmówił zawile a kategorycznie); te mgliste rozważania socjologiczne miały za cel zdeprecjonowanie wszelkich akcji niemile zakłócających poczynania partii i bezpieczeństwa. Bocheński ujawnia te kulisy uczonego artykułu uczonego, po czym formułuje własne stanowisko: *primo* — jako były „wierzący” (w komunizm) stwierdza, że odejście od wiary nie tyle napełniło go goryczą, co zaszczerpiło dożywotnio przeciw totalitarnym gorączkom; *secundo* — reprezentowany przez Szczepańskiego „realizm” ma krótkie nogi i rozsądniejsza (pomijając aspekt moralny) jest kalkulacja na zlikwidowanie stosunków, a nie zamrożenie *status quo*.

Podobny temat ma „niewysłany list” do Osmańczyka, pióra Haliny Mikołajskiej (bardzo aktywnej działaczki KOR-u; jej tekst pt. „Dziennik, listy” zawiera wiele faktów na temat brutalnej kampanii zastraszenia, jakiej była i jest przedmiotem); podobnie też jak w wypadku Bogomołowa wydaje się, że jej łagodna, acz jednoznaczna wypowiedź na temat gadzinowego artykułu Osmańczyka „Rzeczpospolita Polaków” stanowi *slizskom mnogo czesti...* Najostrzejszą wypowiedzią z tej serii jest Barańczaka „List otwarty do pisarza Romana Bratnego” w związku z artykułem tegoż pt. „My, teraz” (sic! — dęty patos i dęta krzepa tych wszystkich elukubracji proszą się o specjalne studium semantyczne Jana Nowickiego); Barańczak uważa wspomniany artykuł za kwintesencję kolaboranckiego „realizmu” (straszenie Rosją, „pisarze do pióra”, „gospodarska troska o kulturę”, uszy po sobie) i stwierdza, iż dobrze się nawet stało, że elaborat ten się ukazał, bo *scripta manent*.

Odmiennego rodzaju *scriptum mansum* przypomina Andrzejewski we fragmencie swej legendarnej „Miazgi”, zatytułowanym „Pamięci Pawła Jasienicy”; jest to fragment zgoła niepowieściowego dziennika, omawiający dokładnie sprawę Jasienicy z okazji śmierci autora „Rzeczpospolitej Obojga Narodów”. „Sprawa” ta — dla przypomnienia — polegała na tym, że Gomułka w marcu 1968 rzucił na Jasienicę oszczerstwo współpracy z UB (ten „skromny, ascetyczny działacz” łągał w specjalnym stylu — nudno, rozwlekle, jakby mimochodem i jak pies; przypomnijmy „goebbel-

sowską prowokację katyńską”), odbierając mu naturalnie wszelką możliwość sprostowania; Jasienica nie mógł zrobić nic innego, jak tylko rozestać prawdziwą wersję wśród przyjaciół. Dzięki Andrzejewskiemu i *Zapisowi* będzie się z nią mogło zapoznać znacznie więcej osób. Drugim tekstem Andrzejewskiego jest „Msza za Poetę” (Wierzyńskiego) — również rodzaj dziennika czy notatek, pisanych częściowo metodą swobodnego strumienia skojarzeń, bez przejść i kropek.

Podobnie jak w pierwszym tomie, „czarną prozę” reprezentują nowele Orłosia i Nowakowskiego. Znajdujemy tu też porcję wierszy (Zagajewskiego, Krynickiego, Narbutta, Dymarskiego, długi poemat Woroszyłskiego „Jesteś”); za *pars pro toto* dominującej tonacji można uznać fragment wiersza Zagajewskiego: „...w państwie deficytowym / w którym wielka ilość przemówień / równoważy wszystkie niedomówienia...”. Na pół drogi pomiędzy esejem a publicystyką znajduje się recenzja-refleksja na temat filmu Wajdy „Człowiek z marmuru”, pióra Drawicza. Esaj Jakuba Karpińskiego „Obecność wartości w nauce” poświęcony jest tezie, że każdy element badania naukowego (wybór tematu, wyodrębnienie przedmiotów, aż po decyzję publikowania wyników) związany jest z wyborem, a zatem jakąś skalą wartości; nie trudno dopatrzeć się tu wpływu „Obecności mitu” Kołakowskiego. Osobiście z tezą Karpińskiego się nie zgadzam, a nawet uważam ją za niebezpieczną (co jednak już jest wartościowaniem), ale stanowisko przez niego sprecyzowane mogłoby i powinno stanowić punkt wyjścia szerszej dyskusji na temat granic nauki, ideologii i filozofii. W oficjalnych publikacjach polskich szczerza dyskusja tego rodzaju jest oczywiście niemożliwa — może dalsze tomy *Zapisu* podejmą ten temat?

Wspomniałem już że *Zapis II* posiada częściowo charakter czasopisma (kronika, głosy czytelników); elementem podobnego rodzaju jest też przedruk istniejącego już, lecz trudno dostępnego tekstu: wyjątku z książki Kucharzewskiego „Epoka mikołajowska” na temat cenzury w Rosji w I-szej połowie XIX-go wieku — pod stosownym tytułem „Nic nowego pod słońcem”.

Ostatni jak dotąd, trzeci tom *Zapisu* zawiera tylko jedną pozycję: powieść Tadeusza Konwickiego „Kompleks polski”. Określenie „powieść” należy traktować *cum grano salis*, bo jest to rzecz pół-realistyczna, pół-alegoryczna, ocierająca się i o „Kalendarz i klepsydrę” i o „Mistrza i Margaretę” Bułhakowa i o „Jezioro Bodeńskie” Dygata. Jest to groteskowa opowieść o przeżyciach autora, stojącego w mroźny dzień wigilijny w kolejce pod państwowym sklepem „Jubiler” w oczekiwaniu na dostawę sowieckich obrączek ze złota. Zakupy tego rodzaju są w PRL jedyną legalną formą lokowania oszczędności i już sama sytuacja — gromada ludzi z różnych środowisk wyczekuje godzinami na zakup niepotrzebnego przedmiotu, symbolizującego trwalszą wartość — mogłaby mieć własną wymowę. Konwicki nie zatrzymuje się jednak w tym banalnym wymiarze symboliki;

kolejka jest tu modelem układu skojarzeń, reminiscencji, pragnień i obaw, miejscem w którym ujawniają się indywidualne i zbiorowe śmieszności i tragiczności — jednym słowem jest to próba uchwylenia esencji polskości jako specyficznej jakości w stanie możliwie czystym. Złośliwie można by nazwać tę kategorię utworów (bo jest ich więcej, jak choćby wspomniane „Jeziorek Bodeński”) — *polnische Jaselki* (termin Boya ze „Słówka”); na odtrutkę zaś przypomnieć należy, że patronuje jej — kategorii — „Wesele” Wyspiańskiego. Przytyk i komplement, zawarte w tej uwadze nie wygaszają się wzajemnie, ponieważ odnoszą się do dwóch różnych warstw odbioru książki Konwickiego; czyta się ją jednym tchem, z przyjemnością i wzruszeniem, że „to Polska właśnie” — po czym przychodzą refleksje, m.in. dotyczące tej przyjemności. Czy nie jest to przyjemność spoglądania na własną twarz w lustrze (więc nieco już tej przyjemności powolną, ubraną w ten właśnie wyraz co trzeba: w miarę fajny, w miarę przegrany, w miarę chwacki, w miarę niedojdowaty, w miarę bohaterski), ogorzała w swojskości i w przeciągu historycznym, malowniczo naznaczoną zaściankiem i egzotyką zarazem? „My, Polacy — złote ptacy...”. Notuję tu własne odczucia w trakcie i po lekturze tej na swój sposób świetnej książki — ale czy nie nazbyt świetnej, nie nazbyt na swój sposób? — świadom łatwości, z jaką można zmieniać kryteria oceny („czy autor uchwycił specyfikę...?” — uchwycił; „czy rzecz ta na szerszym, pozapolskim terenie nie odkrywa...?” — nie, nie odkrywa; „ale czy i 'Wesele' nie jest z tego samego punktu widzenia niezrozumiałym bełkotem...?” — niewątpliwie jest; „ale czy nie chwyta za serce...?” — chwyta; „a czy sztuka nie powinna chwytać...?” — hm...). Cokolwiek by się rzekło o tej powieści, ubolewać należy, że nie może się ona ukazać w formie zwykłej książki w księgarni i że nie będzie dyskutowana w krajowej prasie literackiej w innych kategoriach, jak tylko — ewentualnie — nagonki.

Dozgonną wdzięczność Konwickiemu zachowam za utrwalenie dwóch wyrażań z warszawskiego slangu: *lorneta z meduzą* (dwie setki czystej pod galaretkę z nówek) i *pederastka* (męska torebka na podręczne drobiazgi).

Jest chyba zbędne podkreślać, jak ważnym zjawiskiem jest inicjatywa *Zapisu*. Stworzenie drugiego obiegu informacji niezależnego od partyjnej cenzury stanowi złamanie monopolu, umożliwia wypowiedzenie się ludziom mającym naprawdę coś do powiedzenia, a nie tylko produkującym „arkusze wydawnicze”, daje szansę wartościom autentycznym, a nie licencjonowanym, ziarnu, a nie plewom. *Crescat et floreat*.

M. BRONSKI

## Lekkostrawny naród

Trzy opowiadania z sześciu pomieszczonych w tym zbiorze<sup>1</sup> napisane są chłopską gwarą; od „Konopielki” Edwarda Redlińskiego nie czytałem niczego, co brzmiałoby tak autentycznie. Nie mam na myśli określonego dialektu, choć Madejowy Krzemień zapewne do któregoś należy. I chyba nie jest to czysty dialekt — jakże może nim być — raczej ów wspólny język pogranicza; miasta podchodzącego pod wieś, wsi wyciekającej w przedmieścia i fabryczne osiedla. Cała książka Madeja jest z tego pogranicza, nawet opowiadania, których akcja toczy się w mieście.

Krzemień nie leży zupełnie na uboczu, nie jest — jak Taplary Redlińskiego — zabity deskami do świata. Nowe wdarło się tu z żarówką elektryczną, szkołą i fabryką w pobliżu, stare odchodzi powoli, zabierając to, co stanowiło o samowystarczalności wsi, jaka by ta samowystarczalność nie była ograniczona i nędzna. Z opowiadania *Podkowy*:

„A stał przy płocie dwa metry od kuźni. Na kominie wróble się gziły, podskakując, i dym nie szedł z komina przez trzy miesiące. Jak tu bez podków, myślę, kowale ostatnio wymarnieli po wsiach, mówi tata, do Jaska nie pójdzie, bo robi z kradzionego, a do najbliższego kowala dalej jak do fabryki. Maciek stał jeszcze przy płocie, nawet na ciele spadł, odkąd go ziemia przywaliła. Dawniej kowalów było tu trzech, w giesie podków nie ma, a Maciek słaby, nie poradzi robocie.

Pogonił tata konia, brzegiem szosy kieruje, żeby choć do fabryki na ostatnich blachach dojść doszedł”.

Madej posługuje się gwarą i żargonem w ich autentycznym brzmieniu i składniowym szyku, ale przecież je alchemizuje: warzy, odcedza, miesza. Ze zderzenia mowy autentycznej z zabiegami przysługującymi poezji rodzi się proza zaskakująca urodą, dobitnością, trafnością sformułowań. Jak to: „Jadą szybko, to się nie spieszą” — myśli chłopiec, obserwując z furmanki ludzi w samochodach.

Na tej wsi, pod boki wielkiej fabryki, która „eksportuje eksport” orze się pługiem i w sklepie spółdzielni gminnej można kupić podków, bo właśnie zrobiono manko: „[...] pokradli raz za razem, liczo teraz i się zmieniają, nie ma komu myśleć [...]”. Jest to wieś biedna; kobieta szykuje mężowi i synowi na drogę po dwie kromki chleba, „obydwie z cukrem pomoczoną wodą”. Ale do fabryki chłop wyrusza z kwitem podatkowym, jajkami, kogutem, masłem i uciętym groszem, którego i tak nie starczy na zapłacenie podków. Powrót do domu

1. W serii „Bez cenzury”: Bogdan Madej, *Maść na szczyry*, Instytut Literacki. Paryż, 1977, str. 200.

odbywa się wolno, z postojami: „Jak my już z Kasztanem podjechali pod dom, tata był dobrze napity, na drodze nie jedną gospodę pobudowali zawczasu”.

Opowiadania Madeja zbudowane są jak wielkie anegdoty, dobitnie i czysto spointowane. Świat oglądamy oczami opowiadających i zawsze w pierwszej gramatycznej osobie. Ale panuje tu równość: świadomość narratora nie wydaje się wyższa od świadomości innych. Jakkolwiek by nie było, jakiegokolwiek pozory obiektywności, typowości chciałyby zachować pisarz — do niego, narratora, należy prezentacja świata: on dokonuje wyboru, on patrzy i ocenia. W trzech opowiadaniach jest to wiejski wyrostek, w jednym — robotnik nieokreślonego zakładu, w jednym — młodociany chuligan, członek bliżej nie określonej bandy i wreszcie młoda dziewczyna, stażystka w nieokreślonym urzędzie. Statystycznie reprezentacja szeroka, choć niewyczerpująca.

W opowiadaniu *Kurs na lewo* czterej mężczyźni wybierają się do stolicy ciężarówką wypchaną indykami i skrzyniami jabłek. Adresy odbiorców czekają w jednym z warszawskich urzędów. Tych czterech, to zaledwie pionki w ogromnym systemie wzajemnych i podpadających pod kodeks karny usług. W *Maści na szczyry* opowiada się o konfliktach bardziej zapiekłych i tradycyjnych, niż konflikt między miastem a wsią, rządzącymi a poddanymi. Tu nikt nie rządzi, większość kombinuje i wszyscy się poddali:

„Ja patrzę na Antka, na Marszałka, przemokniętymi butami tańczą przy wartburgu, myślę sobie spokojnie, bo złość się we mnie dawno zapaliła i wypalić zdążyła: żeby nie my, ty byś dyrektorskiego stołka w życiu nie oglądał, a byś za parobka u bauera jakiego był. On sobie na miękkim za kierownicą siedzi, ciepło mu, sucho, muzyki posłucha, jak zechce, ręce założone na kierownicy, miękkie, tłuste, do papierów od młodu nawykłe, a mnie się przypomina to i owo dawniejsze”.

Madej opowiada o życiu ni to robotników ni lumpów, wywozujących się z chłopstwa, zarabiających nędznie, obarczonych rodzinami i dorabiających na granicy przestępstwa. Biografie dalekie od malowniczości i pozbawione perspektyw:

„Łebków patrzem po drodze, nie za bardzo się trafia, za parę złotych autobusami jeżdżą. Chyba jakiś kurs z ładunkiem się trafia, dyrektor kilometrów nie kontroluje, musim jakiego grosz i dla siebie zarobić. Znow o tym myśląc, myślę sobie, czy tak my kiedyś celowali”.

I dalej:

„Nie dziwota, że Kazik na takse ma ochotę, bo mu się uprzykrzyło jeździć za cudzymi grzechami, dojadło mu cudze, lisie i szczerze szczęście”.

Osiągnął Madej w swej książce równowagę niemal idealną. Jej uroda i wartość poznawcza mieści się tyleż w detalach, co w szerokich socjologicznych pejzażach i przenikliwych, bezlitosnych charakterystykach ludzkich. Oto prowincja wjeżdża z towarem do stolicy: „Jedziem zaraz przez most, ostrożnie, żeby na ludzi nie najechać, tramwaj jak raz nas wymija, jadą tam

oni jak w klatce, smutne, poprzyklepane do okna, jak w jakim kiciu, nie bardzo Bożym Narodzeniem czuć, choć ruch tu większy, każde święto, myślę, rozłazi się w gonitwie, w sprawach, tramwajach, sklepach, i nie za bardzo jest co na rozweselenie tramwajowego życia. Trochę mi się robi nijako, kiedy tak sobie jedziem w tych światłach, co nas prowadzą jak ślepych w biały dzień, że niby nasz żywot kolorowy na tych długich ładnych ulicach i szosach, z pieniędzmi niby w kieszeni, bo każdy sprzedał nieswojego indyka, w tych sklepach dużych i jasnych, założonych różnymi rzeczami [...]. I widzę te wszystkie dziewczyny tutejsze, wystrojone, w ciełych, króliczych futerkach, [...] te ich wargi kolorowe i zaklapnięte jedna na drugą, żeby się dobre słowo nie przemyknęło do obcego, i te ich oczy polepione czarnym, niebieskim, zielonym, patrzące na człowieka ostro jak pod światło, że zobaczą ciebie przez portfel twój, gdzieś się narodził, tak samo te ich ojcie i męża, te ich domy ugrzęźnięte w zimnym brudnym śniegu ich indyczego, cichego handlu bez płacenia ceny, w chytrności ich, w serwitucie i w szarwarku”. Aż skóra cierpnie...

Bohaterzy Madeja, jak wyrobownicy z końca XIX-go wieku cierpią na kompleks „białych, czystych paluszków”. Satysfakcja jaką czerpią z wiedzy, że trzeba być superłajdakiem, aby ich nie zabrudzić, jest nikła. Choć i tu są oczywiście wyjątki. Jest to książka gorzka jak piołun i nie da się jej zakwalifikować do literatury środowiskowej. Ociera się może o nią jedno opowiadanie, *Pan Wacław*. Ale i tu zakłete rewiry objęły większy obszar; inteligencja, środowisko akademickie zrównane zostało ze środowiskiem przestępczym. Ze straszliwą prostotą ujmuje to tytułowy bohater: „Kaźda taktyka jest dobra na start i kiedy materia ludzka jest jednolita”.

Bohaterzy Madeja są rozkochani w języku, którym się posługują; barokowym, perfidnym, zastępującym im literaturę, filozofię i psychologię społeczną. Ten język to także ich jedyna siła i obrona. Stąd tyle w nim szyfrów i skrótów. Madej tworzy mitologię języka — bo jest to mitologia — czerpiąc u samego jej źródła, tam gdzie ów język się rodzi. I to pomimo podobieństw, pomimo długów zaciągniętych u Nowakowskiego. Pomimo Babla, którego tak wyraźnie w niektórych opowiadaniach słyszać. Jego ludzie — podobnie jak ludzie Orłosa, Nowakowskiego i bohater liryki Brylla tkwią w „samym sercu gówna”. Ale inaczej niż u Brylla — tkwią w nim bez przyjemności.

Największą niespodziankę przynosi *Głęboką nocą. Walc*: Wiejskie podrostki, kaleki i przygłupki, podpatrują zabawę w gospodzie.

„Wrzodziaty”, narrator opowiadania, obserwuje tańce, narastające odurzenie wódką, spory, na razie niedość zawzięte. Podśluhuje rozmowy: jest to straszny, pół artykułowany bełkot, rytmizowany tępymi przekleństwami: „Tak myśląc widzę jaśniej, wyraźniej mnie się przedstawia, nie, tylko swojego czekać, w cieniu chodzić, w ciemnościach przestłuchiwać, co komu kto opowiada, a one niech się biją, niech się za oszywki wodzą, przy jednym bufecie piją, przy stole swarzą, [...]. Żeby ja posłuch miał

u nich jaki, ja bym ich jeszcze do siebie przeciwstawił, niech by się prędzej spełniło, bo one się przez wódkę zniemrawiają, do siebie przepijają, łyż serdeczne braterskie po gębach rozmazują, pieniądze nie żałują, żeby jeden drugiego w poczęstunku nie pobił [...]. Lekkostrawny naród”.

A jednak ten owrzodziaty mściciel zna swoich i wierzy w „schowany w nich ogień”. Chciałby naród chłopski zapalić, ale odwrotnie niż Gospodarz w „Weselu” chciałby go zapalić do złego. *Głęboką nocą. Walc* jest po trosze repliką Wyspiańskiego, nie tak oczywistą jak Nowakowskiego „Wesele raz jeszcze”, ale niemniej kąśliwą: „Jak ja im w czas zawołanie rzucę, one się za łby wezną i już się nie pogodzą, jak po wyjściu ze szpitalów i ciurmów”.

„Wrzodziaty” rzuca zawołanie. Ukryty za plecami innych zmienia głos i podjudza do bitki. Zabawa przemienia się w jatkę. Potem gwałci w rowie uciekającą kobietę, i — tak jak zaplanował — używa jej szczerze innemu wyrzutowi. Skowycze, trudno inaczej nazwać jego monolog wewnętrzny. Można tego stylu nie lubić, ale nie można mu odmówić siły i pięknosci:

„Świat się we mnie teraz chybie, ślania w przód, w tył, na boki kolebie, ja ciebie tu może nie ukrzywdzę bardzo, nie tak bym ja ciebie w lepszym świecie ugościł, nie na tej rosie mokrej, nie na trawie w krzakach przy szlachtuzie, na prześcieradłach, obrusach, w izbie zmiecionej czysto, w jedwabistych materiałach łykających, złocistych jak ornaty, pod baldachimy bym wiodł, pod chorągwie srebrne, ja bym ciebie przy graniu organów miał, w chórach; to nierówność świata w podle rzeźni dozwala mi ciebie szanować, nie sam, a we dwóch sprawiedliwość na świecie przez twoje ciało robić, myślę, a myśleć się boję, żebym jej w uszy czegoś nie powiedział, a myśleć już nie mogę”.

W tytułowym, zamykającym zbiór opowiadaniu stary chłop przyjeżdża do urzędu w mieście. Wrócił z Ameryki, zaoszczędził niecały milion, teraz pragnie zafundować swojej wsi instytucję użytku publicznego. To anegdota — pretekst, bo nie o chłopca tu chodzi. Szef urzędu nie wie jak załatwić niecodziennego petenta, ale korci go, żeby starego — z jego milionem i zawziętym altruizmem — zgnoić. Poza tym, jak wszystkich w tej książce, pożera go tęsknota za lepszym życiem i za lepszym sobą. Na użytek chłopca i młodej stażystki, która mu się podoba, dorabia sobie pradziadka — powstańca i dziadka idealistę. Pradziadek — powstaniec okazuje się fikcją, ale też potrzeba tej fikcji wydaje się najbardziej idealistyczna i ludzka z wszystkich jego potrzeb:

„[...] Tak sobie kiedyś pomyślałem, żeby było dobrze, jakby mnie co do przodu popychało. To sobie wymyśliłem. Ale mnie nie pomaga ta moja fantazja. Rzeczywistość nie pozwala i charakteru nie mam. W środku niczego nie mam i nie mam skąd wziąć”.

Jest to formuła bezwzględna, bo zastosować ją można prawie do wszystkich w tej książce. I Madej jest bezwzględny w stosunku do Polaków. Ale jego opowiadania, podobnie jak wcześniej przez *Kulturę* wydane *Piękne kalalie albo dojrzewanie mi-*

łości są także wołaniem o danie ludziom szansy. Madej wie, że jego „lekkostrawny naród” zbyt głęboko został przeorany wojną i czasem który spadł nań po wojnie. Jak to formuluje świniołaty urzędnik, mówiąc o swoim ojcu:

„Ofiara przełamania systemów. Zmiana perspektywy politycznej tak go przeorała. Tam, gdzie u niego była bruzda, chcieli wyorać skibę i się wszystko w nim poprzewracało”.

Ale wbrew wojnie, wbrew systemowi politycznemu, który sprzyja „pleśnieniu” — słowo częste w tej książce — istnieją wartości, które mogłyby się ostać, jak odwaga na przykład, byle by zbyt gorliwie nie pochylać karku i nie stawiać nogi na plecach stojącego poniżej. Tak przynajmniej myśli dziewczyna, narratorka opowiadania:

— Wiesz? — mówię po chwili. — Ty jesteś zwykły lokaj.  
— Nie żartuj. Lokaj to ten, co miał pana, a pana dzisiaj ma każdy.  
— Tylko że ten twój pan, to strach o karierę.  
— Niech ci będzie. Taki sam dobry, jak każdy inny, a pana powiadam ci, każdy ma. Ty też go będziesz miała. Albo go masz, tylko go nie znasz jeszcze.  
— Możliwe — powiadam. — Ale ja się nie boję, a ty się boisz.  
— Ty się lepiej zamknij — mówi — bo się na niczym nie znasz. Wszystko jest kwestią perspektywy. Moja jest dobra, bo jest jedyna”.

I tu wypada skończyć, smucąc się perspektywą, gratulując ojczyźnie utalentowanego pisarza z obywatelskim sumieniem. Czy nie o to zawsze nam chodziło?

Janina KATZ HEWETSON

## Widziane z ławy obrończej<sup>1</sup>

Lecz nade wszystko słowom naszym,  
Zmienionym chytrze przez krętaczy,  
Jedyną przywróć i prawdziwość:  
Niech prawo zawsze prawo znaczy,  
A sprawiedliwość — sprawiedliwość.

Julian Tuwim, *Kwiaty polskie*,  
z pieśni piątej.

1. W serii „Bez cenzury”: Aniela Steinsbergowa, *Widziane z ławy obrończej*, Instytut Literacki, Paryż, 1977, str. 89.



Pod datą 14 lutego 1909 zapisuje Nałkowska refleksje z sądu partyjnego (P.P.S.D.) nad Stanisławem Brzozowskim: „...elita walcząca o przyszłość, kwiat socjalistycznego świata. I wszystko w nich, co jest w świecie zwalczanym: zacieklność, korzystanie z atrybutów i prerogatyw opinii, despotyzm i bezwzględność, faworyzowanie zeznań żądanych, przeszkadzanie niepożądanym, oczywista chęć wierzenia w winę wbrew dowodom, chęć, zawistna zgruchotania tego, który im się przeciwstawił... — Jeżeli oni są tacy, jakich będzie świat przez nich wytworzony?”<sup>2</sup>.

Moją nauczycielką w gimnazjum była Anna Brzozowska, córka Stanisława. Pani Anna walczyła w Powstaniu Warszawskim. Krótco po wojnie musiała podpisać oświadczenie, że wyrzeka się swojej zbrodniczej działalności w AK.

Nieraz zastanawiałam się dlaczego nie powiedziano nam, dorastającym w socjalizmie, więcej o tej sprawie. AK było tematem tabu, choć nawet w najgorszych stalinowskich latach głośne utyskiwanie na władzę należało do codziennego obrządku. Dopiero po przeczytaniu książki Steinsbergowej stało się dla mnie jasne, że nie było to kwestią strachu, lecz kwestią niewiedzy. Czy najbliżsi nie przeszli przez ręce UB — ten nie wiedział. Procesy Akowców odbywały się tajnie, oskarżeni ginęli bez śladu nawet dla najbliższej rodziny. Reszty dokonał plaster „Popiołu i diamentu”, wpięty jako lektura szkolna, potem w wersji filmowej. Dopiero na tle książki Steinsbergowej naiwno-patetyczne pytanie, skierowane do konającego Maćka: „Człowieku, [...] po coś uciekał?” zaczyna zalaatywać cynizmem.

Mój osobisty kontakt z Akowcami sięga ciemności dzieciństwa. Mojego „ojca wojennego” zlikwidowało podziemie, bo wprawdzie mnie ukrywał, ale innych sypał. Kochałam go, i jako dziecko nienawidziłam tych dziwnie gestykujących mężczyzn, którzy nocą wpadali do domu, szukając jedzenia i zdrajcy. Dopiero po latach dowiedziałam się — chociaż nie uwierzyłam — że byłam dzieckiem-alibi.

*Widziane z ławy obrończej* — tytuł paralelny do „Widziane z góry” Stalińskiego — jest dokumentem historyczno-źródłowym. Źródła to tym cenniejsze, że zebrane przez świadka i czynnego uczestnika wydarzeń. Aniela Steinsbergowa — adwokat, członek założyciel KOR'u — zapisuje we wstępie swojej pracy:

„Nie zamierzam ograniczyć się do wspomnień osobistych, lecz chciałabym przedstawić przebieg i mechanizm procesów”. *I dalej*: „W powojennych procesach politycznych zaczęłam brać udział jako obrońca w początkach 1954 roku.

Stalin już nie żył, daleko było jednak jeszcze do uznania okresu jego rządów za czasy 'błędów i wypaczeń'. Światło nie rozpoczął jeszcze ogłaszanie swoich rewelacji, nie mówiło się głośno o metodach śledztwa, fingowanych zarzutach i fabrykowanych procesach. Rozpoczęła się już jednak akcja o obaleniu zapadłych wyroków.

Uczestniczyłam w tej akcji w kilkunastu procesach. Wydaje mi się, że ważne jest utrwalenie ich kroniki spisanej z punktu widzenia obrońcy.

2. Zofia Nałkowska, *Dzienniki*, t. 2, 1909-1917, Czytelnik, 1976, str. 36.

Istnieją wprawdzie akta sądowe, lecz dla zwykłego śmiertelnika są niedostępne”.

Książka Steinsbergowej, pomimo że dotyczy niemal wyłącznie okresu „błędów i wypaczeń” nie może ukazać się w Polsce.

Według historii spiswanej od zakończenia wojny przez nowych zarządców kraju — w większości zresztą nieobecnych w nim podczas okupacji — podziemie Akowskie było spiskiem kierowanym przez imperialistów z Londynu i Waszyngtonu. Celem spisku było paraliżowanie walki wyzwoleńczej prowadzonej przez komunistów: „Chodziło o stwierdzenie, że ruch komunistyczny był jedynym prawdziwym ruchem oporu, natomiast kierownictwo Armii Krajowej i Delegatura walcząca z nim i niszcząca jego bojowników działały w interesie okupanta i szły mu na rękę”.

Jako podstawę oskarżenia przyjęto dekret z sierpnia 1944 roku (z którego skazany został między innymi Hoess, komendant Oświęcimia), a który mówił o wymiarze kary dla „faszystowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną”. Jak we wszystkich fingowanych procesach politycznych główny nacisk położono na propagandę: „przestępcy mieli przyznać się do winy, dokonać aktu skruchy i przez to samo umocnić prestiż swoich oskarżycieli”. Działy także uboczne, bardziej praktyczne względy: likwidacja potencjalnej opozycji, powiększenie ubowskich kadr. Oskarżeni mieli „... wskazać współsprawców rzekomych zbrodni i ich rzekome ofiary. Dopiero po uzupełnieniu tego obowiązku można było liczyć na ulgowy reżym w więzieniu”.

Scenariusz — zważywszy z jakimi trudnościami borykał się zniszczony i wykrwawiony kraj — przygotowano szybko i starannie. Ale były w nim także luki, niezależne od dobrej woli autorów: prestiż i masowość AK: „Zwraca uwagę fakt, że chociaż szło w tych procesach o napiętnowanie akowskiego podziemia i przekonanie opinii publicznej o jego niecznej roli, tylko bardzo nieliczne procesy odbywały się jawnie. Musiał panować w władzach bezpieczeństwa lęk, że reżyseria może zawieść”.

Dokumentacja Steinsbergowej, daleka od sztucznie suchej relacji, obfituje w szczegóły z życia oskarżonych, w okoliczności polityczne i praktyczno-życiowe, towarzyszące ich działalności wojennej, skazaniu i procesom. Tytułem wprowadzenia do rozdziału głównego — sprawy Moczarskiego — relacjonuje autorka sprawę Stanisława Cybulskiego, jednego ze skazanych na mocy sierpniowego dekretu.

Cybulski był przed wojną sędzią śledczym w Warszawie. Podczas wojny pracował w komórce bezpieczeństwa Delegatury Rządu Polskiego na kraj. Został uwięziony w roku 1950 wraz ze swoim przełożonym z okresu walki podziemnej, Myślińskim. Sprawy ich zostały celowo rozdzielone, Myśliwski załamał się podczas śledztwa i potwierdził akt oskarżenia; wydawanie peeprowców i członków Gwardii Ludowej w ręce gestapo.

Dwa lata po aresztowaniu, Cybulski został skazany na karę

śmierci, Sąd Wojewódzki stwierdził w konkluzji wyroku, że zarzuty — teoria predestynacji klasowo-zawodowej — znajdują potwierdzenie „w życiorysie oskarżonego”. Steinsbergowa wniosła o rewizję oskarżenia w roku 1954; Sąd Najwyższy uchylił wyrok Sądu Wojewódzkiego i Cybulski otrzymał piętnaście lat więzienia: „Był to pierwszy w Polsce Ludowej wniosek o wznowienie postępowania w sprawie politycznej, toteż wywołał zdziwienie wśród sędziów Sądu Najwyższego. Przewodniczący sekcji sędzia Emil Merz zapytał mnie: „Wnosi pani o wznowienie, czy chce pani wszcząć proces Dreyfusa?”

Latem 1957 doszło do postępowania wyjaśniającego i ponownego przesłuchania świadków. Myśliński odwołał swoje poprzednie zeznania. W roku 1957 Cybulski uzyskał pełną rehabilitację.

Moczarski, główny bohater książki, należał do tej grupy AK, która uznała, że należy i że będzie można rozwiązać organizację w sposób bezkonfliktowy. Po amnestii, pod warunkiem ujawnienia się, zapowiedzianej przez Gomułkę, Rzepecki wraz z Moczarskim wydali odezwę do żołnierzy, by zaprzestali akcji. W tym momencie — był to sierpień 1945 — Moczarskiego aresztowano. Pod koniec roku 1948 — Moczarski był nieświadomy zmian, które w tym czasie zaszły poza murami więzienia — kazano mu przyznać się do zamordowania 16 osób z lewicowego ruchu oporu:

„Moczarski w pierwszej chwili myślał, że to makabryczny żart, potem miał wrażenie, że zwariowali. Nazwisk osób wymienionych jako ofiary nie znał, posądzenie go o działalność w interesie okupanta, jego, żołnierza AK i uczestnika konspiracji uważał za szczyt absurdu”.

Zagrożono mu „piekielnym śledztwem” i dotrzymano obietnicy. Moczarski — który dzielił także celę z katem warszawskiego getta, Stroopem — wylicza 49 rodzajów tortur, wyłącznie fizycznych. Ostrze wyroku zwróciło się przeciwko niemu, ponieważ był jedyny z grupy oskarżonych, który wyparł się „współdziałania w walce z lewicą”. Skazany na karę śmierci czekał dwa i pół roku na wyrok, po czym doniesiono mu, że dostał dożywocie.

Steinsbergowa pisze:

„Nieraz zastanawialiśmy się, jak można było tak sądzić. Przecież Sąd niczego w tej sprawie nie badał — przyjął za pewnik ów monopol komunistów w walce z okupantem, ów spisek londyński, który przecież objął najważniejszą część narodu, [...] nie zastanawiał się, dlaczego sztab P.P.R. i A.L. mimo tych rzekomych zabiegów pozostał nietknięty, chociaż nazwiska przywódców były znane, mordowano natomiast jakichś szaraczków”.

Postawa sędziów, bardziej niż postawa ubowców, wydaje się jej niezrozumiała: „...przecież nie byli ludźmi obcymi, nie byli wyizolowani ze społeczeństwa, słyszeli o ruchu oporu, znali ludzi, którzy brali w nim udział, wiedzieli o poniesionych ofiarach”.

Steinsbergowa cytuje tu uwagi Stanisława Ossowskiego — o polimorfizmie natury ludzkiej, poddającej się naciskowi sytuacji i otoczenia i Bertranda Russella — o zakorzenionym w niej impulsie do zadawania tortur<sup>3</sup>. Ale od siebie dodaje:

„...przecież byli więźniowie, którzy się nie ugięli, sędziowie, którzy woleli rzec się stanowiska i adwokaci, którzy angażowali się w niepopularną obronę 'wrogów ludu'”.

Wznowienie postępowania w sprawie Moczarskiego umożliwiła nie tylko śmierć Stalina i zmiany zachodzące w Związku Sowieckim, ale i sprawy lokalne: obawa przed kompromitacją po ucieczce i rewelacjach radiowych Świątły, konieczność zajęcia stanowiska przez partię, chęć — nawet za cenę autokompromitacji — utrzymania władzy. Steinsbergowa po przeczytaniu artykułu w *Nowych Drogach* z końca 1954 roku, który zapowiadał rehabilitację pokrzywdzonych i czystkę w aparacie bezpieczeństwa wniosła wraz z Władysławem Winawerem o rewizję nadzwyczajną procesu.

W styczniu 1956 roku odbyło się posiedzenie Sądu Najwyższego, na którym Steinsbergowa i Winawer przedstawili swoją obronę:

„Byliśmy pewni wygranej. Winawer z góry przygotował list do Moczarskiego z zawiadomieniem o wznowieniu postępowania. Ale gdy przyszłiśmy dnia 2 lutego do Sądu oznajmiono nam, że Sąd Najwyższy nie uwzględnił naszego wniosku”.

Adwokaci postanowili zwrócić się do „nietykalnych”; tych nielicznych autorytetów, które każda dyktatura pielęgnuje, obawiając się całkowitego zerwania z tradycją kulturową. Steinsbergowa i Winawer zwrócili się do Marii Dąbrowskiej i profesora Kotarbińskiego. Rezultatem był adres do rządu i Rady Państwa podpisany przez dwudziestu intelektualistów: „Mogliśmy zebrać znacznie więcej podpisów. Ludzie byli wdzięczni, że się do nich zwracamy”.

Adres trafił na odpowiedni moment — było to po przemówieniu Chruszczowa na XX-tym Zjeździe — i Rada Państwa zaprosiła paru podpisanych, pomijając jednak adwokatów. Moczarski został zwolniony. Steinsbergowa dodaje, że sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby nie jej i Winawera upór:

„[...] inne bowiem były plany rządu i partii wybrnięcia z tej sytuacji. [...] Amnestia miała być aktem łaski a nie zadośćuczynienia. Nie zamierzano niczego odwoływać, niczego demaskować, nikomu przywracać cześć. Wznowienie procesu Moczarskiego stwarzało sytuację zgoda odmienną. Wyrok uchylony został... wraz z całą jego historyczną podbudową”.

Moczarski nie przyjął amnestii i zażądał rozprawy sądowej.

3. Dodałabym tu jeszcze najprzenikliwszą ze znanych mi analizę form i ról z „berlińskiej” części „Dziennika” Gombrowicza.

Podobnie inni Akowcy, klienci Steinsbergowej. Proces wznowiony został w grudniu 1956 roku i trwał przez trzy dni. Sąd nabyty był publicznością, ludzie — nie tylko w sądzie, ale w całej Warszawie — rozentuzjasmowani i wdzięczni. Streszczenie procesu, cytaty z mowy Moczarskiego — mowy oskarżycielskiej, nie obronnej bynajmniej — robią wstrząsające wrażenie. Powiedział on między innymi:

„Kiedy badano mnie na temat antykomunistycznej czy też antyradzieckiej działalności Bieruta, Cyrankiewicza, Żymierskiego czy Barcikowskiego, kiedy powiedziano mi, że M.B.P. uderzyła już w N.S.Z., w Stronnicwo Pracy, P.P.S. — W.R.N. oraz w A.K. i Mikołajczyka, a teraz rozprawia się z własnymi towarzyszami — pomyślałem, że Państwo Polskie już nie istnieje, pozostała tylko jakaś potworna szajka złoczyńców”.

11 grudnia 1956 roku ogłoszony został wyrok u niewinniający, a zarazem oczyszczający dobre imię akowskiego podziemia. Cztery lata temu w wrocławskim miesięczniku społeczno-literackim *Odra* rozpoczęto druk *Rozmów z katem* pióra Moczarskiego. Tekst rewelacyjny w swej psychologicznej przenikliwości, lecz przedziwnie bezosobisty. Przy lekturze odnosi się często wrażenie, jakby Moczarski znalazł się w tej celi wyłącznie w tym celu, aby analizować Stroopa. Steinsbergowa wyjaśnia, że *Rozmowy* poprzedzał wstęp Andrzeja Szczypiorskiego, który rozpoczął się cytatem z wypowiedzi sądu o niewinności Moczarskiego i rehabilitacji polskiego podziemia okupacyjnego. Ów wstęp cenzura usunęła, mam nadzieję bez zgody i wiedzy autora. Ten właśnie fakt skłonił Steinsbergową do utrwalenia historii akowskich procesów.

Swojego rodzaju aneks, rodzaj epilogu stanowi tu sprawa W.R.N. Skrót oznacza Wolność, Równość, Niepodległość i był używany przez Polską Partię Socjalistyczną podczas wojny. Część członków W.R.N. zaaresztowało NKWD w roku 1945 i wywoziło do Moskwy, reszta zajęto się w kraju z końcem roku 1948. W procesie kierownictwa organizacji wszyscy otrzymali kary do dziesięciu lat więzienia, okresową utratę praw honorowych i obywatelskich i przepadek mienia. Nie zapadły wyroki śmierci, ale w pięciu wypadkach śmierć nastąpiła: bądź w gmachu UB, bądź w więzieniu, bądź też krótko po wyjściu na wolność.

W roku 1956 zebrali się prywatnie w tej sprawie adwokaci i zainteresowani, byli członkowie W.R.N., aby zastanowić się wspólnie nad celowością podjęcia akcji rehabilitacyjnej. Oto fragment motywacji Ludwika Cohna przeciw podjęciu jakichkolwiek kroków, motywacji zachwycająco logicznej i pełnej godności, ale też przeraźliwie naiwnej:

„[...] o tak zwaną rehabilitację ubiegać się nie zamierzam, dodając, że naraziłbym się na śmieszność, gdybym choćby pod słusznym pretekstem, że proces był sfinansowany, występował teraz właśnie z taką prowadzącą do wniosku, że nie byłam przeciwnikiem systemu, który dzisiaj został potępiony nawet przez partię. Jedyną konsekwencją potępienia tzw. minionego

okresu winno być bowiem pociągnięcie do odpowiedzialności wszystkich, którzy w popełnionych zbrodniach brali udział”.

Brakuje mi w tej książce — niedopatrznie wydawnictwa raczej, niż autorki — indeksu nazwisk i organizacji z krótkimi objaśnieniami. Z uwagi na czytelników młodszych. Brakuje mi także życiorysu autorki tej jedynej w swoim rodzaju pracy, napisanej żarliwie, a z naukowym obiektywizmem i zawodową skrupulatnością. Tylko to skłania do optymizmu: postawa Steinsbergowej, która w sposób najbardziej oczywisty przeciwstawia się tezie o przystosowaniu do zła, o niemożności przeciwdziałania złu. Steinsbergowa reprezentuje dla mnie najlepszą tradycję polskiej inteligencji: połączenie czystego idealizmu z praktycznym pozytywizmem.

Pozostają — nie z winy autorki — całe obszary ciemności, z konieczności zaledwie tknięte w tej książce. Niejasna, nigdzie dotąd w całości niespisana historia okupacyjnego podziemia. A także biografie tych ludzi, których nazwiska na tuziny przewijają się w *Widziane z ławy obrończej*: ludzi mordowanych stukrotnie, o których nikt nigdy nie napisze powieści.

Janina KATZ HEWETSON

## Włoska antologia Mickiewicza

Kiedy *Sonety krymskie* pojawiły się po raz pierwszy drukiem, spotkały się z mieszanym przyjęciem: sprowokowały tak „sonetomanie”, jak i ataki klasyków. A i potem mało kto zaliczał je do kanonu czołowych dzieł Mickiewicza. Borowy w swej monografii przypuszcza, iż pobieżność, z jaką piszący o poecie omawiali *Sonety*, świadczy o ich małej sympatii dla tego cyklu. Z jego świadectwa też wiemy, iż zżymał się na nie Stefan Kołaczkowski. Tu, oczywiście, nie klasyczna poetyka wchodziła w grę, ale ekspresjonistyczna koncepcja poezji krytyka, która nie dała się pogodzić z arcystarannym szlifem artystycznym tych wierszy. Bardzo powściągliwie pisał o *Sonetach krymskich* Przyboś.

Dla obcych natomiast stały się one na równi z *Panem Tadeuszem* reprezentacyjnym dziełem Mickiewicza artysty. I to od samego początku. W trop za pierwodrukiem pojawiły się w Moskwie i Petersburgu dwa ich przekłady, Wiaziemskiego i Kozłowa. Jeśli Mickiewicz uznany został przez Rosjan za wielkiego poetę,

zawdzięczał to w znacznej mierze swemu talentowi improwizatorskiemu. Ale nie małą rolę odegrały tu też i *Sonet krymskie*. Zwłaszcza zaś zaskakiwało i zmuszało Rosjan do podziwu to, iż w osobie Mickiewicza erupcje natchnienia współżyły z poświadczoną w *Sonetach* wirtuozerią. Stały się też one najpopularniejszym w Rosji dziełem poety. Wydana w Moskwie w ub. roku pod redakcją Siemiona Łandy książka poświęcona *Sonetom* przynosi przekłady piór aż czterdziestu pięciu tłumaczy. Są wśród nich poeci tej miary co Lermontow, Fet, Balmont, Bunin, Chodasewicz.

Podobną rolę odegrał też ten cykl w recepcji Mickiewicza i gdzie indziej. Kiedy na przełomie lat 1862 i 1863 Klaczko postanowił sprezentować poetę Francuzom, uczynił to w głośnym studium pod podwójnym tytułem: *Etude sur Adam Mickiewicz. La Crimée poétique*. Wojnę krymską przerzucił w nim krytyk na teren literatury i bił w Puszkina Mickiewiczem. Za karę pominięty milczeniem jego studium skrupulatnie skąd inąd bibliografie sowieckie, poświęcone recepcji Puszkina we Francji: Aleksiejewa, ogłoszona w „Puszkinskom Wriemienniku” z 1937 roku, oraz Bierkowa, wydana w dwa lata później w „Litieraturnom Nasledstwie”.

*Sonet krymskie* stara się też sprezentować włoskiemu czytelnikowi Mickiewicza świeżo wydany, zgrabny tomik antologii jego wierszy<sup>1</sup>. Został on opracowany przy pomocy Elżbiety Cywiak przez córkę wielkiego filozofa, Elenę Croce, z wykształcenia germanistkę, redaktorkę swego czasu jednego z najlepszych tygodników włoskich *Lo Spettatore Italiano*, współautorkę monografii de Sanctisa i autorkę cennych wspomnień rodzinnych.

Tomik przynosi obok *Sonetów krymskich* także i niewielki wybór innych wierszy: *Lilie*, *Ode do młodości*, wprowadzenie do *Konrada Wallenroda*, *Widzenie ks. Piotra* (które w przekonaniu autora tych słów jest jedną ze słabszych scen arcydzieła dramatycznego Mickiewicza, ale też daje dobre pojęcie o mistycznym aspiracjach poety), *Pomnik Piotra Wielkiego* oraz z późniejszej poezji *Widzenie* i cztery liryki lozańskie. Wszystkie teksty poano w oryginale i w przekładzie włoskim, który trzyma się zasady translatorskiej Nabokowa, stara się być dostownie wiernym.

Nie jest reprezentowany w tej antologii *Pan Tadeusz*. Elena Croce tłumaczy w przedmowie, iż pominięto poemat dlatego, ponieważ żaden fragment nie da o nim właściwego wyobrażenia. Zamiast niego zamieściła więc w aneksie „streszczenie” (*riassunto*) Mickiewiczowskiej epepei. Jest ono trochę nie zbalansowane, skoro pierwszym dwu księgom poświęcono połowę jego

tekstu (jako że księga pierwsza, *Gospodarstwo*, to „*un capolavoro di antropologia narrata*”), a pozostałych dziesięć traktuje się tu już dużo pobieżnie, ale świetnie wprowadza obcego czytelnika w swoistość i bogactwo ewokowanego przez Mickiewicza świata poetyckiego. Czytelnika polskiego zaskakuje w tym studium uwaga o „bliskim powinowactwie” *Pana Tadeusza* z poematem Boiarda *Orlando Inammorato*, niestety, pobieżnie tylko rzucona i bliżej nie uzasadniona.

Oryginalne ujęcia krytyczne znajdziemy też i w krótkiej przedmowie wydawczyni. *Sonet krymskie* zdaniem jej bliższe są swym przepychem obrazowania Gógorze niż Byronowi „oficjalnemu wzorowi” („oficjalnemu”, bo Mickiewicz pisząc o *Sonetach* nawiązywał do *Childe Harolda*). Szczególnie jednak zasługuje na uwagę inny passus tej przedmowy: „Z atletycznego neoklasycyzmu, z utopijno-masońskiej *Ody do młodości* przeskakujemy niespodziewanie w samej rzeczy w *Liliach* w prerafaelityzm, przektany ironią, która zdaje się antycypować Yeatsa”. „Atletyczny nieklasycyzm *Ody*” — co to za świetna i odkrywczą formuła krytyczna! Warto aby przyswoiło ją sobie i polskie literaturoznawstwo.

Książka przynosi też staranne komentarze do tekstów oraz w aneksach przekład francuskiego artykułu Edmunda Marka o biograficznym podłożu *Sonetów krymskich*, przejęty z lozańskiego ich wydania z 1969 roku. Artykuł ten to jedyna pozycja książki, wywołująca ze względu na swoje nieścisłości zastrzeżenia. Czytamy w nim, że większość filomatów skazana została w roku 1824 na Sybir i katorgę. W rzeczy samej dwudziestu filomatów i filaretów zesłano w „oddalone od Polski gubernie”, a trzech spośród nich dostało także i karę twierdzy. Zdaniem autora w mozaice narodowości, z jakimi Mickiewicz mógł się spotkać na Krymie, znajdowali się i Chazarzy. Prawdopodobnie pomieszali mu się tu oni z Karaimami, którzy wtedy jeszcze należeli do pejzażu etnograficznego Krymu. Wiersz zapisany przez poetę w albumie Marii Sękowskiej znany jest pod tytułem *Wschód i Północ*, a nie *Wschód i Zachód*. Dowiadujemy się też z tego szkicu, że Mickiewicz przeniesiony został z Odessy do Moskwy na „osobisty rozkaz” Aleksandra I-go. *Zu viel Ehre!* Decyzję tę powziął minister oświaty, Szyszkow. Wreszcie między bajki należy włożyć powtórzoną za Stefanią Podhorską-Okołów fantazyjną hipotezę jakoby Mickiewicz spotkał się na Krymie z „emirem” Wacławem Rzewuskim i opiewał go w *Sonetach* jako „mirzę”.

Wiktor WEINTRAUB

1. Piccola Biblioteca 45. Adam Mickiewicz, *I soneti di Crimea e altre poesie*. A cura di Elena Croce e Elisabetta Cywiak. Adelphi, Milano, 1977. 183 str.

## Listy Witkacego do Corneliusa

Prof. dr Heinrich Kunstmann, sławista na uniwersytecie Ludwika w Monachium, tłumacz sztuk Witkacego oraz autor kilku istotnych prac o nim, wydał niedawno pierwszą część listów Witkacego do wybitnego epistemologa niemieckiego Hansa Corneliusa\*. Dotychczasowa publikacja korespondencji obejmuje lata 1935-1937, zapowiedziana część następna uwzględni listy do roku 1939.

Prof. Kunstmann wyjaśnia w przedmowie, że o korespondencji między Witkacym a Corneliusem dowiedział się po raz pierwszy około roku 1960. Zwrócił się natychmiast do pani Hedwig Cornelius, wdowy po filozofie, która odpowiedziała w roku 1961, że małe są widoki na znalezienie listów, jako że „wiele rzeczy zaginęło w burzliwych latach wojny” oraz że „wiele rzeczy zostało zapewne zniszczonych przez hitlerowców”. Później prof. Jan Leszczyński z Krakowa powiadomił prof. Kunstmanna, że Cornelius przechowywał „prawie wszystkie” listy Witkacego, co wynika z powojennej korespondencji między Corneliusem a Leszczyńskim. Cornelius sam (zmarł w roku 1947) wzdragał się przed wydaniem listów Witkacego, ponieważ uważał, że zrozumienie ich filozoficznego sensu wymaga znajomości jego odpowiedzi. W istocie, jak się wydaje, zachowało się jedynie siedem niedawno w Polsce odkrytych listów Corneliusa.

W roku 1971 pani Cornelius powiadomiła prof. Kunstmanna, że zamierza spuściznę po mężu przekazać Bawarskiej Bibliotece Państwowej. W roku 1974, już po śmierci wdowy, wydawca listów do nich dotarł. W pierwszej opublikowanej części jest ich 66.

Najważniejszy jest chyba list Witkacego datowany 21/V 1936, liczący 20 stron rękopisu dużego formatu i będący w gruncie rzeczy małą rozprawą filozoficzną, a także i polemiką z adresatem. Meritum tej polemiki stanowi pogląd Witkacego, że system filozoficzny powinien cechować realizm, tak jak własny jego monadyzm jest realistyczny, podczas kiedy właśnie Leibniz, jak i Husserl oraz Cornelius są „idealistami”. Odpowiedź Corneliusa nie odnalazła się.

Być może ten akurat list dał asumpt Corneliusowi do odwiedzenia Polski w roku 1937, gdzie, jak informuje Heinrich Kunstmann, spotkał się z całą elitą filozoficzną kraju: z Kazimierzem Ajdukiewiczem, Tadeuszem Kotarbińskim, Stanisławem Leśniewskim, Janem Leszczyńskim i Stefanem Szumanem.

Jak widać, „w itkacologia” wyszła poza granice Polski. Publikacja jego korespondencji przyczyni się, miejmy nadzieję, w dużym stopniu do pogłębienia naszej wiedzy o jednej z najbardziej fascynujących postaci polskiego życia intelektualnego w okresie międzywojennym.

Witold WIRPSZA

## Ukraińska społeczność w USA i Kanadzie

Grupa ukraińska w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie łącznie jest liczebnie mniejszą od polskiej, z tym że w Kanadzie jest większa lecz — jak dotąd — brak jest o niej poważnych prac socjologicznych. Dopiero w ostatnich dwóch dziesiątkach lat, kiedy problematyka etniczna zainteresowała socjologów amerykańskich, przystąpiono do badania poszczególnych grup. Nie zabrakło oczywiście i ukraińskich naukowców, którzy zajęli się grupą do której należą, względnie z której się wywodzą, co jednak nie oznacza, iż poświęcili się wyłącznie jej badaniu.

Tom studiów socjologicznych, który teraz ukazał się, zasługuje z wielu powodów na szczególną uwagę. Stanowi on pierwszy tom prac Ukraińskiego Naukowego Instytutu Uniwersytetu Harvard (Cambridge, Mass.) i Ukraińskiego Socjologicznego Instytutu w Nowym Jorku, ponadto jest to pierwsza praca opublikowana w dwóch językach: angielskim i ukraińskim. Tylko dwie pozycje, z ogólnej ilości 16, były poprzednio opublikowane gdzie indziej. Redaktorem tomu oraz autorem dwóch najbardziej zasadniczych artykułów — jest dr Wsewołod Isajiw, profesor socjologii Uniwersytetu Toronto. Należy on do średniego pokolenia, urodził się we Lwowie, ale studia odbył już w Stanach Zjednoczonych. Jest autorem szeregu prac, w tym kilku poświęconych problemom etnicznym.

Prof. Isajiw zwraca uwagę na brak prac socjologicznych o grupie ukraińskiej na kontynencie amerykańskim i podkreśla, iż z grupy słowiańskiej najbardziej rozpracowana jest grupa polska, co zapewne — jego zdaniem — jest następstwem pionierskiej pracy Thomasa i Znanieckiego „The Polish Peasant in Europe and America”.

Opublikowane eseje zmierzają do częściowego wypełnienia tej luki. Sygnalizują szeroki wachlarz problemów, szkicują zwięźle niektóre aspekty, inne znów są skrupulatnie przeanalizowane na konkretnych przykładach.

Czy i w jakim stopniu grupa ukraińska i jej procesy przystosowania się do społeczeństwa amerykańskiego i kanadyjskiego są odmienne od innych grup? Czy przebiegają podobnie?

Prof. Isajiw wysuwa na czoło procesy asymilacyjne, przemiany społeczne (*social mobility*), tendencje zachowania etnicz-

\* *Ukrainians in American and Canadian Society. Contributions to the Sociology of Ethnic Groups*; edited by Wsewołod W. Isajiw; M. P. Kots Publishing, Jersey City, N.J., 1976, str. 360.

\* *W Zeitschrift für slavische Philologie*, Band XXXIX, Heft I. Str. 60 156. Heidelberg, 1976. Carl Winter — Universitätsverlag.

nej identyczności i wartości kulturowych, strukturę instytucji ukraińskich — a więc organizacji, stowarzyszeń — i ich działalność, klasyfikację wybitnych jednostek, prześledzenie dróg ich sukcesów. Między tymi zagadnieniami istnieją oczywiście powiązania, ale bynajmniej nie jednorodne. Wysoce niebezpieczne jest wobec tego wyciąganie wniosków ogólnych, gdyż w grupach ludzkich odchylenia, ba — nawet daleko idące rozbieżności — są nieuniknione. I tak np. istnieje wyraźny związek między asymilacją, przemianami społecznymi (chodzi oczywiście o awans społeczny), a zachowaniem świadomości etnicznej i ich wartości, ale to nie znaczy iż awans społeczny jest niejako automatycznie powodem utraty, czy też daleko posuniętego rozluźnienia powiązań z grupą etniczną. Procesy asymilacyjne mogą się odbywać również w grupach, wśród jednostek, nie posuwających się po drabinie społecznej. Prof. Isajiw wskazuje, iż istnieją różnorakie możliwości, stąd też potrzeba nie tylko ostrożności, ale bardzo skrupulatnych badań i konfrontacji osiągniętych wyników. Rozpowszechniony jest pogląd jakoby procesy asymilacyjne ujawniały się w mniejszym stopniu w grupie ukraińskiej. To jednak jest tylko pobożne życzenie. W rzeczywistości bowiem przechodzi ona przez te same fazy, co inne grupy, z tym jednak iż procesy asymilacyjne przebiegają wolniej niż np. w grupie polskiej.

Z opracowań statystycznych, opublikowanych w omawianym tomie, wynika bezspornie, że zarówno w USA, jak i w Kanadzie przy każdym spisie ludności zmniejsza się ilość osób posługujących się językiem ukraińskim i mówiących nim a wzrasta ilość małżeństw mieszanych wyznaniowo i etnicznie.

Doskonała praca prof. Andersona „Ukrainian Identity Change in Rural Saskatchewan”, oparta na badaniach przeprowadzonych w terenie wiejskim zamieszkałym przez 12.000 ludności ukraińskopolskiej, obrazuje ów proces asymilacyjny. Skąd termin „ludność ukraińsko-polska”?

Autor wyjaśnia, że przeprowadził ankietę wśród 252 osób i na pytanie o wyznanie otrzymał następujące odpowiedzi: ukraińscy katolicy — 61,1 %, ukraińscy prawosławni — 32,9 %, polscy katolicy 6 % i dodaje „wielu z tych 'Polaków' (cudzościców w tekście cytowanym — uwaga B.H.) było kulturalnie Ukraińcami, ale emigrując utrzymywali, że są pochodzenia polskiego i obywatelami polskimi; informatorzy w Saskatchewan wskazywali, iż zmiana przynależności wyznaniowej jest zazwyczaj następstwem mieszane-go małżeństwa i to również często prowadzi do zmiany identyczności etnicznej np. z polskiego katolika na ukraińskiego katolika lub ukraińskiego prawosławnego. Z tych powodów respondentów identyfikujących się jako 'Polacy' potraktowano w zasadzie jako podgrupę — stąd obok ukraińskich katolików, ukraińskich prawosławnych większa grupa: ukraińsko-polska”.

Prof. Anderson przeprowadził badania w osiedlach, których powstanie datuje się w latach 1897-99. Obszar ten został zagospodarowany przez imigrantów z Galicji i Bukowiny — Polaków i Ukraińców. Ukraińcy z Bukowiny byli wyznania prawosław-

nego. Autor stwierdza, że we wszystkich trzech grupach respondentów w 50 % wypowiedzieli się za zachowaniem etnicznej identyczności. Występuje to oczywiście najsilniej w pierwszej generacji, a więc u imigrantów, podczas gdy w następnej słabnie, ale nie zanika, kanadyjskość wysuwa się na pierwsze miejsce, asymilacja ujawnia się nie tylko w języku, ale w typie życia codziennego, porzucaniu wielu tradycji, względnie znacznego ich ograniczaniu.

Na omawianym terenie na zmiany układu etnicznego wpłynęły, i wpływać będą w znacznie większym jeszcze stopniu, zmiany technologiczne w gospodarce rolnej, powodujące m.in. odpływ ludności.

Najobszerniejsze jest studium prof. Bohdana Bociurkiwa o identyczności etnicznej i nastawieniu ukraińskich studentów Uniwersytetu Alberta, oparte na ankiecie przeprowadzonej w roku akademickim 1967/68. Praca ta została ogłoszona w języku angielskim jeszcze w 1971 roku i omawialiśmy ją już na łamach *Kultury* (autor przekazał nam maszynopis) — nie będziemy więc już do niej powracać. Przypomnimy tylko, iż ankietę wykazała, że 52,8 % ankietowanych określiło siebie jak Kanadyjczyków, kanadyjskich Ukraińców i Kanadyjczyków ukraińskiego pochodzenia, a tylko 4 % jako Ukraińców.

Wasył Halicz w eseju o Ukraińcach w Ameryce daje żywy obraz najtrudniejszego okresu — to jest początków. Można stwierdzić, że nie inaczej wyglądał pierwszy okres polskich imigrantów, tych którzy osiedlili się w ośrodkach przemysłowych.

Z eseju prof. Isajiw „Etniczny status, proces asymilacji i etniczna identyfikacja Ukraińców w Północnej Ameryce” wynika, że start Ukraińców inny był w U.S.A., a inny w Kanadzie, co wynikało z odmiennej sytuacji gospodarczej. U.S.A. znajdowały się w okresie gwałtownego uprzemysłowienia (ostatnie dwa dziesiątki ub. stulecia) i gwałtownie pochłaniały emigrantów. Natomiast Kanada poszukiwała osadników rolnych i była zainteresowana w zwiększeniu się ludności oraz w zdobywaniu nowych terenów pod uprawę.

Czy i jak długo może zachować się i utrzymać subkultura etniczna? Proces asymilacji jest naturalny i nieuchronny. W każdym następnym pokoleniu zanikają, lub co najmniej schodzą na dalszy plan, owe specyficzne czynniki etnicznej (narodowościowej) identyczności. Jednym z bardziej istotnych jest duchowe dziedzictwo i nie sposób — przynajmniej tak uważa prof. Isajiw — ustalić jakie jest minimum dziedzictwa pozwalające na zachowanie etnicznej identyczności. Konkludując autor stwierdza, że proces asymilacji kulturalnej przebiega bardzo szybko wśród drugiego i trzeciego pokolenia ukraińskiej społeczności.

Prof. Monly R. Lupul z Edmonton, wnuk imigrantów ukraińskich z Bukowiny, analizuje związek między językiem a zachowaniem etnicznej identyczności. Wskazując na stały spadek znajomości języka ukraińskiego w kolejnych spisach ludności dowodzi, że musi to doprowadzić do zaniku identyczności, a wobec

tego należy poczynić odpowiednie kroki, aby temu stanowi rzeczy zaradzić. Należy to uczynić zarówno w środowisku ukraińskim, jak i na zewnątrz. Przede wszystkim należy na wszystkich szczeblach wprowadzić naukę języka ukraińskiego, doprowadzić do dwujęzyczności w poszczególnych rejonach — z tym, że drugim językiem byłby oczywiście ukraiński. Ten esej ma charakter wybitnie polityczny — formułuje stosunek grupy ukraińskiej do zagadnienia wielokulturowości. Autor swoją tezę wielokrotnie uzasadniał na różnych konferencjach.

Praca Stepana Ripeckija, b. wykładowcy socjologii Ukraińskiego Instytutu Pedagogicznego w Pradze, omawiająca działalność ukraińskich instytutów socjologicznych w Wiedniu i Pradze w latach międzywojennych, ma charakter sprawozdawczy.

Illia Wytanowycz, zmarły w 1973 roku profesor historii Ukraińskiego Uniwersytetu w Monachium, pozostawił wyczerpujący szkic (obecnie opublikowany) o pracach socjologicznych oraz do tej dziedziny zbliżonych, ogłoszonych przez Ukraińców na emigracji. Odnotowuje zarówno prace opublikowane w języku ukraińskim, jak i w innych językach. M.in. wymienia prace Borysa Lewyckija w języku polskim, opublikowane przez Instytut Literacki w Paryżu.

Tom studiów pod redakcją prof. Isajiwa stanowi ważną pozycję w badaniach socjologicznych ukraińskiej grupy etnicznej w Kanadzie i USA i zdaje się być zapowiedzią dalszych badań szczegółowych. Powstały przy Uniwersytecie Alberta akademicki ośrodek ukrajinoznawstwa, na czele którego stanął prof. Lupul, znakomicie wzmocnił aktywność obu ośrodków, które wydały omawianą pracę.

Benedykt HEYDENKORN

## Krajowe nowości wydawnicze

### OPISY PODRÓŻY

Józef Ignacy KRASZEWSKI: *Kartki z podróży*, 1858-1864. T. I-II. Przepisami i posłowiem opatrzył Paweł Hertz. (Tekst przygotowała do druku Anna Kulikowska). Warszawa, 1977. Państwowy Instytut Wydawniczy, 80, t. I, str. 581 (1); t. II, str. 517 (1), ilustr.

*Grand tour* po Europie Zachodniej, w który wyruszył Kraszewski w roku 1858, dał się zrealizować wtedy dopiero, gdy krótkotrwała „odwilż” umożliwiła 46-letniemu pisarzowi uzyskanie wymarzonego paszportu. Konspiracje wileńskie z roku 1830 i siedmiomiesięczny pobyt w więzieniu a na-

przód oficjalny a potem „dyskretny” nadzór policyjny przekreślały możliwość wyjazdu za granicę a pasja wozajowania wyładowywać się mogła li-tylko w wędrownkach po Polesiu, Wołyniu, Litwie i sięgającej najdalej podróży do „Odessy, Jedyssanu i Budżaku”, opisanych w wydanych w latach 1840-6 obrazach wędrowek, zasługujących na wznowienie w stopniu może nawet wyższym od wydanych obecnie „Kartek z podróży”.

Dwa sążniste tomy, starannie skomentowane przez Pawła Hertza, odsłaniają mało znany aspekt twórczości Kraszewskiego. Był nie tylko autorem poczytnych powieści, ale niejako „dla siebie”, na dalszym planie biegłym historykiem sztuki i zdolnym rysownikiem a nawet grafikim. Do wymarzonego wojażu na Zachód przygotowywał się latami, układając plany zwiedzania i, gdy wreszcie wyruszył, opracowany miał w najdrobniejszych detalach plan „pielgrzymki”, której szczytowymi punktami miały być — i istotnie były — katakumby rzymskie i wykopaliska w Pompei i Herkulanum. Towarzyszył mu malarz, Klemens Rodziewicz, który już do Kraju nie wrócił i osiadł we Florencji oraz, na pewnym odcinku, Juliusz Moczulski, kandydat na Zmartwychwstańca. Ten znów zrezygnował z planów zakonnych rzekomo z powodu złego potraktowania Kraszewskiego przez Piusa IX, który na publicznej audyencji skarcił pisarza za „niemoralny kierunek jego pism”. Ks. Semenenko odnotował w swoim dzienniku, iż papież, nastroszony odpowiednio przez OO. Zmartwychwstańców, powiedział miał Kraszewskiemu, iż aczkolwiek wie, że jest „dobrym chrześcijaninem, ale *Bonum ex integra causa, malum ex quocumque defectu*; wy artyści zanadto idziecie za sztuką, zanadto wdajecie się w anatomię; anatomia należy do szpitalów, tam wszystkie nagości trzeba odesłać, jak wszystkie choroby, ale w życiu potrzeba zdrowia itd.”. Kraszewski wyszedł z audyencji ze łzami w oczach; speszni Zmartwychwstańcy chcieli złagodzić wrażenie drugą rozmową z Papieżem, prywatną, pisarz „jednak nie zgodził się na powtórna audyencję”. Było to tragiczne *qui pro quo*, żalony *climax* rzymskich peregrynacji o skutkach sięgających aż po ostatnie chwile życia, gdy odchodził z tego świata w Genewie, nie wzywając spowiednika, choć mu go podsuwano. Wiele wskazuje, że — aby umożliwić udział duchowieństwa w pogrzebie na Skałce — wysłano do Krakowa depezę z fałszywą informacją o namaszczeniu umierającego Olejami św.

Wojaż, trwający cztery miesiące, kosztował Kraszewskiego 5.000 rubli, sumę równającą się połowie posagu córki. Podróżował wygodnie, choć nie luksusowo, przekładając „vetturinów” nad kolej, do której był nastawiony wręcz wrogo ze względu na prześladowające go uczucie „zdegradowania do roli tłumoka”, skazanego na przypadkowe towarzystwo. Przekładał nad to powolną jazdę „vetturinem”, pozwalającą na przystanki w celu zwiedzenia np. opactwa Monte Cassino, w którym niewiele go zainteresowało. Zwiedzał jednak gruntownie wszystko, co nakazywały przewodniki i lektura i z „Kartek” dały się wyłuskać inwentarz kilkuset kościołów i muzeów, do których zwiedzania przygotowany był uprzednią lekturą. Zdrów czy chory wyruszał wczesnym rankiem na wyznaczone w planach wojażu miejsca, rzadko pozwalając sobie na luksus swobodnej włóczęgi po Neapolu czy Paryżu, pamiętny na trudności uzyskania paszportu i świadom ewentualności odmowy. Na wszelki wypadek — nuta jakże znana — pomija milczeniem albo lekko tylko sygnalizuje spotkania z „poetą Teofilem” czy „starym historykiem” „odzianym w niebieską bluzę uwieria” a zamieszkałym w małej izdebce przy rue des Éperoniers w Brukseli. Trudno wierzyc, że istotnie nie miał czasu na pielgrzymkę do Montmorency na świeżę mogiłę Mickiewicza ani na obejrzenie Biblioteki Polskiej w Paryżu!

W toku systematycznych odwiedzin polskich pracowni malarskich w Paryżu, po Juliuszu Kossaku, Leonie Kaplińskim, Franc. Tepie i Henryku Rodakowskim, trafił do „biednego Cypriana” i długo zastanawiał się czy

jest on „bardziej poetą, czy artystą?”. „Trzeba umieć poszanować w nim cierpienie, fantazję, dziwactwo, talent, przyjmując go jak jest, ale niepodobna nie uważać się nad tym jeniusem zwichniętym”. Z wizyty u Norwida pozostało mu wspomnienie dziennika z podróży do Ameryki, wypełnionego rysunkami „przeplatanyimi słowy”, powstałego gdy zapomniał, że „musiał być wieszczem jeniálním” a „był prostodusznym tłumaczem swych wrażeń”.

Po silnych wrażeniach włoskich Francja sprawiła Kraszewskiemu zawód i daje temu dosadny wyraz. Paryż wydał mu się „jedną wielką targowicą, jednym sklepem”; on, tak surowo skarcony przez Papieża, gorszył się „szatańskimi podskokami” młodzieży w „Closerie des Lilas” a „Jean Bart” w teatrze de la Porte Saint-Martin wydał mu się „obrzydlwym obrazem w niezmiernie drogich i pysznych ramach”.

Nad wrażeniami włoskimi zaciążyła najsilniej indywidualność twórcza Michała Anioła. W bliskim jego sąsiedztwie stawał Rafała, choć w wielu oglądanych obrazach dopatrywał się dzieł niesłusznie mu przypisywanych. Malarzem, którego we Włoszech odkrył i szczególnie umiłował był Fra Angelico, „pierwotny malarz religijny”. „Obrazy jego tchną taką świętością, że im nic nie dorównywa”, „anielski arcymistrz, malarz zachwyty niebieskich”. Krótką wzmianką zbywa natomiast Assyż, zwracając uwagę nie tyle na wartości artystyczne fresków Giotta, ile na rzekome polonicum: uosobieniem Czystości w malowidłach ilustrujących cnoty św. Franciszka miał być nasz król Bolesław Wstydlwy. (Autorstwo Giotta jest dziś kwestionowane). W klasztorze uderzyło go zaniedbanie, kontrast ze wspaniałością Padwy. Pisze Kraszewski, że towarzyszył jego „wolał Tycjana i Palmę, a nawet Tintoretta, widział w nich pełniejszą sztukę, jeno jej był spragniony”, podczas gdy on „wolał badać mniej dotąd znanych i nie dosyć pojętych dawnych mistrzów, w których świetniała najpiękniejsza epoka prawdziwie chrześcijańskiego malarstwa”. Zdarzają mu się jednak kompromitujące potknięcia: tak np. wydało mu się, że sztych Morghena i Raffaellego mozaikowa kopia „Ostatniej wieczerzy” Leonarda u Minorytów w Wiedniu lepsze dają wyobrażenie arcydzieła od oryginału. Katedra mediolańska wydała mu się z zewnątrz „skorupą”, w której „rzeźba zabiła architekturę”.

Obok Kraszewskiego-powieściopisarza, po którym czytelnik masowy do dziś spodziewa się co roku „nowej” powieści, po Kraszewskim, asie francuskiego wywiadu, którego MacMahon uhonorować chciał komandorią Legii Honorowej a Bismarck denuncjował jako groźnego „szpiega”, po zdemaszkowanym przez Trepińskiego Kraszewskim — bohaterze romansu z piękną Wiedenką, Christiną Del Negro — przypomina się pamięci Kraszewski — podróżnik i historyk sztuki.

„Kartki z podróży” inaugurują nową, dobrze pomyślaną, serię PIW'u p.n. „Podróże” (pod red. Pawła Hertza).

#### BIOGRAFIE I PAMIĘTNIKI

Aniela GRUSZECKA-NITSCHOWA: *Całe życie nad przyrodą mowy ojczystej*. Kazimierz Nitsch i jego prace. Kraków, 1977, Wydawnictwo Literackie, str. 287, ilustr.

We wczesnym okresie samodzielnej pracy naukowej prof. Nitsch uświadomił sobie niedostatki polskiej dialektologii, skupiającej zainteresowania na gwarze Podhala i Śląska. Że to „cała przestrzeń polska od Karpat do morza, od Odry po Bug ciemna”. Postanowił ją „rozświetlić” — i zabrał się do tego „sam jeden”. Oznaczało to „wędrowki po całym terenie Polski” i takie nasycać się lokalnymi gwarami, by „wczuć się w sposób miejscowego reagowania na rozmowę, na pytania, na własną swojskość i obcość

pytacza”. Ze zgromadzonych materiałów powstał atlas gwar i słownik gwarowy.

Wypełniło to całe życie Profesora. Bo nawet pobyt w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen był okazją do gromadzenia obserwacji. Przetwał. Gdy wrócił do mieszkania krakowskiego „pierwszym krokiem stanął przed półkami biblioteki i sięgnął ręką po książkę, „Marię” Malczewskiego. O co szło? O „niespodziankę rytmiczną”, którą stwierdził, recytując ustęp z „Marii” w obozie. Musiał sprawdzić: mógł teraz sięgnąć zwyczajnie po książkę, wziąć ją, sięść z nią zwyczajnie przy biurku. Powrót do życia”.

Przytoczona właśnie cytata daje pojęcie o uroku książki, pisanej przez wierną towarzyszkę życia i prac naukowych Profesora a przy tym niepoślednią pisarkę. Dobrze że zdążyła ją napisać.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

## Pamiętnik powstańczy w brytyjskich oczach

Nie mogąc dotrzeć do wyznaczonej mi placówki Akowskiej która, nawiasem mówiąc, padła w ciągu pierwszych dni wraz z całą dzielnicą, przeżyłam powstanie jako osoba cywilna, początkowo prowadząc stołówkę dla grupy żołnierzy, a następnie dla przeszło setki dzieci i czuwając nad zorganizowaną w naszym lokalu kuchnią mleczną dla niemowląt. Każdy brał wówczas pracę jaka popadła, dziękując Bogu, że może być pożyteczny i czynny.

Z pośpiesznych notatek o wydarzeniach dnia i o ludziach, których niezliczoną ilość poznawałam i traciłam z oczu, powstała potem moja książka-pamiętnik. Pragnęłam w niej ukazać, jak wszyscy niemal, nawet ci najskromniejsi, przyczyniali się do tego, by walka mogła trwać i jak pod bombami i miotaczami min życie toczyło się swoim trybem, pełne wielkich tragedii, nie notowanego bohaterstwa i śmiesznie drobnych problemów.

Pierwsze wydanie z 1947 roku pt. „Ludzie walczącej Warszawy” zostało od dawna wyczerpane. W końcu 1975 roku książka moja, z pewnymi zmianami (bo inaczej patrzy się i pisze po tylu latach), przetłumaczona na język angielski, weszła pt. *Food for the children\** w trudniejszy do zdobycia, bardziej obcy i obojętny polskim problemom, świat brytyjski.

Ku mej radości wszystkie recenzje, nie tylko w pismach polskich, ale i w angielskich, były przychylnie. Wszystkie też odmalowywały tło polityczne i stanowisko Rosji w stosunku do powstania, do czego przyczyniła się z pewnością doskonała przedmowa C. Barkera.

„Powstanie Warszawskie w lecie 1944 roku — pisze recenzent w *Manchester Evening* — było nie tylko epopeją Drugiej Wojny Światowej, lecz także sagą, jedną z najtragiczniejszych i najbardziej bohaterkich znanych

\* A. Bogusławska, *Food for the children*. Leo Cooper Ltd., London, 1975.



w historii. Był to akt jednogłównego oporu ludu ogromnego miasta, który bronił się przeciw nazistowskiemu hordom przez 73 męczeńskich dni, aby w końcu być zdławionym wskutek zdrady Rosjan, którzy przedtem nawoływali do walki, by cofnąć się niemal z przedmieść, kiedy ich pomoc była najbardziej potrzebna”.

„... (książka) nie ma pretensji, aby być historią — kończy swą wzmiankę krytyk w *The Economist* — ale jako opowieść o tym, jak zwykli ludzie zachowują się w okolicznościach niezwykłego napięcia, jest doskonała: przeobrażająco żywa, trudna do odłożenia, a jednak pisana z humorem i bardzo ludzka”.

„... Pamiętnik ten winien przeczytać każdy, kto chce się wczuć w przeżycia i walkę zwykłych ludzi, którzy, rzućni w samo centrum historycznej sceny na krótki okres, stają się bohaterami” (*The International Socialist*).

W ciągu pierwszego roku około 800 egzemplarzy mego pamiętnika dotarło do rąk czytelników, mówiące cudzoziemcom i urodzonej poza Krajem młodości o Warszawie, widzianej przez pryzmat przeżyć ludności z kilku sąsiadujących ulic górnego Powiśla.

A. BOGUSŁAWSKA

## Dragoni królewscy

W Stanach Zjednoczonych ukazała się pod koniec ubiegłego roku ciekawa książka. Jest to powieść historyczna pióra Polaka, lwowiaka, zamieszkałego w USA, napisana po angielsku. Jej tytuł „Royal Dragoons-Immortal Love” („Dragoni Królewscy — dzieje nieśmiertelnej miłości”). Wydawcą jest Bicentennial Publishing Corporation w Nowym Jorku.

Autor tej książki, Marian Hełm-Pirgo jest pisarzem, architektem wykładową i artystą malarzem. Jeśli chodzi o sztukę pisarską to jest autorem sześciu książek w języku polskim i dwóch (włączając omawianą tutaj) w języku angielskim. W 1939 roku, po wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemię polskie, zostaje aresztowany i wywieziony do Rosji, gdzie przebywa w więzieniu aż do „amnestii”. Wyszedł z Rosji z wojskiem gen. Andersa, był w 2-gim Korpusie, a po zakończeniu wojny przybył do Anglii, skąd po paru latach wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.

Akcja powieści rozgrywa się w połowie XVII-go wieku w Polsce. Są to czasy „Trylogii” i często spotykamy w powieści miejscowości i zdarzenia z dzieł Henryka Sienkiewicza. Głównymi bohaterami powieści są Kapitan Dragonów Królewskich Władysław Ledochowski i jego narzeczona Maria Firley.

Główna wartość powieści leży w tym, że autor, poza pełną napięcia akcją na ziemiach Litwy i Korony, podkreśla ówczesne powiązania ze światem anglosaskim, z Anglią, Szkocją i brytyjskimi koloniami w Ameryce. Wprowadzając do akcji powieści porucznika Watsona, Szkota, oficera polskich dragonów, autor ma na celu zainteresowanie książką i jej fabułą czytelnika anglosaskiego, dla którego w pierwszym rzędzie napisał tę powieść.

Krzysztof ROWIŃSKI

## Nadesłane nowości wydawnicze

LAKS (Szymon). *Poloniki... Polemiki... Polityki...* Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

V i a. *Pismo literacko-artystyczne*. Str. 16. (Redaguje Zespół, Kung-sängen, Szwecja, kwiecień 1977).

*Sprawozdanie Funduszu Wieczystego Milenium Polski Chrześcijańskiej w Kanadzie*. (Od początku istnienia 1964 r. do 31. 10. 1976 r. Str. 6 i 2 nlb. w języku polskim oraz str. 7 i 1 nlb. w języku angielskim).

*Wypadki czerwcowe i działalność Komitetu Obrony Robotników*. Str. 24. (Wyd. w formie maszynopisu przez KOR, Warszawa, 1977 — maj; drukiem w Londynie nakładem kwartalnika *Aneks*).

MORAWSKI (Stefan). *Sztuka masowa a elitarna. Za i przeciw*. (Nadbitka z *Polska popularna kultura artystyczna*, str. 91-119; wyd. Ossolineum, Warszawa-Wrocław-Kraków, 1977).

MAZGOWSKI (Bronisław). *Gorzkie morze*. Poezje wybrane. Tekst w języku polskim i angielskim. Tłumaczenie John Crompton i Krystyna Sierz. Str. 83 i 1 nlb. (Wyd. Mursia International, Milano, 1977; cena dol. 4,50).

KOPELEV (Lev). *Où donc est la justice. A conserver pour l'éternité*. T. II. Tłumaczenie z rosyjskiego Louis Martinez przy współpracy Dimitri Sesemanna. Str. 349 i 3 nlb. (Wyd. Stock, Paryż, 1977).

BEAUVOIS (Daniel). *Lumières et société en Europe de l'Est*: L'Université de Vilna et les écoles polonaises de l'empire russe (1803-1832). Thèse présentée devant l'Université de Paris I le 5. 2.

1977. T. I. i II — str. 912 i 8 nlb. (Atelier — reproduction des thèses, Université de Lille, Lille III. Librairie Honoré Champion, Paryż, 1977; cena F. 120).

*Le vingtième congrès — Mythes et réalités de l'Europe de l'Est en 1956*. Colloque organisé par le Laboratoire de slavistique (C.N.R.S.) et Institut national d'études slaves, Paris, 6. 3. 1976; Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paris, 1977).

TCHORNOVIL (Viatcheslav). *Je ne vous demande rien!* Tłumaczenie z ukraińskiego. Przedmowa Jean-Marc Vrault. Str. 191 i 5 nlb. (Wyd. Editions PIUF, Paryż, 1977; cena F. 36,00).

*Pluralisme culturel et identité nationale*. Réunion internationale — Centre de Conférence, Calgary, Alberta, 13-17. 6. 1977. Documents. (Wyd. Commission canadienne pour l'UNESCO, Ottawa).

BLAGOWIDOW (George). *The Last Train from Berlin*. Str. 206. (Wyd. Doubleday and Co., Inc., New York, 1977; cena dol. 7,95).

CHALIDZE (Valery). *Criminal Russia*. Essays on Crime in the Soviet Union. Tłumaczenie z rosyjskiego P. S. Falla. Str. 240 i 4 nlb. (Wyd. Random House, New York, 1977; cena dol. 10).

PODGÓRECKI (Adam). *Short Stories of Si-Tien*. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

*Quest for a New Central Europe*. Sympozjum. Opracowanie Julius Varsányi przy współpracy Stephen Krassay'a. Str. 295 i 1 nlb. (Wyd. Australian Carpathian Federation, Inc., Adelaide-Sydney, 1976).

## Polemiki

### Godzina Savonaroli

W „Dzienniku pisanym nocą” (*Kultura* nr 7-8, 1977) opowiada Herling-Grudziński o swoich wrażeniach z pobytu w Stanach Zjednoczonych. Między innymi pisze: „W teatrze miejskim w New Haven widziałem 'Białe małżeństwo’ Różewicza. Znałem z *Dialogu* tę głupią i płaską (jeśli nie wulgarną) sztuczkę, zdu miało mnie więc co potrafi zrobić teatr z niczego. Przedstawienie (w inscenizacji Wajdy i Krystyny Zachwatowicz, z Elżbietą Czyżewską w jednej z ról głównych) było uroczem. Ktoś podsunął mi kawałek Różewicza z *Odry* o jego pobycie w Ameryce. Pisarzom polskim odbija się Camusem. [...] różewiczowski 'Sobowtór' napisany jest manierką 'Renegata', czyli bełkotem uciętego języka. Imitacja, nawet małpio zręczna, to trochę za mało gdy stoi za nią zrogowaciały egotyzm z gatunku „a słońca nie zauważył, zajęty wciąż sobą”.

Wolno Grudzińskiemu pisać o sztukach Różewicza, co mu się żywnie podoba. Może zganić, pochwalić, nie musi udowadniać. Takie są zalety formy „dziennikowej”. Osobiście uważam „Białe małżeństwo” za jedną z najlepszych sztuk autora „Starej kobiety...”. Wydaje się, że w ogóle mało kto dziś na świecie pisze tak dużo — i tak dobrze! — dla teatru, jak Różewicz właśnie. Niewielu pisarzy potrafi, tak jak on, reformować teatr i jednocześnie walczyć o przywrócenie w nim wartości napisanemu słowu. Teatr świata jest w kryzysie, dramaturdzy w rejteradzie przed reżyserem-inscenizatorem, i Różewicz — obok Mrożka (a myślę tu przede wszystkim o „Garbusie”) — to jedni z nielicznych „dostarczycieli tekstów do teatru”, którzy upominają się o swoje prawa twórców.

Nie zdarza się prawie, żeby dobre przedstawienie teatralne rodziło się „z niczego”. Bardzo często zdarza się na odwrót: reżyser dobija tekst pod pozorem „koncepcji”, „sceniczej wizji”, obwarowany teorią — słuszną tylko w zastosowaniu przez najlepszych inscenizatorów — że teatr i literatura to odrębne two-

rzywa sztuki. Nie ma końca formalnym harcom, zarozumiałości i nudzie.

„Białe małżeństwo” jest wyreżyserowane przez autora, przez Różewicza. Teatr może tę sztukę co najwyżej zepsuć, poprawić jej nie zdoła. Widziałam dwie inscenizacje tej sztuki: wulgarną, bez sensu, obłąkaną wręcz (dość powiedzieć, że jako łącznik między obrazami służył pokaźny Murzyn ubrany w ślubną suknię) w Kopenhadze, która polegała na zupełnym nieporozumieniu i niezrozumieniu tekstu, i piękną, wystylizowaną, pełną humoru i melancholii w Sztokholmie. To szwedzkie przedstawienie było zgodne z duchem teatralnym, z treścią i językiem utworu Różewicza.

„Białe małżeństwo” napisane jest w trzynastu teatralnych obrazach. Zrozumiał to szwedzki reżyser, a także — jak się okazuje — polski, chociaż nie łatwo mi sobie wyobrazić tę sztukę w reżyserii rozkochanego w symbolach i pozbawionego poczucia humoru Wajdy. Bez zastrzeżeń natomiast wierzę w urodę i trafność scenografii Krystyny Zachwatowicz.

„Białe małżeństwo” jest sztuką-pastiszem. Sporo tu na przykład „Aspazji” Narcyzy Żmichowskiej, sporo młodopolskiej poezji, i w ogóle obrazów z końca ubiegłego stulecia. Ale „Białe małżeństwo” to nie tylko pastisz. Jest to przede wszystkim sztuka o... mężczyznach. A raczej: o wyobraźni kobiecej, molestowanej i udręczonej męskim seksualizmem. Sztuka o obyczajowości dziewiętnastowiecznej... zaręczam, ciągle żywej.

Być może zresztą jest to sztuka dla kobiet. Być może kobietom łatwiej odczytywać jej obrazy i identyfikować się z bohaterkami, niż mężczyznom — z bohaterami i wyobraźnią kobiet na ich temat. „Białe małżeństwo” opowiada o przyjaźni dwóch dziewcząt, i ich — a także dojrzałych kobiet (matki, ciotki, kucharki, pokojówki) — strachu przed światem męskim. Sztuka Różewicza kończy się swoim tytułem: *Bianka poślubia wprawdzie Beniamina, ale małżeństwo nie zostanie skonsumowane*. W ostatnim obrazie dziewczyna obcina włosy, tnie na kawałki swą barchanowo-koronkową wyprawę, żegna świat dziewczęcej — i niekoniecznie lesbijskiej — miłości do Pauliny i proponuje Beniaminowi... braterstwo. Przyjaźń i równość zamiast seksualnego współżycia. Partnerstwo — zamiast udawania partnerstwa.

To tylko jedna warstwa tej głębokiej, zabawnej i bardzo subtelnej sztuki. Tych warstw jest znacznie więcej.

„Sobowtór” z kolei jest powieścią, czy raczej rodzajem prozy, pisanej przez Różewicza na raty i w różnych formach. Kilka fragmentów „Sobowtóra” drukowała *Odra* na przestrzeni ostatnich dwóch czy trzech lat, i zapewniam, że nie wszystkie pisane są manierą „Renegata” (tą samą „manierką”, rodzajem stężonego strumienia świadomości i doznań fizycznych napisał zresztą także Samuel Beckett — „Usta”). Nie wszystkie fragmenty „Sobowtóra” są „małpio zręczne”, ten chyba najmniej.

To tylko zagubiony pisarz z europejskiej prowincji w muzeum Guggenheima. I w ogóle jest chyba odwrotnie: „Sobowtór” to proza, która się pisze Różewiczowi ciężko, chropawo, często nieudolnie.

To nie jest pierwszy atak Herlinga-Grudzińskiego na poetę z Kraju i wolno mi się chyba domyślać, o co naprawdę chodzi. O postawę polityczną pisarza. A raczej o brak postawy. Napisałam: „wolno mi się chyba domyślać”, bo i mnie chodzi o to samo, bo i ja wielokrotnie — i bezskutecznie — szukałam jego nazwiska w zespole członków KOR-u i wśród podpisujących protestacyjne listy. Różewicz chyba nigdy niczego nie podpisał. Ale od niepodpisania do „zrogowaciałego egotyzmu”, czy też stanowiska poety dworskiego jest droga daleka, i Różewicz nigdy — nawet w swoim okresie socrealistycznym — poetą dworskim nie był. To inni rządili, obsiadali redakcje, ferowali wyroki, ogłupiali naród, a potem się kajali. Jedną z ostatnich sztuk Różewicza — „Do piachu” — została zatrzymana przez cenzurę, o czym pisarz otwarcie mówił. A dla mnie osobiście polityczna wymowa „Śmiesznego staruszka” czy „Śmierci w starych dekoracjach” waży równie wiele, jak podpisy pod protestami. Zostawmy więc poetę w spokoju, zawczasie na pogromy i odstrzał. Artysta — cóż za banał — ma prawo do egotyzmu. Ale przecież nie tylko artysta, którego osobiście lubimy. Oczywiście „egotyzm zrogowaciały” to coś znacznie gorszego niż zwykły artystyczny egotyzm, czy klerkizm. Ale nie wydaje mi się, żeby „zrogowaciały” był w wypadku Różewicza określeniem cokolwiek mówiącym o naturze jego twórczości. Gombrowicz (ale „co wolno wojewodzie, to...”) pisał: „Zostawcie w spokoju garstkę wizjonerów, marzycieli, poetów, niech robią swoje. Stać ludzkość, mimo wszystko, na alpinistów i nikt nie wymaga, żeby taki sportowiec ze szczytu Mont Blanc wypowiadał się za rewolucją, albo przeciw. Zezwólcie więc garstce artystów, żeby po swojemu wyłaziła na szczyty, z których widok jest rozległy, zamglony i raczej *sub specie aeternitatis*.”

Zostawmy artystę sam na sam z utworem. Bądźmy dyskretni. Sztuka to przedsięwzięcie delikatne, które dokonuje się po ciemku”.

Lekturę *Kultury* rozpoczynam od „Dziennika pisanego nocą”, tak jak niegdyś rozpoczynałam ją od „Dziennika” Witolda Gombrowicza. Miara Grudzińskiego jest tą miarą, którą staram się posługiwać, do której się odwołuję. Ale wydaje się, że od jakiegoś czasu wzmaga się w „Dzienniku...” ton poirytowania. Pośpieszny, niedbały, wyrażany z pańską. Są to irytacje najczęściej uzasadniane, choć może — jak w wypadku polemiki z „Umysłem zniewolonym” Miłosa — uzasadniane zbyt krótko. To ferowanie wyroków — i to bezpardonowych — idzie w parze z czymś intuicyjnie uchwytnym, choć trudnym do nazwania. Jest to jakby rodzaj rozlubowania we własnym oburzeniu, w mądrości własnej frazy. Godzina Savonaroli, który się sobie podoba. Go-

dzina niebezpieczna dla wszystkich, także dla najmądrzejszych, najbardziej sprawiedliwych.

Zostawmy Różewicza na szczytcie jego egotyzmu, z którego — podobnie jak Gombrowicz — uczynił sztukę, do którego dochodził powoli, opornie, uparcie, przyznając się do wszystkich etapów, do wszystkich smaków wędrówki. Przepisuję jego wiersz „Schodząc”, dedykowany Kazimierzowi Wyce (*Twórczość*, kwiecień 1977):

Teraz  
schodząc  
oglądam się  
zwlekam  
jestem jak człowiek  
który coś zgubił  
ale nie szukam  
dokoła siebie  
czasem w środku nocy  
w sobie lub w samo południe  
w sobie  
szukam znajduję  
ktoś mnie otwiera zamyka  
przechodzę  
oglądam się  
łąka zielona  
stoję otworem  
w świetle dziennym

(1976)

Janina KATZ HEWETSON

## PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.

Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00

Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.  
W. GERMANY

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

## Lipiec 1977

Süddeutscher Rundfunk w Stutgarcie nadało w pierwszej połowie bież. roku cztery dwudziestominutowe odcinki, ujęte w formie wywiadu prasowego, relacji Władysława Bartoszewskiego dotyczącej przeżyć i doświadczeń w obozie w Oświęcimiu, z pracy konspiracyjnej w okupowanej Warszawie (m.in. z udziału w akcji pomocy Żydom) oraz powojennego pobytu w więzieniach PRL w okresie „błędów i wypaczeń” jak również jego uwagi o stanie i perspektywach stosunków polsko-niemieckich. Odcinki te były nadane w stałym cyklu *Lebenserfahrungen* („Doświadczenie życiowe”) staraniem redakcji *Kirche und Gesellschaft* (Kościół i społeczeństwo).

## 3-7-77

W przededniu pierwszej rocznicy śmierci Antoniego Słonimskiego, odbył się w Polskim PEN-Clubie w Warszawie wieczór wspomnień o Antonim Słonimskim — człowieku i pisarzu. Mówili: Artur Międzyrzecki, Karol Estreicher, Jerzy Zagórski, Władysław Bartoszewski, Jerzy Turowicz, Anna Trzeciakowska, Andrzej Kijowski. ■ Władysław Bartoszewski obchodzi 35 lat pracy pisarskiej — w tym 20 lat stałej współpracy z *Tygodnikiem Powszechnym*.

## 28-7-77

W związku ze 165-tą rocznicą urodzin Józefa Ignacego Kraszewskiego prasa krajowa podaje, że jego książki w latach 1944-76 były wznawiane 465 razy w łącznym nakładzie 14.156 tysięcy egzemplarzy. Jeśli idzie o poczytność Kraszewski zajmuje drugie miejsce po Henryku Sienkiewiczu.

## 1-8-77

Jury Nagrody *Literatury na świecie* za najlepiej przetłumaczoną książkę roku przyznało dwie równorzędne nagrody, a mianowicie Marii Skibniewskiej za przekład powieści Patricka White „Okno cyklonu” i Maciejowi Żurowskiemu za przekład „Pieśni Maldorora” Lautréamonta. ■ Na „Konkurs na prace doktorskie i magisterskie poświęcone ZSSR oraz współpracy i przyjaźni polsko-radzieckiej”, zorganizowany przez Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wzrostu i Techniki, Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polski oraz redakcję *Nowych Drog* wpłynęło 51 prac magisterskich oraz 14 doktorskich z 17 uczelni i placówek PAN. Nagrodzono i wyróżniono 33 prace. W związku ze zbliżającą się rocznicą 60-lecia Rewolucji Październikowej prezydium jury zwróciło się do młodzieży studenckiej i nauczycieli akademickich o jeszcze szersze podejmowanie w pracach dyplomowych i doktorskich zagadnień nawiązujących do 60-letniego dorobku ZSSR, roli Lenina oraz rewolucyjnych związków polskiego i rosyjskiego proletariatu.

## 17-8-77

Siedemdziesiątą rocznicę urodzin obchodził krytyk muzyczny, pisarz i kompozytor — Zygmunt Mycielski. Ostatnio ukazała się jego nowa książka „Postludia” (P.W.M.). ■ Doroczną nagrodę tygodnika *Kultura* otrzymali: Andrzej Oseka za książkę „Mitologia artysty” oraz Piotr Wojciechowski za powieść „Wysokie pokoje”.

## 19-8-77

Zmarł w Warszawie, w wieku 68 lat, Roman Zambrowski, b. członek centralnych władz partyjnych i państwowych PRL, a ostatnio wiceprezes N.I.K.

## 25-8-77

W ub. roku mieszkańcy PRL wydali 3.826 milionów złotych na zakup książek. Przeciętnie statystyczny Polak wydał na książki ok. 110 zł. i to łącznie z podręcznikami szkolnymi. Niewiele.

## 26-8-77

Zmarł w Krakowie, w wieku 73 lat, Jacek Puget, artysta rzeźbiarz i dłuoletni dziekan Wydziału Rzeźby ASP w Krakowie.

## 31-8-77

Ukazał się Komunikat Nr 13 KOR'u z dn. 31. 8. 77. Wynika z niego, że pomimo propagandy PRL, znajdującej żywy oddźwięk w prasie zachodniej, represje trwają nadal zarówno wobec robotników jak i członków i sympatyków KOR'u. Komunikat podaje m.in. o strajku w Pabianickiej Fabryce Żarówek POLAM, która zatrudnia 3.000 pracowników fizycznych i 2.000 umysłowych. Strajk trwał od 10 do 13 sierpnia br. i od 25 sierpnia przez półtora dnia. Dotąd nie było bezpośrednich represji, ale postulaty robotników nie zostały załatwione. ■ Do dnia 27 sierpnia 1977 KOR wydał na pomoc 3.062.090,00 złotych.

## 1-9-77

Statystyczny Polak w PRL spożywa w ciągu roku 7 kg ryb. Ponadto produkuje się 45 tys. ton mączki rybnej. Zwiększenie konsumpcji będzie więcej niż trudne ze względu na spadek wydajności łowisk i coraz większe ograniczenia w zakresie strefy połowów, ustalonej przez poszczególne kraje. ■ W bież. roku PRL sprowadziła z Iranu 350 tys. ton ropy naftowej. ■ W Polsce rozpoczęto starania o beatyfikację ks. Władysława Kornilowicza. Przed paroma miesiącami kardynał Wyszyński zwrócił się do Watykanu o wydanie dekretu  *nihil obstat*, co pozwoli Kurii warszawskiej wszcząć procedurę badań dotyczących cnót ks. Kornilowicza. Ks. Kornilowicz od 1930 roku pracował w Laskach pod Warszawą, a później założył znane wydawnictwo  *Verbum*. Zmarł w Laskach w 1946 roku i tam został pochowany. ■ W PRL przerwano kręcenie filmu „Na srebrnym globie” według powieści Jerzego Żuławskiego, który realizował wnuk autora, znany filmowiec młodego pokolenia — Andrzej Żuławski. ■ Na rachunkach walutowych „A” w PRL na dzień 1 lipca br. znajdowało się 216 milionów dolarów. Liczba tych rachunków przekroczyła 500.000.

## 9-9-77

W PRL niezmiernie uroczyste obchodzi się setną rocznicę urodzin Feliksa Dzierżyńskiego. Bez wyjątku cała prasa wypełniona jest artykułami o nim. Rekord jednak pobiło  *Życie Warszawy* dając wielkimi literami tytuł: FUNDAMENTY POLSKI — FELIKS DZIERŻYŃSKI. Artykuł ten napisała Anna Kłodzińska. Pytanie — czy ten rekord służalczości będzie pobity w czasie świętowania rocznicy 60-ciolecia rewolucji październikowej, do której władze PRL nerwowo się przygotowują.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

11-8-77

W Monachium odbyła się konferencja prasowa, poświęcona twórczości Włodzimierza Odojewskiego. Znany krytyk szwajcarski, François Bondy, przedstawił niemieckim dziennikarzom i krytykom literackim nowowydaną w przekładzie niemieckim powieść W. Odojewskiego „Zasypie wszystko, zawieje...”.

21-8-77

Rząd szwedzki rozszerzył strefę wyłącznych połowów na Bałtyku — biec ona będzie linią środkową między wyspą Gotlandią a Wybrzeżem Bałtyckim Związku Sowieckiego. Decyzja ta wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1978 r.

30-8-77

Zmarł w Londynie wybitny działacz ukraiński Hryhorij Drabat, redaktor naczelny miesięcznika *Wyzwolnyj Szlach*.

1-9-77

*Wydział Humanistyczny PUNO*. Senat Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie mianował profesorami PUNO: dr. Leopolda Kielanowskiego (Londyn) — hist. literatury polskiej, dr. Andrzeja Żaki (Zurych) — archeologia prehistoryczna, dr. Jerzego Lerskiego (San Francisco) — hist. nowoczesna, doc. dr. Antoniego Michaleka (Londyn) — hist. nowożytna. W ubiegłym semestrze dyplomy uzyskali: doktorat — Alicja Moskal (Londyn) na podstawie pracy: „Walka o autentyzm w polskiej poezji międzywojennej w świetle zależności od wpływów obcych i rodzimych” (prof. J. Bujnowski i prof. A. Blum). Magisteria: M. Maćkowska (Londyn) — praca — „Królewscy ziem ruskich Rzplitej na podstawie lustracji w XVI-tym i XVII-tym wieku” (prof. J. Jasnowski i prof. A. Blum); Leszek Szymański (Stevens Point, USA) praca — „K. Pułaski in America” (prof. A. Michalek i prof. T. Terlecki). Ponadto pracę magisterską z wynikiem pomyślnym przedstawił A. Zalewski (Kopenhaga) — „Teatr Żeromskiego” (prof. J. Bujnowski i prof. J. Pilatowa). ■ Powołano do życia Polską Fundację Kulturalną w Rapperswilu. Celem Fundacji jest opieka nad Muzeum Polskim w Rapperswilu. Do władz Fundacji wchodzi trzech delegatów Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu oraz po jednym delegacie z Towarzystwa Kościuszkowskiego w Solurze, Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, Polskiego Instytutu i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, Polskiej Misji Katolickiej w Szwajcarii, Rady Gminnej i Rady Miejskiej Rapperswilu. ■ W *Diaro de Noticias* ukazał się przekład „Bankietu” Gombrowicza na język portugalski. ■ Przewodniczący Związku Studentów Uniwersytetu Sztokholmskiego, Mats Hedberg i jego zastępca Bo Raattamaa, udzielili — po powrocie z Polski wywiadu prasie sztokholmskiej, przy czym oświadczyli, że Związek Studentów postanowił przy uiszczeniu na jesieni bież. roku półrocznych opłat uniwersyteckich przeznaczyć pewną sumę na poparcie ruchów demokratycznych w Polsce: „Nasza pomoc — powiedzieli — w pierwszym rzędzie będzie udzielona KOR'owi. Studenci w Polsce sądzą, że moralne poparcie Zachodu może wpłynąć na władze w Polsce. W Krakowie został utworzony Komitet Solidarności celem popierania prześladowanych studentów i obrony praw człowieka. Odwiedziliśmy ten Komitet w czasie jego posiedzenia. Oddziały

tego Komitetu tworzą się we wszystkich miastach uniwersyteckich. Studenci szukają alternatywy dla obecnego socjalistycznego związku studenckiego, całkowicie podporządkowanego partii. Wielu profesorów popiera tę akcję w Polsce. My mamy w Sztokholmie 32.000 studentów. Uważamy, że nie tylko pomoc materialna ale także poparcie moralne jest ważne dla walki studentów polskich o demokrację”. ■ 37-letni Białorusin, Wasyli Sosnowski, który 26 maja br. porwał samolot pasażerski na Łotwie i skierował go do Szwecji, został skazany przez sąd szwedzki na 4 lata więzienia. ■ Dwie Szwedki, Anneli Koppel i Elżbieta Lie, aresztowane w Warszawie za rozdawanie ulotek protestujących przeciwko okupacji Europy Wschodniej przez wojska sowieckie i domagających się poszanowania praw człowieka, zostały skazane na 60 dni aresztu z zamianą na grzywnę w wysokości 3.000 złotych. Obie odmówiły zapłacenia kary i zabroniły ambasadzie szwedzkiej wpłacenia za nie tej kwoty. Sprawa wywołała szeroki odgłos w Szwecji: w prasie i telewizji.

2-9-77

W Londynie zmarł, w wieku 69 lat, Stanisław Zadrozny, dziennikarz i pisarz. W czasie Powstania Warszawskiego był kierownikiem rozgłośni A.K. „Byskawica”. Po wojnie przez lat 20 był jednym z redaktorów Radio Free Europe a w ostatnich latach naczelnym redaktorem *Orla Białego* w Londynie.

7-9-77

W Buch, pod Monachium, zmarł, w wieku lat 80, Kajetan Czarkowski-Golejewski. W latach 1951-1961 pracował w dziale studiów Radio Free Europe w Monachium.

10-9-77

Powstały w grudniu 1976 w Zurychu Hilfskomitee für die Verfolgten Arbeiter in Polen zebrał do chwili obecnej 50.000 fr. szw. Pieniądze te są przekazywane do Obywatelskiego Komitetu Zbiórki w Londynie.

13-9-77

Zmarł w Anglii, w wieku 95 lat, Leopold Stokowski, wybitny dyrygent o światowej sławie.

17-9-77

Fundacja Kulturalno-Społeczna Juliana Godlewskiego przyznała nagrodę za 1977 rok Tadeuszowi Nowakowskiemu za całokształt twórczości literackiej.

23-9-77

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Ryszarda Krynickiego, wybitnego poety młodego pokolenia oraz pisarza Jerzego Krzysztonia.

30-9-77

Kardynał Josif Slipyj obchodzi 60-lecie święceń kapłańskich i 85-lecie urodzin. W uroczystościach bierze udział około 2 tysięcy duchownych i świeckich działaczy ukraińskich ze wszystkich kontynentów. ■ W Rzymie rozpoczął się światowy Synod biskupów. Obrady poświęcone są problematyce katechizacji. Na czele delegacji polskiej stoi kardynał Karol Wojtyła.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

2. 9 br. zmarł w Los Angeles, California, Henryk Wars, przed wojną popularny kompozytor w Warszawie, w czasie wojny kierownik muzyczny „Polskiej Parady” w Drugim Korpusie. ■ 30. 6. br., w czasie VI-go Kongresu Międzynarodowego Towarzystwa Trombozy i Hemostazy, wygłoszono wykład dr. Th. Spaeld z Albert Einstein College of Medicine w Nowym Jorku ku czci prof. Edwarda Kowalskiego z Warszawy w 10-tą rocznicę jego śmierci. Wprowadzenie do wykładu wygłosił dr Stefan Niewiarowski. Prof. Kowalski był wybitnym biochemikiem i jego prace z zakresu krzepliwości krwi, hemostazy i choroby popromiennej są szeroko znane w Europie i w USA. ■ 18. 8. br. Światowa Federacja Żydów Polskich w Stanach Zjednoczonych wystosowała do Rządu PRL memoriał z żądaniem odszkodowania za mienie Gmin żydowskich w Polsce. ■ 11. 9. br. w International Center miasta Indianapolis odbyło się sympozjum na temat „Polska gospodarka na tle współpracy ekonomicznej z Zachodem”. Zorganizowane ono zostało dzięki staraniom i pomocy Krajowej Fundacji Humanistycznej, Komitetu Humanistycznego Stanu Indiana oraz Junior League i International Center miasta Indianapolis, a wzięło w nim udział nadspodziewanie dużo okolicznych mieszkańców (wielu pochodzenia polskiego) oraz grupa specjalistów. Przewodniczył sympozjum Tomasz Fedor, profesor geografii politycznej w Indiana University — Purdue University (Indianapolis). Referaty wygłosili: Romuald Kudliński, profesor ekonomii politycznej Uniwersytetu Warszawskiego, goszczący w Indiana University-Bloomington) — „Strategia gospodarza a handel zagraniczny z polskiej perspektywy”; Paul Marer, profesor handlu zagranicznego w Indiana University (Bloomington) i wybitny specjalista w zakresie handlu ze Wschodem — „Amerykańsko-polskie stosunki handlowe: osiągnięcia, problemy i perspektywy”; Harry DePledge, dyrektor Departamentu Kontraktów Międzynarodowych w Switzer Engineering Components-Wallace Murray Corp. — „Handel z Polską: refleksje osobiste i doświadczenia”; oraz Włodzimierz Rozenbaum, wykładowca nauk politycznych w Indiana University-Purdue University (Indianapolis) — „Polityczne aspekty handlu z Polską”.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA

W ramach tegorocznego Tygodnia Narodów Ujarmionych (17-24 lipca) odprawione zostały w Melbourne uroczyste nabożeństwo ekumeniczne w katolickiej katedrze pod wezwaniem św. Patryka, zorganizowano wystawę eksponatów związanych z kulturą Narodów Ujarmionych w Town Hall oraz występy artystyczne zespołów regionalnych różnych krajów. Polskie reprezentacje brały udział we wszystkich uroczystościach i imprezach. W tym samym czasie w jednej z melbournskich szkół średnich — Templestone High School — młoda nauczycielka tej szkoły, p. Joanna Czoehrska, z własnej inicjatywy zorganizowała Tydzień Polski. ■ W Sydney zmarł nagle 29. 7. br., w wieku lat 61, mecenas Aleksander Iwczenko, wybitny działacz polonijny, były długoletni wiceprezes i skarbnik Związku Polskiego w Nowej Południowej Walii i sekretarz generalny Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii oraz członek Australian Committee for Human Rights. ■ Po zlikwidowaniu w lipcu br. melbournskiej rozgłośni 3ZZ, z której nadawana była m.in. polska audycja radiowa, cotygodniowe audycje w języku polskim nadawane są z rozgłośni państwowej 3EA (Ethnic Australia).

Audycje polskie nadawane są właściwie dwa razy z tym, że oryginalna audycja, nadawana obecnie w soboty, jest retransmitowana w poniedziałek następnego tygodnia. Koordynatorem polskich audycji, przygotowywanych przez kilkunastoosobowy zespół, pracujący darmowo, jest p. Zdzisław Drzymulski. ■ 30. 7. br. Polacy zrzeszeni w Stowarzyszeniu Polaków w Queensland „Polonia” wybrali nowe władze swej organizacji. Na czele piętnastoosobowego zarządu stanął F. Rutyna, zaś sekretarzem został C. Zawada. ■ Według danych ogłoszonych niedawno przez Australian Bureau of Statistics emigranci pochodzący z krajów anglosaskich zarabiają przeciętnie znacznie więcej niż pracownicy urodzeni w Australii i w innych krajach. Najmniej płatni są emigranci z krajów śródziemnomorskich, z których większość pracuje jako robotnicy przemysłowi, zarabiając przeciętnie 145 dolarów tygodniowo. Pracownicy pochodzący z Nowej Zelandii, USA, Kanady i Południowej Afryki zarabiają przeciętnie 177 dolarów tygodniowo, zaś pracownicy urodzeni w Australii — 159 dolarów tygodniowo. Pod względem wieku najlepiej płatni są pracownicy liczący od 25 do 34 lat; według statystyk zarabiają oni przeciętnie 173 dolary tygodniowo.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

## KRONIKA KANADYJSKA

11. 7. 1977 zmarł w Toronto, w wieku 75 lat, Antoni Malatyński, publicysta i działacz społeczny, przez kilka lat prezes KPK okręg-Toronto, członek władz naczelnych SPK, Związku Narodowego Polskiego, Związku Ziemi Wschodnich, Stowarzyszenia b. Więźniów Politycznych (kacetowców) i współpracownik *Głosu Polskiego*. Zwłoki przewieziono do Warszawy. ■ Największa ilość dzieci uczęszczała w ub. roku do szkoły przy parafii św. Kazimierza w Toronto na lekcje języka polskiego. Zarejestrowano w tej szkole 451 dzieci nie znających w ogóle języka polskiego. Podobne klasy prowadzone są również w innych szkołkach polskich. ■ Izba Gmin w Ottawie uchwaliła w końcu lipca br. projekt nowej ustawy imigracyjnej, która — po raz pierwszy w Kanadzie — ustanawia system kwot. Ilość wiz imigracyjnych wahać się będzie w granicach 1 % ludności, w zależności od sytuacji gospodarczej. Selekcja ma być bardzo ścisła, będzie się badać przydatność każdego aplikanta. Urzędnicy imigracyjni będą mieli prawo niewpuszczania osób posiadających już wizy w wypadku gdyby uznali, że osoby te mogą prowadzić działalność terrorystyczną, wywrotową lub kryminalną. Ustawa przewiduje również możliwość deportacji imigrantów, których działalność zostanie uznana za szkodliwą. ■ Druga kolejna dotacja na potrzeby katedry literatury polskiej na uniwersytecie w Toronto w wysokości 10.000 dolarów została wpłacona władzom uniwersyteckim przez pp. W. Gertlera i T. Barankiewicza — prezesa KPK i prezesa Funduszu Wiczyzostego. Taką samą sumę wpłacono w ub. roku. Przedstawiciele Polonii zobowiązali się do takich dotacji przez 5 lat. Lista tegorocznych ofiarodawców jest następująca: Zarząd Gł. KPK — dol. 1.000,00, Fundacja im. A. Mickiewicza — dol. 1.000,00, Credit Union parafii św. Stanisława i św. Kazimierza — dol. 1.000,00; Ryszard Piątkowski — dol. 1.000,00; nium — dol. 4.000,00. Po raz pierwszy na liście znajduje się indywidualny ofiarodawca — inż. Ryszard Piątkowski, który wspiera różne dobre cele. ■ 10. 9. br. została otwarta w Montrealu wystawa obrazów Tadeusza Ciesiułewicza. ■ W sobotę 27 sierpnia weszła w życie w prowincji Quebec nowa ustawa językowa. Ustanawia ona język francuski jako jedyny oficjalny we wszystkich urzędach, w miejscach pracy, w sądownictwie i szkolnictwie. Przewiduje oczywiście pewne odchylenia, jednakże nie mają one zasad-

niczego znaczenia: nie zmieniają istoty ustawy. Jeśli chodzi o szkolnictwo to ustawa ta pozbawia rodziców prawa wyboru szkoły z angielskim językiem wykładowym. Z nowym rokiem szkolnym tylko dzieci rodziców, obywateli kanadyjskich, którzy uczęszczali do szkoły z angielskim językiem wykładowym, będą mogli kierować do takich szkół swoje dzieci. Dzieci nowo przybywających imigrantów, obojętnie z jakiego kraju, muszą posyłać dzieci do szkół francuskojęzycznych. Ustawa ta — zdaniem oficjalnych czynników federalnych — narusza podstawowe prawa obywatelskie. Jest więc wysoce prawdopodobne, iż rząd federalny zwróci się do Sądu Najwyższego skarżąc rząd prowincji Quebec o wprowadzenie antykonstytucyjnej ustawy. Jeśli do tego dojdzie — będzie to pierwsza konfrontacja o ogromnym znaczeniu.

Jednocześnie z uchwaleniem ustawy językowej rząd separatystyczny Partii Quebecois złożył w Zgromadzeniu Narodowym „Białą Księgę”, w której przedstawił zarys planu przeprowadzenia plebiscytu w sprawie niezawisłości Quebecu. ■ W dniach 22-26 sierpnia br. odbył się w Toronto VI-ty Międzynarodowy Kongres Stowarzyszenia Hispanologów. Obrady toczyły się na University of Toronto. W konferencji uczestniczyło około 400 profesorów wyższych uczelni z całego świata. Zabrakło jednak profesorów z Polski podczas gdy byli przedstawiciele z Węgier, Czechosłowacji i z ZSSR. Byli natomiast Polacy z innych państw, a mianowicie Henryk Ziomek z USA i Florian Śmieja z Kanady. Obaj wygłosili referaty.

B. H.

## Z OSTATNIEJ CHWILI

Pierwszy numer *Zapisu* został odbity w kraju w nakładzie 360 plus 40 egzemplarzy przez „Nieocenzurowaną Oficynę Wydawniczą”. Tom był wydany w sztywnej okładce. Jest to niewątpliwie rekord samizdatu. ■ W sferach katolickich w Polsce wywołuje zdziwienie zaangażowanie się Zakonu Kapucynów w popieraniu roboty pośła Zabłockiego. W klasztorze kapucynów w Zakrocymiu odbywają się kursy „pracy twórczej” ODISS’u, a w Lublinie klasztor przyciąga Polski Klub Inteligencji Katolickiej pośła prof. Bendera.

## Listy do Redakcji

Wiedeń, dnia 10 września 1977 r.

Wielce Czcigodny Panie Redaktorze!

W ostatnim numerze 9/360 *Kultury* z września 1977 — str. 146/147 — opublikowany jest list p. Ignacego I. Kotlarskiego, w którym sugeruje on publikowanie danych adresowych o Komitecie Emigracyjnym i „otwarcie ośrodka informacyjnego dla Polaków z Polski”, gdyż szerokim kołom, i jemu osobiście, dane te nie są znane i dostępne. W związku z tym podaje że:

Na terenie USA działa Centrala Komitetu opieki i pomocy uchodźcom z Polski, której Prezesem jest ks. prałat John Karpinski a Dyrektorem Wykonawczym Francis J. Proch — 17 Irving Place, New York, N.Y. 10003 — tel.: 254-2240.

Członkami Komitetu Honorowego są tak znane osobistości, jak: pp. prof. dr Zbigniew Brzeziński, Prezes KPA Al. A. Mazewski, Ignacy Morawski, Joseph L. Osajda, Walter Zachariasiewicz, Helen Zielińska.

Struktura organizacyjna Komitetu na terenie Europy jest następująca: Dyrektor na Europę — Stanisław Wujastyk, — 8, München 2. NRF — Augustenstr. 46/III — tel.: (06089) 525445.

Delegat na Austrię — Andrzej Balko, — 1010 Wien, Postg. 14/2 — tel.: (0222) 63 65 23.

Delegat na Belgię — Stanisław Merło, — 1040 Bruxelles, — Rue Gerard 25 — tel.: 36 77 25.

Delegat na Francję — Jerzy Żłobnicki, — 75017 Paris, — 20 rue Legendre — tel.: 924 00 45.

Delegat na Włochy — Witold Zahorski — Roma, — Via Licia 19 int. 9 — tel.: 7576592 i 7567241.

Jest rzeczą zrozumiałą, że każdy z podanych adresów służy Rodakom jako „ośrodek informacyjny”, którego otwarcie p. Ignacy I. Kotlarski uważa za „jedną z najważniejszych spraw”.

Byłbym wdzięczny, gdyby Pan zechciał udostępnić powyższe dane ogółowi zainteresowanych i z góry dziękując — załączam wyrazy prawdziwego szacunku i poważania oraz najlepsze życzenia,

A. BALKO

Hollywood, Floryda, 5 września 1977.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Całkowicie podzielam uczucie niesmaku E. Żagiella, wywołane „niefortunną” mapą, zamieszczoną w „poważnej książce” *The Violations of Human Rights in Soviet Occupied Lithuania. A Report for 1976*, opracowaną i wydaną przez „The Lithuanian-American Community”. W swojej na ogół przychylniej recenzji tego wydawnictwa (*Kultura* nr 7/358-8/359, str. 230-231) E. Żagiell informuje, że nie dość iż na tamtej mapie nie tylko Grodno i Lida, należące do republiki białoruskiej, Suwałki, należące do PRL, że całe dawne Prusy Wschodnie (obecny okręg kaliningradzki, włączony do RSFSR, i część tychże Prus przydzielona Polsce, figurująca pod nazwą „Mała Litwa”) należą do Litwy, ale w dodatku Litwa ma wspólną granicę z Niemcami, gdyż obszar polskiego Pomorza od Szczecina aż po okręg kaliningradzki, a więc z Gdynią i Gdańskiem, jest oznaczony napisem „Under Polish Administration”. Taką czy podobną litewską mapę widziałem po wojnie w Niemczech. Uderzyło mnie wówczas, że Grodno (na mapie figurowało jako Gardinas), Lida i Oszmiana (Ašmena) znajdują się w granicach Litwy. Pomyślałem sobie wówczas, że miasta te Litwini włączyli chyba na tej podstawie, że kiedyś należały one do Litwy historycznej. Należałoby wtedy uznać roszczenia litewskie jako raczej skromne. Bo dlaczego np. nie zostały włączone na tej samej podstawie również takie miasta jak Brześć Litewski, stolica Białorusi Mińsk, który również nazywano w przeszłości Litewskim, Połock, Witebsk, Mohylów, Homel i Smoleńsk, słowem cała Białoruś. Okazuje się jednak, że Litwini uważają iż Grodno, Lida i Oszmiana są nie tylko historycznie lecz również etnicznie litewskimi miastami. Jeśli chodzi o okręg kaliningradzki, który był w odległej historycznej przeszłości zamieszkały przez niegermańskich Prusów, wytopionych lub zgermanizowanych przez niemieckich Krzyżaków, graniczący z republiką litewską, to on „aż się prosi” by go przyłączyć do niej, a nie do odległej republiki rosyjskiej (RSFSR). Ale nie Grodno, Lida i Oszmiana, których „przywrócenia” Litwie „domagają się” autorzy deklaracji litewskiego Narodowego Frontu Ludowego” jako „etnicznie” litewskich, a w których w rzeczywistości nikt i w biały dzień ze świecą żadnego Litwina nie znajdzie. Nie żadne tam „etnicznie litewskie ziemie” zostały włączone do Sowietkiej Republiki Białoruskiej, jak twierdzą autorzy wspomnianej deklaracji, lecz wręcz odwrotnie: bolszewicy po „wyzwoleniu” Zachodniej Białorusi w 1939 roku oddali Litwie wraz z Wilnem spory kawał etnicznie białoruskiej Wileńszczyzny („gorod Wilnius i Wilenskuju obłast”), jak pisały wówczas sowieckie gazety). Ludność przyłączonych terenów języka litewskiego nie znała i nie rozumiała. Administracyjne władze litewskie i policję to irytowało. Toteż nierzadko przyjeżdżająca policja litewska wyładowywała swą złość na miejscowych chłopach białoruskich. Wspominając 9-miesięczny okres rządów litewskich, chłopci z okolic Szumska i Kieny (północno-zachodnia część Oszmiańszczyzny) mówili: „Dobra jany (tzn. Litwini — W.B.) nam zalili smąły za skuru” (Dobrze nam zalali sadła za skórę). Później, w czasie okupacji niemieckiej, Litwini prosili okupantów o przyłączenie do generalnego komisariatu Litwy dalej na wschód położonych terenów białoruskich. Zostały przyłączone wówczas Oszmiana, Krewa, Holszany, Ostrowiec, Świr i Smorgonie. O zgodę przyłączanej ludności Niemcy, podobnie jak poprzednio bolszewicy, oczywiście się nie pytali. Zezwolili jedynie na zachowanie białoruskiego szkolnictwa na tamtych terenach.

Oczywiście nikt nie może zabronić nikomu zabawiać się w wytyczanie dowolnych granic, ale nie myślę, że zamieszczając rewizjonistyczno-imperia-

listyczną mapę w swoim wydawnictwie Litwini przysporzą sobie przyjaciół wśród swoich najbliższych sąsiadów.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i prawdziwego poważania,

Włodzimierz BRYLEWSKI

Am Brunnen, 11 września 1977.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie donoszę, że mój ziomek ks. biskup opolski, prof. dr Alfons Nossol ani nie urodził się w roku 1922, ani też nie jest pierwszym autochtonem, który otrzymał sakrę biskupią. Otóż ks. biskup urodził się w Broźcu (dawniej Brosehütz) pow. Prudnik (Neustadt), tj. niedaleko od mojego miasta rodzinnego, Głogówka, w roku 1932. Natomiast pierwszym autochtonem, który otrzymał sakrę biskupią w PRL jest sufragan ks. Wacław Wycisk, urodzony w roku 1912 w Olbrachcicach (Olbersdorf) także w „moim” powiecie, czyli w prudnickim. Sakrę biskupią otrzymał już w roku 1959.

Szczerze przyznaję, że byłem zdziwiony, iż notatkę o sakrze nowego członka Episkopatu Polskiego znalazłem nie w „Wydarzeniach Miesiąca” lecz w „Kronice niemieckiej”.

Łączę wyrazy szacunku,

mgr Joachim Georg GÖRLICH

New York, 19 sierpnia 1977.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę nie odmówić wydrukowania w Pańskim poczytnym piśmie następującego sprostowania.

W numerze 5/356 w pracy p. J. Łobodowskiego pt. „Dzieje osiemnastowiecznego”, str. 81, mieści się wzmianka o mnie o takim brzmieniu:

„Nie wiedziałem, że Kosacz zdezerterował z polskiego wojska i dostał się nielegalnie do Paryża. Wojewoda Józewski mi powiada: ...Przy moim poparciu pan drukuje wiersze dezertera”.

Niestety i p. Łobodowski i p. Józewski mylili się albo byli ofiarami dezinformacji.

„Dezertorem z polskiego wojska” nie byłem, bo nigdy w polskim wojsku nie służyłem, a to z tej prostej przyczyny, że nie byłem nigdy obywatelem Rzeczypospolitej. Byliśmy „beźpaństwowcami”, tak ja, jak i mój ojciec Mikołaj Kosacz, który urodził się w Kodeźnie powiatu Kowelskiego na Wołyniu, żył tam prawie całe swoje życie i miał majątek ziemski. To samo stosowało się do mojej matki i do mnie. O nadanie obywatelstwa mój ojciec i ja nie ubiegaliśmy się ze względów pryncypialnych.

W 1930 roku, kiedy nawet „beźpaństwowcy”, mieszkańcy Polski, mieli się zgłaszać do poboru, zarówno ja, jak i rówieśnicy mego rocznika (1909) zgłosiliśmy się w Warszawie do komisji poborowej (kategoria A, kawaleria), lecz powołania do służby czynnej nie otrzymywałem, będąc studentem Uniwersytetu Warszawskiego, a także prawdopodobnie ze względu na po-



wody polityczne. W jesieni 1930 roku byłem aresztowany i osadzony na Pawiaku w Warszawie jako podejrzany o przynależność do UWU i OUN, co jednak nie odpowiadało rzeczywistości. Na Pawiaku przesiedziałem do 1932 roku i byłem zwolniony za kaucją, jednak po miesiącu ponownie aresztowany i przetransportowany do więzienia w Łucku, gdzie dołączono do mnie 9 innych Ukraińców z m. Kowla pod zarzutem przynależności do OUN. Odbił się w roku 1933 sąd, który zaliczywszy nam śledztwo zwolnił nas. Jednak prokurator, uważając że wyrok był zbyt łagodny, apelował. Mnie podwyższono karę do 4 lat, jako pierwszemu oskarżonemu. Gdy mec. Samijło Pidhirski zatelefonował nam z Lublina o podniesieniu wyroku przez Sąd Apelacyjny, ja i kolega z procesu, Włodzimierz Markiewicz (obecnie w Argentynie) bezzwłocznie udaliśmy się do Lwowa, gdzie po miesiącu nielegalnego pobytu, Wł. Markiewicz jako karny członek OUN, z rozkazu organizacji poszedł odsiadywać karę, także zwiększoną (do 3 lat), a ja przekroczyłem granicę koło Cieszyna i emigrowałem do Pragi czeskiej, a stąd, na początku 1934 roku, do Paryża. Lecz nie „NIELEGALNIE”, a na podstawie wizy wjazdowej, wydanej przez władze francuskie, które też mnie jako politycznemu emigrantowi nadały prawo stałego pobytu we Francji.

Otóż o żadnej „dezercji z polskiego wojska” w świetle tych faktów mowy być nie może. Najwyżej chyba może być mowa o „dezercji” z więzienia, lub „spod więziennej bramy”, jak to było w moim wypadku, kiedy po trzech latach siedzenia (1930-1933) tego więzienia miałem dosyć. Jednak nie wiem i nie słyszałem nigdy o tym, żeby więzień, zwłaszcza polityczny, nie miał prawa do ucieczki z więzienia czy spod wyroku i żeby to się uważało za „dezercję”.

Dziękuję Panu Redaktorowi za uwagę dla wyżej wymienionej sprawy, która może obiektywnie błaha i zbyt osobista — dla mnie jest pryncypialnie ważna.

Będę wdzięczny za wydrukowanie.

Z głębokim szacunkiem,

Jurij KOSACZ

Kopenhaga, 7 września 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Prosimy bardzo o zamieszczenie w najbliższym numerze *Kultury* następującej notatki:

#### NOWY TRYBUNAŁ SACHAROWA — W RZYMIE

Po zakończeniu Trybunału Sacharowa w Parlamencie Danii (17-19 października 1975) r.) rosyjski fizyk atomowy Andriej Sacharow wyraził zgodę na używanie jego nazwiska do organizowania następnych trybunałów w celu zwrócenia uwagi opinii publicznej Zachodu na fakty łamania praw człowieka w Europie Wschodniej.

Następny Trybunał Sacharowa odbędzie się w EUR Palazzo dei Congressi w Rzymie w dniach 25, 26 i 27 listopada 1977 roku i rozpatrzy fakty łamania praw człowieka w Polsce, Czechosłowacji, Niemczech Wschodnich, ZSSR i innych krajach Europy Wschodniej.

Trybunał koncentruje uwagę na następujących problemach:

1. prześladowania typu ideologicznego,
2. prześladowania o charakterze ekonomicznym i socjalnym,
3. prześladowanie religii.

Prof. A. Sacharow wyraził życzenie, aby świadkowie zeznający przed Trybunałem w Rzymie trzymali się wyłącznie faktów wiarygodnych i aby zeznania pochodziły z pierwszej ręki.

Ewentualnych świadków — zarówno spoza granic Polski, jak i z samej Polski — prosimy o skontaktowanie się z Komitetem Sacharowa w Danii:

THE SAKHAROV HEARING COMMITTEE  
P.O. Box 1035  
DK — 1007 KØBENHAVN K  
DANIA.

London, Ontario, 5 sierpnia 1977.

Szanowny Panie Redaktorze!

W kwietniu br. byłem na Kubie i dlatego z ciekawością czytałem artykuł na jej temat w czerwcowej *Kulturze* (Lucjan Perzanowski, „Fenomen kubański”). Rozczarowały mnie te skąpe strony, bo niewiele miał autor do zakomunikowania czytelnikowi oprócz różnych pretensji do niezorientowanych Amerykanów i przytyków pod adresem Kuby postugując się językiem mało licującym z poważnym periodykiem.

Sądzę, że bez względu na to, jak na „fenomen kubański” spojrzymy, powinniśmy sobie zadać więcej trudu, aby zdobyć rzetelną, bogatą i wszechstronną informację. Jeżeli autor na Kubie był, powinien był podzielić się z nami swoimi obserwacjami, rozmowami i odkryciami. Nie chcąc wchodzić w polemikę i pozostawiając *meritum* sprawy pilniejszemu obserwatorowi i znawcy Kuby pragnę nadmienić, że Fidel Castro nadal cieszy się wielkim miernem wśród swoich rodaków. Z ekonomią na pewno nie jest na Kubie dobrze, ale statystyka tu niewiele nam powie. Bo cóż z tego, jeżeli dochód na głowę nie jest istotnie wyższy niż w „piszczącej z głodu Gwatemali”. Dla biednych warstw ważne jest, że taka właśnie skrajna nędza została na Kubie zlikwidowana, że rewolucja przyniosła pełne zatrudnienie, zabezpieczyła dach nad głową, opiekę lekarską i bezpłatną szkołę. Ponadto zniosła prostytucję, kasyna gry i inne cechy wesołego miasteczka dla amerykańskich turystów, uporała się z segregacją rasową i potomkom niewolników dała godność i dumę. (Wielu Kubańczyków, którzy zresztą bardzo lubią amerykański styl życia i przepadają za jazzem, basse-ballem, koszykówką, coca-colą itp., czuje satysfakcję z zadziorności ich przywódcy, który nie uląkł się kolosa i nadal opiera się jego presji). To wszystko przeważna część narodu sobie ceni pomimo policji i blokowych komórek CDR (Komitet Obrony Rewolucji) i poglądów nie zmieni póty, póki nie stanie się zbyt widoczny rozbrat między piękną teorią a złą praktyką, jak długo nie będzie elity żyjącej inaczej od mas i o ile dorastające, wyszkolone pokolenie zdoła rozszerzyć swobody demokratyczne, których braku nie kwestionowała w sytuacji pogotowia i ostrej blokady.

Rzeczywiście, niemal wszystko jest na Kubie racjonowane. Myślę niemień, że jest bardziej sprawiedliwe i ludzkie, jeżeli wszyscy się „biedą podziela”, jak żartują Kubańczycy. Przynajmniej mają pracę i dostają ten sam przydział prowizji. Porównajmy to, nie z obywatelami sytych krajów, ale z losem takich np. Meksykańczyków. Ilu to nędzarzy widzi się wegetujących przed witrzynami wystawnych domów towarowych.

Odrapane budynki w Hawanie? Na Kubie buduje się przede wszystkim wieś. A zresztą nie wyglądała mi ta Hawana gorzej od Detroit czy Buffalo, gdy do nich wjechać z Kanady.

Czytelnicy *Kultury* zasługują na bardziej zasadniczy artykuł o Kubie, który nie będąc apologią reżymu, rzetelnie naświetli sytuację w przeddzień poważnych zmian stosunków amerykańsko-kubańskich.

Z poważaniem,

Florian SMIEJA

Paryż, 2 września 1977.

Drogi Panie Redaktorze,

W lutym br. przesłałem do redakcji ukraińskiego miesięcznika *Wisnyk* w Nowym Jorku sprostowanie nieścisłego i tendencyjnego streszczenia mojej rozmowy z Mileną Rudnicką, opowiedzianej przeze mnie w *Kulturze* po śmierci teje Rudnickiej.

Mimo upływu wielu miesięcy, *Wisnyk* nie uznał za stosowne wydrukować mego rzeczowego wyjaśnienia, tak jak tego wymagały dobre obyczaje prasowe.

W tym stanie rzeczy proszę Pana uprzejmie o wyręczenie banderowskiego organu i zamieszczenie tego sprostowania na łamach *Kultury*.

Łączę serdeczny uścisk dłoni,

Władysław ŻELEŃSKI

Władysław Żeleński  
19 bd de la Somme  
75017 Paris

14 lutego 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

W październikowym numerze *Wisnyka*, udostępnionym mi przez p. Jerzego Giedroycia, znalazłem artykuł, który podaje w wątpliwość przytoczoną przeze mnie w nr. 345 *Kultury* wypowiedź b. posłanki na Sejm polski, Mileny Rudnickiej, potępiającą ukraińskich współsprawców masakry profesorów lwowskich w lipcu 1941 roku. Autor artykułu, podpisany inicjałami Ia. G. dziwi się, że wybrałem sobie dla dochodzeń w sprawie zabójstwa profesorów Milenę Rudnicką w tym czasie, gdy przebywała w szpitalu wskutek ciężkiego wypadku samochodowego i dodaje złośliwie, że można sobie wyobrazić przebieg tej rozmowy, skoro p. Milena znana była ze swego złego słuchu, który na pewno musiał się jeszcze pogorszyć.

W związku z powyższym pragnę z naciskiem sprostować, że rozmowę tę odbyłem z Mileną Rudnicką bynajmniej nie w okresie, gdy przebywała w szpitalu, lecz telefonując do niej do mieszkania, na wiele miesięcy przed jej wypadkiem samochodowym. W *Kulturze* podałem nawet dokładną datę tej rozmowy: 29 marca 1975 roku, wypadek zaś, jak wiadomo, miał miejsce zaledwie na parę miesięcy przed jej śmiercią, która nastąpiła dn. 28 marca 1976 roku.

O tym, że Rudnicka miała trudności ze słuchem uprzedzono mnie dodając, że właśnie z tej przyczyny nie przyjmuje wizyt i tylko odbywa rozmowy telefoniczne, które prowadzi całkiem swobodnie. Istotnie długa wymiana

zdań odbyła się bez żadnych trudności, ani razu nie musiałem słów powtarzać czy głoś natężyć i jestem pewny, że żadnego nieporozumienia w rozmowie nie było.

Wszelako jeszcze ważniejszy i rozstrzygający jest fakt, zupełnie pominięty przez *Wisnyk*, mianowicie, że po wspomnianym telefonie nastąpiła między mną i Rudnicką wymiana listów (w której trudności słuchowe chyba nie odegrały roli!) i że w liście swym z dn. 8 kwietnia 1975, przytoczonym wszak *in extenso* w *Kulturze*, Rudnicka w odpowiedzi na mój list powtórzyła potępienie, jakie wyraziła przez telefon: „Cerkiew powinna rzucić klątwę na tych Ukraińców, którzy w jakiegokolwiek mierze brali udział w mordzie. Nie mam żadnych iluzji. Nic nie zrobią a jednak trzeba krzyżeć...”. Słowa te są wprawdzie przez *Wisnyk* streszczone, ale w takim kontekście, jakby były wypowiedziane tylko ustnie przez (wątpliwego znaczenia) telefon, a nie napisane, czarno na białym, po polsku, w własnoręcznym liście.

Przyzna Pan więc chyba, że artykuł Ia. G. nie przedstawił rzeczy ściśle i lojalnie?

Milena Rudnicka wyraziła swą opinię po raz wtóry jeszcze, 9 miesięcy później, przy sposobności życzeń noworocznych, przysyłanych mi na rok 1976. Ten drugi list, a raczej kartę życzeniową, zachowałem oddzielnie, w paczce życzeń świątecznych, którą przejrzałem dopiero niedawno, i dlatego przez zapomnienie nie zacytowałem go w moim wspomnieniu, wydrukowanym w *Kulturze*. Oto on:

„1. I. 1976.  
Serdecznie dziękuję za łaskawą pamięć. Dobrego, zdrowego, pomysłowego roku życzę Wielce Szanownemu Panu. Trzeba w tym roku zdemaskować łotrów (moich rodaków), którzy byli pomocnikami morderców.

Milena Rudnicka”.

Tak więc świadome ustosunkowanie się Mileny Rudnickiej, w pełni jej zdrowia i władz umysłowych, do udziału Ukraińców w mordzie profesorów lwowskich nie może być kwestionowane.

Ale autor artykułu nie poprzestaje na próbie podważenia wypowiedzi Rudnickiej, lecz usiłuje także dać własną wersję morderstwa popełnionego na profesorach. Tu już w pełni puszcza wodze fantazji. Sprawa miała się tak, powiada: Kiedy od wschodu zbliżali się bolszewicy a od zachodu Niemcy, lwowski arcybiskup Bilczewski zwołał polską elitę, m.in. profesorów, na naradę i wtedy prof. Bartel („ten którego Piłsudski kilkakrotnie mianował premierem, kiedy buntowali się pułkownicy”, sic!) powiedział, że Polacy powinni iść ręką w rękę z bolszewikami, bo Moskale to Słowianie. I otóż Niemcy zajęli Lwów szybciej niż bolszewicy, protokół tej narady znaleźli i uczestników jej, w protokole zapisanych, rozstrzelali. „Tak więc — konkluduje autor — polscy profesorowie zginęli przez własną nieostrożność, czego Milena Rudnicka nie wiedziała...”.

Opowieść ta jest aż rozbrajająco fałszywa. Arcybiskup Bilczewski zmarł już w roku 1923. Żadnej narady z udziałem później rozstrzelanych profesorów we wrześniu 1939 roku nie było. Niemcy wcale nie „zdążyli zająć Lwowa szybciej”, lecz — odwrotnie — czekali z tym prawie dwa lata, do wybuchu wojny przeciw Sowietaom w czerwcu 1941 roku. Słowem, jak mówi polskie porzekadło, gdzie Rzym, gdzie Krym?

Nie z własnej „nieostrożności” zginęli profesorowie. Zostali zamordowani, zapewne w ramach akcji wymierzonej przeciw inteligencji polskiej, z rozkazu wydanego przez hitlerowców przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej. Czym się powodowano przy wyborze ofiar, nie jest jeszcze wy-

jaśnione. W sporządzeniu listy czynni (czy też współczynni) byli „marni studenci ukraińscy”, jak to oświadczył prof. dr Karolinie Lanckorońskiej w roku 1942 oficer SS Walter Kutschmann. W aresztowaniu profesorów wzięli udział umundurowani Ukraińcy, o czym zgodnie zeznali różni świadkowie. Taka jest prawda oparta na wiarygodnych przekazach. Niestety ustala ona niezbitą fakt udziału Ukraińców w tragicznym mordzie polskich uczonych i usprawiedliwia ocenę wyrażoną przez Milenę Rudnicką. Proszę o zamieszczenie tego listu w imię zasady *audiatur et altera pars*.

Z poważaniem,

Władysław ŻELEŃSKI

Londyn, 10 września 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Po zapoznaniu się z notatką z daty 12 sierpnia br. w rubryce „Wydarzenia miesiąca, zachód — emigracja”, umieszczoną w *Kulturze* z września br., uprzejmie proszę o umieszczenie w najbliższym numerze *Kultury* uchwały, która zapadła na posiedzeniu Centralnego Komitetu PPS w Londynie, odbytym w dniu 5 września br.:

„W związku z ogłoszonym w *Jutrze Polski* komunikatem z posiedzenia Naczelnego Komitetu Wykonawczego Polskiego Stronnictwa Ludowego, odbytego w Londynie w dniu 12 sierpnia 1972 roku, Centralny Komitet PPS stwierdza, że nie było żadnej napaści prezesa Adama Ciołkosza na p. Franciszka Wilka, prezesa PSL, była natomiast w liście p. Franciszka Wilka z dnia 9 maja br., szeroko rozkolportowanym wśród Polaków w całym świecie — napaść na prezesa Adama Ciołkosza. Napaść ta była bezpodstawa i nosiła charakter w stosunku do PPS nieżyczliwy a nawet wrogi. W stanowiącym odpowiedź na tę napaść oświadczeniu z dnia 9 lipca br. prezes Adam Ciołkosz podkreślił, że oświadczenie jego nie kieruje się przeciwko Polskiemu Stronnictwu Ludowemu, nie kieruje się nawet przeciwko p. Franciszkowi Wilkowi, a jest tylko skorzystaniem z przysługującego prezesowi Ciołkoszowi naturalnego prawa do samoobrony.

W związku z tym Centralny Komitet PPS wyraża swą solidarność z prezesem Adamem Ciołkoszem, do którego żywi pełne zaufanie i któremu udziela niezmiennie swego całkowitego poparcia politycznego”.

Łączę wyrazy poważania,

Janusz ZAWADZKI  
sekretarz CK PPS

Waszyngton, 29 sierpnia 1977.

Drogi Panie Redaktorze!

Rozumiem skracanie komunikatów prasowych dla oszczędności miejsca. Ale skrócenie w Kronice Amerykańskiej *Kultury* z lipca-sierpnia 1977, str. 240, już skróconej nazwy A.C.E.N. (*Assembly of Captive European Nations*) o jedną literę, na A.C.N. idzie za daleko. Będę wdzięczny za ogłoszenie niniejszego sprostowania.

Ściskam dłoń,

Stefan KORBOŃSKI

## Dokumenty

### OPINIA Nr 5

1 września 1977

#### W NUMERZE

7 *Vox populi*

#### Z KALENDARZA POLAKA

- 11 *Wrzesień* — Wojciech Ziemiński.  
51 *W XXV-tą rocznicę Września* — ks. Jan Zieja.  
65 *Refleksje* — Stefan Kaczorowski.  
67 *Serial TV „Przed burzą”* — Zbigniew Narol.  
13 *Od przyjaciół Moskali.*

#### ROLNICTWO

- 17 *O równouprawnienie* — Memoriał M. Jagły.  
23 *Pauperyzacja wsi* — list Wandy Ferens.  
26 *W obronie wsi* — głos Episkopatu.  
34 *O reformę rolną* — Leszek Moczulski.

#### KULTURA

40 *Przyducha* — Jan Barczykowski.

#### JASNA GÓRA I OSTRA BRAMA

- 54 *Warszawska pielgrzymka pieszka.*  
55 *Uroczystości Wniebowzięcia NMP.*  
58 *Pielgrzymka żołnierzy AK.*  
57 *Brak wiz dla włoskich pielgrzymów.*  
56 *Jubileusz koronacji Ostrobramskiej Madonny* — ks. Witold Pietkun.  
57 *Matka Boska Ostrobramska na indeksie.*

#### SPRAWY MIĘDZYNARODOWE

- 46 *Odprężenie à la Giscard.*  
47 *Carter o stosunkach USA - ZSRR.*  
48 *W Wielkim Trójkącie* — Adam Wojciechowski.

#### DZIAŁANIA

- 68 *Praca PKI R. Obr.* — Bogumił Studziński.  
59 *Cele i działania Amnesty International.*

- 15 *Misja Amnesty International w Polsce.*  
15 *Apel Amnesty International.*

## POGLĄDY

- 42 *Badajmy ciszę — Cavis.*  
43 *Prawda w twarz — Marek Marian Skuza.*

## FAKTY

- 16 *Wszystko dla rolnictwa.*  
22 *Garść liczb o rolnictwie.*  
24 *Bary IV kategorii.*  
39 *Maria handlowa.*  
64 *Gorzowski program mieszkaniowy.*  
70 LISTY DO REDAKCJI.

PUNKTY KONSULTACYJNO-INFORMACYJNE  
RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA

## KATOWICE

ul. Mikołowska 30 m. 7, tel. 51-49-19  
czynny w czwartki godz. 18.00-20.00.

## LUBLIN

ul. Hutnicza 20 m. 5  
czynny w czwartki godz. 17.00-18.00.

## ŁÓDŹ

ul. Konstytucyjna 11 m. 1, tel. 86-857  
czynny w środy godz. 17.00-18.00.

## POZNAŃ

ul. Chełmińska 6 m. 3  
czynny w środy godz. 17.00-18.00.

## PRZEMYSŁ

ul. Przemysłowa 38 m. 3  
czynny w poniedziałki godz. 17.00-18.00.

## WARSZAWA

ul. Czerniakowska 34 m. 120 tel. 40-01-80  
czynny w poniedziałki, piątki godz. 16.30-18.30.

Redagują: Kazimierz JANUSZ, Leszek MOCZULSKI, Wojciech ZIEMBIŃSKI. Adres Redakcji: 00-714 Warszawa, ul. Czerniakowska 34 m. 120, tel. 40-01-80. Redakcja przyjmuje w poniedziałki i piątki godz. 17.00-18.00. Przedruk dozwolony z podaniem źródła. Numer, poza kolumnami Ostatnich Wiadomości, zamknięto 27 sierpnia 1977 roku.

— Wydawnictwo Polskie —

PISMO RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA

## VOX POPULI

Bez opinii publicznej nie ma zdrowego społeczeństwa. Normalnie znajduje ona wyraz w swobodnie głoszonych przekonaniach, upowszechnianych wszelkimi sposobami, zwłaszcza przez środki masowego przekazu. Ścierają się różne, często sprzeczne opinie, niekiedy niezasadnione, nieraz nawet oparte tylko na przesłankach emocjonalnych. Ale każda jest potrzebna. W dyskusji przepadają słabsze argumenty, obnażają swe słabości wątpliwe tezy, formuje się opinia wspólna — społeczna. *Vox populi*, który — jak głosi przysłowie — jest głosem Boga.

W PRL opinia publiczna jest chroma. Dzieje się tak z wielu przyczyn. Może najważniejszą jest dezinformująca funkcja rządowych środków masowego przekazu. Starają się one posiadać monopol dyrygowanej odgórnie, arbitralnej pseudoopinii publicznej, zmierzają do wpojenia obywatelom przekonania, że aktualna ekipa rządząca jest najlepsza ze wszystkich możliwych i prowadzi jedynie słuszną politykę; jeśli zaś zdarzają się jakieś niedociągnięcia, to ich przyczyną jest nienależyte wypełnianie obowiązków przez rządzących oraz niewłaściwe bądź niepełne realizowanie dyrektyw kierownictwa.

Cel, jaki postawiono rządowym środkiem masowego przekazu, państwowemu systemowi cenzury i innym narzędziom propagandy, daleki jest wprawdzie do osiągnięcia, ale na tej drodze rządząca partia osiąga pewne rezultaty. Utrzymując dezinformację społeczeństwa, blokując i uniemożliwiając autentyczne dyskusje, nie dopuszcza się do wytworzenia rzeczywistej, pełnej i nieskrępowanej opinii publicznej.

## O PRAWDZIwą OPINIĘ PUBLICZNĄ

Tymczasem jakkolwiek postęp w życiu publicznym, skuteczne i właściwe rozwiązywanie problemów społecznych, gospodarczych, kulturalnych czy politycznych wymaga istnienia autentycznej, nieskrępowanej opinii publicznej. Jest to konieczne dla narodu i państwa, ale także potrzebne władzy. Świadczą o tym wszystkie dowody, także zaczerpnięte z dziejów PRL. Brak autentycznej opinii publicznej pozwalał grzeszyć w błędy, co w następstwie prowadziło do eksplozji społecznych, takich jak w 1956 i w grudniu 1970. Gdy w następstwie tych eksplozji, które nie były niczym innym, jak gwałtownym ujawnieniem się rzeczywistej opinii publicznej, władza pozwalała obywatelom na głoszenie śmielszych poglądów i choćby po części uwzględniała zadania mas. Przynosiło to pewne rezultaty. Ponieważ jednak wyrażająca się normalnie, a nie w sposób gwałtowny, opinia publiczna była w poważnym stopniu ograniczana i nie naruszała pewnych tabu — skutki pozytywne były ograniczone i stosunkowo krótkotrwałe. Zaś coraz bardziej dławiona autentyczna opinia publiczna spychana była do podziemia, aby po jakimś czasie znów wybuchnąć i żywiołowo wyrazić się w gwałtownych działaniach mas.

Czas już najwyższy zrozumieć — jest to apel do wszystkich — że formowanie autentycznej opinii publicznej jest zadaniem pilniejszym od innych. A szczególnie pilnym dzisiaj, gdy w następstwie klęsk żywiołowych i nie-realistycznej polityki władz grozi gwałtowne pogorszenie warunków bytowania ogółu Polaków, co prowadzi do gwałtownego zaostrzenia społecznego konfliktu między rządzącymi a rządzonymi. W obliczu żywiołowych, niekontrolowanych reakcji społecznych, tym bardziej odczuwa się potrzebę istnienia zorganizowanej, autentycznej i niezależnej opinii publicznej.

Nie przypadkiem użyliśmy słowa zorganizowana. Rzecz nie polega na tym, aby ustawić poglądy w orydyku i komenderować dyskusją. Wręcz przeciwnie. Opinia musi być zorganizowana, to znaczy posiadać zorganizowaną możliwość upowszechniania każdego poglądu, każdego głosu, każdej informacji dobrej czy złej.

#### ZADANIA NIEZALEŻNEJ PRASY

Od roku już istnieje w Polsce niezależna prasa — właśnie we wrześniu 1976 ukazał się pierwszy numer „Biuletynu Informacyjnego” — pisma, które za swój cel uznało „przełamanie państwowego monopolu informacji obwarowanego przez istnienie cenzury”. W obecnej sytuacji, właśnie niezależnej prasie przypada zadanie organizowania i współtworzenia opinii publicznej w Polsce. Można to osiągnąć tylko przez konsekwentne stawianie wszystkich problemów, ujawnianie faktów, które władza pragnie ukryć przed społeczeństwem, otwieranie łamów dla jak najszerzej gamy wszelkich, najbardziej nawet kontrowersyjnych poglądów. Słowem — przez realizowanie przysługującego nam wszystkim prawa do wolności słowa.

Choć wiemy, że czynimy to bardzo niedoskonale, staramy się sprostać tym zadaniom. Kanonem OPINII jest udostępnianie łamów wszelkim poglądom niezależnym. Nie chcemy wydawać pisma, które będzie wyrażało poglądy tylko redaktorów. Nie chcemy, aby na naszych łamach znajdowały się tylko wewnętrznie spójne, zgodne z sobą tezy. Zależy nam na różnych stanowiskach, na dyskusji. Czytelnicy zauważyli zapewne, że np. w poprzednim, 4 numerze OPINII obok siebie znalazły się artykuły, z których jeden postulował strukturalną zmianę modelu gospodarki PRL, a drugi proponował poprawę istniejącego systemu; podobnie w tym numerze znajduje się głos uznający emerytury dla rolników za niezbędne — oraz głos, występujący przeciwko objęciu wsi systemem emerytur. Aby jeszcze bardziej poszerzyć gamę swobodnych wypowiedzi, od niniejszego numeru prowadzamy rubrykę POGŁĄDY — w której zmieści się każde, najbardziej nawet indywidualne przekonanie, oczywiście niezależnie od tego, czy redaktorzy uważają je za słuszne, czy też nie.

#### MATERIALNE PODSTAWY

Aby niezależna prasa mogła wypełniać przyjęte na siebie obowiązki we współtworzeniu autentycznej opinii publicznej w Polsce, koniecznym już staje się stworzenie jej pełniejszych podstaw. Nie chodzi tutaj tylko o likwidację cenzury. Żądamy tego — będziemy żądać, ale prasa niezależna nie ma podstaw, aby się uskarżać na jej działalność. OPINIA nie narzeka na brak formalnej wolności słowa i prasy w PRL. Jak dotychczas, nikt nam bezpośrednio nie przeszkadza w wydawaniu pisma i funkcjonowaniu redakcji. Inną sprawą są represje personalne: jak wiadomo, wszyscy trzej redaktorzy OPINII zostali wyrzuceni z pracy i pozbawieni źródeł utrzymania, są też szykanowani w inny sposób. Władze jednak nie podjęły — jak dotychczas — żadnych kroków zmierzających do uniemożliwienia wydawania pisma.

Samo prawo do korzystania z wolności prasy jednak nie wystarcza. Aby niezależne pisma mogły w pełni wypełniać swe społeczne obowiązki, muszą one uzyskać solidne podstawy materialne. Mamy do tego także samo prawo, jak prasa rządowa. Jest to prawo do posiadania własnych drukarni, do pełnego zaopatrzenia we wszelkie potrzebne materiały, do lokali i środków łączności, wreszcie prawo do zabezpieczenia finansowego

działalności. Byłoby rzeczą niesłuszną i szkodliwą, gdyby prasa niezależna musiała się utrzymywać z ofiarności społecznej. Ostatecznie to społeczeństwo jest właścicielem wszystkich drukarni oraz przedsiębiorstw i zakładów, które mogą finansować działalność niezależnych pism. Czas najwyższy skończyć z systemem, w którym PZPR uzurpuje sobie pełną dyspozycję wszystkich drukarni i przedsiębiorstw, w którym reprzywatykuje na rzecz grupy — jaką jest — państwowe, wysoce dochodowe przedsiębiorstwa, takie jak CZUPiK „Ruch”.

Niezależna prasa ma jednak takie same prawa, jak prasa partyjna. I z tego prawa nie zamierzamy rezygnować. Kwestią dyskusyjną jest tylko, w jaki sposób przysługujące nam uprawnienia wykorzystać.

(red.)

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

### ZWYCIĘSTWO GÓRNIKÓW BEZ PRZYMUSOWEJ PRACY W NIEDZIELE

(29. 8.) Od lat już obowiązek przymusowej pracy górników w niedzielę wywoływał coraz ostrzejsze sprzeciw. Szczególnie wyraźnie zaczęły ujawniać się one w tym roku. Przeciwko niedzielnemu przymusowi pracy występowali pracownicy indywidualnie, żony górników, a ostatnio grupy zatrudnionych. Wielkie znaczenie miało wystąpienie biskupa Bednorza na pielgrzymce w Piekarach Śląskich 30 maja br.; wezwał on władze do likwidacji tej niegodnej moralnie i wyniszczającej fizycznie przymusowej pracy w niedzielę. Przypomnieć też należy list uczestnika Ruchu Obrony, Kazimierza Switonia, który domagał się od władz PRL zniesienia obowiązkowej pracy niedzielnej.

Jednolita, znajdująca coraz bardziej jawny wyraz postawa górników doprowadziła do zwycięstwa. Z końcem sierpnia zniesiono w kopalniach okręgu katowickiego obowiązek przymusowej pracy w niedzielę.

Nie mamy potwierdzenia, czy zniesienie tego obowiązku objęło już rzeczywiście wszystkie kopalnie w okręgu katowickim i czy dotyczy też innych okręgów górnictwa węglowego.

### PO POWODZI ZDEJMOWANIE ZE STANOWISK

Kłeska powodzi, która dotknęła zwłaszcza południowo-zachodnie rejony kraju, wywołała energiczną reakcję władz. Jak dotychczas, polega ona głównie na zdejmowaniu ze stanowisk dyrektorów przedsiębiorstw i kierowników innych instytucji, które poniosły dotkliwsze straty wskutek wylania wód. Zdjęty został m.in. ze stanowiska Prezydent Legnicy-miasta, które całkowicie zostało zalane. Wprawdzie fala powodziowa kierowana została do Legnicy, aby uchronić bogate rolnicze tereny koło Jawora Śląskiego — a decyzja w tej sprawie została podjęta ponad Prezydentem.

Milczy się natomiast o tym, że od wielu już lat, także w alarmującej formie, domagano się wykonania przygotowanego projektu pełnej regulacji stosunków wodnych w dorzeczu Odry — lecz partyjne i państwowe kierownictwo PRL odrzucało bądź odkładało wszystkie wnioski w tej sprawie.

## IMPORT CEGŁY RADZIECKIEJ

(30. 8.) Do magazynów budownictwa dotarły nowe transporty świeżo dostarczonej przez ZSRR cegły. Obecnie ZSRR jest głównym dostawcą cegły, przynajmniej do budownictwa w rejonie warszawskim. Rozbudowana ongiś przez władze PRL sieć wielkich cegielni została bowiem zlikwidowana, a nieliczne cegielnie prywatne zamknięte.

Można by z tego wyprowadzić wniosek, że struktura naszego handlu zagranicznego zmienia się na naszą korzyść, w wyniku modernizacji przemysłu PRL: my kierujemy do ZSRR elektronikę — oni do nas — wypalaną glinę. Jakość wypalania budzi zresztą zastrzeżenia.

„BERUFSVERBOTEN”  
DLA RZECZNIKA RUCHU OBRONY

(31. 8.) Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie w składzie przewodnicząca Lucyna Urbańska i ławnicy Maria Zakrzewska z Urzędu Miasta oraz Tadeusz Derlicki z WRZZ orzekł, że zwolnienie z pracy w redakcji tygodnika *Stolica* Leszka Moczulskiego, rzecznika RUCHU OBRONY i redaktora OPINII jest w pełni uzasadnione. Sprawa miała charakter precedensowy, bowiem po raz pierwszy zasadniczą przyczyną zwolnienia była jawnie podana przyczyna polityczna, a mianowicie podjęcie przez Moczulskiego działalności rzecznika w RUCHU OBRONY. Zeznający przed sądem świadkowie, pracownicy *Stolicy* red.red. Waldemar Śmiałowski i Tadeusz Boczek stwierdzili, że na zwołanym specjalnie w sprawie Moczulskiego zebraniu w *Stolicy* wystąpili z wnioskiem o zwolnienie go z pracy z racji jego działalności politycznej. Sąd uchylił pytanie, czy wniosek ten obaj redaktorzy uprzednio skonsultowali z KC lub KW PZPR. Uzasadnienie wyroku na piśmie ma być sporządzone przez Sąd w późniejszym terminie.

Wyrok sądowy jest prawomocnym orzeczeniem wobec Moczulskiego „Berufsverboten” — zakazu uprawiania zawodu.

Postęp, jaki nastąpił od ubiegłego lata, jest olbrzymi. W ciągu tych kilkunastu miesięcy osiągnęliśmy więcej, niż przez poprzednie dwadzieścia lat. Jawnie i legalnie działają KOR i RUCH OBRONY, wokół których skupia się w działaniu wiele tysięcy ludzi. Ukazują się cztery pisma niezależne. Działa sześć Punktów Konsultacyjno-Informacyjnych RUCHU OBRONY oraz jeden punkt interwencyjny KOR. Grupy terenowe RUCHU OBRONY pracują już praktycznie we wszystkich województwach. Władze o tym wiedzą — są to bowiem wszystko jawne działania — lecz nie są w stanie, jak to dawniej bywało, podjąć zdecydowanej kontrakcji. Jedno jest wiadome: plan władz, ustalony ostatecznie wiosną 1977, po ujawnieniu RUCHU OBRONY, aby izolować ugrupowania niezależne — spalił na panewce. Świadczy o tym coraz bardziej napływ nowych działaczy. Świadczy odzew społeczny, który — chociażby przez PKI — dowodzi, jak bardzo powstanie RUCHU OBRONY było konieczne.

Jakie są zamiary władz? Trudno bardzo odpowiedzieć na pytanie, jaką ostatecznie konkretną politykę prowadzić będą na jesieni władze. Trudność

ta spowodowana jest jedną zasadniczą przyczyną: same władze PRL nie potrafią wytworzyć tutaj jakiejś spójnej wewnętrznie koncepcji. Jeszcze z początkiem lata PZPR liczyła, że gdy uda się poprawić nieco sytuację gospodarczą, zahamować spadek stopy życiowej, a może nawet ją nieco podnieść — będzie można przystąpić do zdecydowanego uderzenia przeciwko siłom niezależnym. Nadzieje te okazały się płonne, powódz i deszcze katastrofalnie zmniejszyły zbiory, zmuszają do zwiększenia eksportu za każdą cenę i zaciągania nowych pożyczek za granicą. Dalszy spadek stopy życiowej jest nie do uniknięcia. Wzrasta równocześnie siła biernego naporu społecznego i wyrastająca z niej aktywna działalność powiększających się coraz szybciej ugrupowań niezależnych. Jeśli do tego dodamy postępującą dezintegrację wewnątrz PZPR, rozwój frakcji i walki między klikami — sytuacja staje się jasna.

Po sierpniowych wakacjach, wkraczamy w nowy sezon polityczny. W tym nowym punkcie startu społeczeństwo czuje się pewniej, ugrupowania opozycyjne są silne jak nigdy po 1946 roku, a władze stoją przed lawiną kłopotów.

SŁABNIE TĘTNO ŻYCIA KULTURALNEGO  
PRZYDUCHA

Od kilku lat słabnie tętno życia kulturalnego kraju. Na nic nie zdadzą się oficjalne enuncjacje o rozwoju kultury w PRL. Zawsze można dobrać fakty na zasadzie „ile było telewizorów w Polsce przed wojną a ile jest obecnie?” — i nikt nie zaprzeczy, że w 1939 roku tylko siedem, a dziś miliony. Lecz co z tego wynika?

Istotną miarę regresu stanowi sytuacja twórczości w PRL. Wprawdzie władze zrezygnowały ze zbyt drastycznych metod nacisku na środowiska twórcze, zapanował tu swoisty leseferyzm. Raz do roku oficjalna manifestacja plastyczna pod nazwą wystawy „grupy malarzy realistów” — choć żadna taka grupa nie istnieje i autorów zaprasza się doraźnie, parę powieści wydawanych przez oczywistych grafomanów, lecz nader prawomyślnych — to niemal wszystko. Silny nacisk wywierany jest tylko na publicystykę i tu rzeczywiście ograniczenia cenzuralne nie raz sięgają absurdu.

Od kilku przynajmniej lat nie ukazało się żadne dzieło literackie, które stałoby się wydarzeniem kulturalnym. Lada ciekawsza, a bodaj poprawnie napisana książeczka już się winduje do rangi ewenementu. W filmie — ucieczka. Trzy filmy były wydarzeniami: „Człowiek z marmuru”, „Barwy ochronne” i „Gdzie woda czysta”. Lecz na jak długo? Parę tygodni. Przez ostatnie dni „Człowieka z marmuru” w Warszawie grano przy prawie pustej widowni, trzy-cztery rzędy zajęte. Dwóm pozostałym filmom zrobiono reklamę szepetaną i prasową: jednemu rzekomej nieprawomyślności, drugiemu „odważnego stawiania problemów współczesności”. Odważnemu? To miała być ta odwaga — stwierdzić, że w kraju działają i kwitną kliki aferzystów skupionych koło ośrodków władzy? A cóż to za nowość? W filmie animowanym stopiędziesiąte wydanie „Bolka i Lolka”, polską szkołę filmu dokumentalnego i publicystycznego uduszono jeszcze przed Grudniem. W fotografii jeśli coś ciekawego, to z importu, w kraju sympozja i seminaria.

Podobnie w plastyce. Kilkadziesiąt plenerów, kilkadziesiąt konferencji teoretycznych rocznie, a gdzie te wielkie dzieła? Za osiągnięcie uchodzi, jeśli powie się, że „dunikowszczyzna” wcale nie wyszła na dobre polskiej rzeźbie. To ma być ta odwaga myślenia. A tworzenia?

Szaro w teatrze. Gdzie te premiery, które wywoływały zażarte dyskusje. Gdzie te z odniesieniem do problemów życia? Jeśli coś kimś wstrząsa, to

krytykami sposób inscenizacji takiego czy innego klasyka w takim czy innym wojewódzkim teatrze.

Trudno przeczyć, by władze nie próbowały stymulować choćby drobnych zmian. Budowa Portu Północnego dała pretekst do konkursu plastycznego i — osobno — fotograficznego. Trwały po dwa lata, z potężnymi, wielodziesiątysięcznymi nagrodami. Rezultatem było głośnie fiasko: garstka autorów, głównie z Wybrzeża, zgarnęła nagrody nie tyle z powodu wysokiej klasy swych prac, ile z braku chętnych do konkurencji. Na temat Huty „Katowice” wolano już konkursu nie ryzykować.

Okazuje się więc, że nie ma tych wspaniałych powieści i tomów wierszy, wspaniałych obrazów czy pomysłów przedstawień teatralnych, nie ma chęci ani bodźców tworzenia. Dlaczego?

Nie wystarczy podnieść honoraria za arkusz wydawniczy, by pojawiały się dzieła. Nie samym honorarium twórcy żyje, ale jeszcze i tlenem dla płuc: zaufaniem do sytuacji, w której się znajduje, zaufaniem do kierunku w jakim naród jest prowadzony. Tego zaufania nie ma. Po Grudniu była jakaś dobra wola ze strony społeczeństwa, wynikał z niej jakiś entuzjazm, jakiś kredyt zaufania. Nadużywano go, rozmieniano na drobne, aż całą resztę stracono za jednym zamachem w Czerwcu.

Tam, gdzie wypacza się i fałszuje rzeczywistość, tam, gdzie kłamstwo przedstawia się jako prawdę, gdzie nie nazywa się błędny błędem, gdzie ignoruje się narastające irytacje, napięcia, zmęczenie takim życiem, w fikcji na koniec — tam twórczość zasypia. Aż w końcu dusi się do reszty.

Jan BARCZYKOWSKI

## WYJAŚNIENIE

RUCH OBRONY został powiadomiony, że Parlament Królestwa Norwegii z przyczyn formalnych nie może w bieżącym roku rozpatrzyć wniosku o przyznanie Nagrody Pokojowej Nobla Prymasowi Polski, Kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu. Regulamin przewiduje, że rozpatrywane mogą być tylko te wnioski, które wpłynęły w terminie do lutego każdego roku. Wniosek RUCHU OBRONY, jak wiadomo, skierowany został dopiero w maju. Regulamin Nagrody Pokojowej Nobla przewiduje, że z wnioskiem o jej przyznanie mogą występować określone wyraźnie instytucje oraz osoby m.in. takie, jak posłowie do parlamentu, profesorowie prawa międzynarodowego i państwowego.

Rzecznicy RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA i OBYWATELA w Polsce

Leszek MOCZULSKI

Andrzej CZUMA

## LIST OTWARTY DO JANA DOBRACZYŃSKIEGO

Przeczytałem Pański artykuł „Oskarżenia i przemilczenia” w *Kierunkach* z 7. VIII. 1977 r. (nr 32). Trochę zdziwił mnie — a trochę wzburzył. Sądzę, że nie powinien pozostać bez odpowiedzi.

Jestem zdania, że poruszył w nim Pan sporo spraw, do których winni ustosunkować się katolicy. Ja katolikiem nie jestem. Myślę jednak, że na początku mego listu wolno mi i w tych sprawach zabrać głos — o ile tyczą one problemów obchodzących całe społeczeństwo.

Przedmiotem Pana ataku jest zasadniczo artykuł Pani Marii Winowskiej „Nieproszone rady i dywersja” w majowym numerze paryskiej *Kultury*. Nic nie mam do powiedzenia w tej sprawie, czy Pani Winowska ma tytuł, czy nie, do powoływania się na swą służbę, do której powołał ją polski Kościół Katolicki. Natomiast mogę i mam prawo ustosunkować się do Pana ataku na *Tygodnik Powszechny*. Ma Pan rację, że grupa „Znak” nie jest i nie była jedyną grupą katolicką (to znaczy grupą ludzi, których łączy przede wszystkim wyznawanie wiary katolickiej) w Polsce. Ani razu nie użył Pan nazwy „Pax”, poprzestając na wymienieniu Klubu Pisarzy Chrześcijańskich „Krağ”, związanego, jak wiemy, z „Paxem”. Sądzę jednak, że występuje Pan w tym sporze przede wszystkim jako rzecznik „Paxu”. Nazwałbym tę sytuację nieco niezręczną. Wątpię, by ludzie ze „Znaku” uważali się za monopolistów reprezentowania myśli katolickiej w Polsce — natomiast dobrze pamiętam, że to „Pax”, którego wybitnym działaczem był Pan i w początku lat pięćdziesiątych i dziś, przejmował z rąk stalinowskich w darze *Tygodnik Powszechny* po rozpędzeniu jego redakcji. Pisze Pan: „W początku lat pięćdziesiątych przyszedł ciężki kryzys”. To również pamiętam: zaostrenie prześladowania Kościoła przez Urząd Bezpieczeństwa i inne władze państwowe, pozbawienie wolności Księdza Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Gdzie wówczas, po czyjej stronie był „Pax” — a wraz z „Paxem” Pan?

To te prześladowania, i późniejsze dyskryminacje, są jedną z ważnych przyczyn (z pewnością nie jedyną) pełnych kościołów, wielkiej ilości powołań kapłańskich itd. — w odróżnieniu od Francji i innych krajów Zachodniej Europy. To do dziś trwające dyskryminacje są jedną z przyczyn (znów nie jedyną) poczucia solidarności z ludźmi wierzącymi, które mam nie tylko ja, ale wielu ludzi niewierzących w Polsce.

Obok pełnych kościołów, powołań kapłańskich itd. — powołuje się Pan również na to, że katolicyzm polski „nie ma schizmu”. Zapewne ma Pan rację. Schizma to sytuacja skrajna. Pamiętam jednak czas, w którym Kościół umieścił na indeksie część prasy „Paxu” i książkę Bolesława Piaseckiego.

Tyle mam do powiedzenia o poruszonych w Pana artykule sprawach związanych z życiem społeczności katolickiej w Polsce. Do innych ustępów Pana artykułu mam istotniejsze zarzuty.

Przed wszystkim stwierdzam z przykrością, ale z całą odpowiedzialnością za słowa, że Pan kłamie. Pisze Pan, atakując przy okazji Władysława Bartoszewskiego: „Bartoszewski zauważywszy moje nazwisko (w akcji pomocy Żydom — przy. J.J.L.)

wolał rzecz utopić w milczeniu". Wzywam czytelników, by z indeksami do pierwszego i do drugiego wydania książki „Ten jest z ojczyzny mojej” ustalili, czy to prawda. Zdumiewające, dlaczego doświadczony publicysta, jakim Pan jest, pozwala sobie mijać się z prawdą na bardzo krótkich nóżkach kłamstwa, łatwego do wykrycia. Muszę dodać, że jeśli mam do Pana znacznie więcej szacunku, niż do wielu Pańskich współtowarzyszy politycznych — zawdzięczam to właśnie tej książce opracowanej przez Władysława Bartoszewskiego i Zofię Lewinównę.

W innym miejscu Pana artykułu czytam: „Bo znakomity historyk (po co ten cudzysłów? — przyp. J.J.L.) pilnował się bardzo, aby w jego książce nie znalazły się przypadkiem przykłady ratowania Żydów przez ludzi wywodzących się ze środowiska tzw. narodowego”. Znowu kłamstwo. Radzę Panu zajrzeć przede wszystkim do wypisów z książki Philipa Friedmana, w których ten historyk, Żyd, starannie wymienia wielu przedwojennych działaczy Stronnictwa Narodowego, a nawet jednego ONR-owca, Jana Mosdorfa, który męczeństwem przypięczętował ekspiację za przedwojenne szerzenie antysemityzmu. Fragmenty te zostały starannie, nie przez sen wybrane z dużej i bogatej całości. Z tomu „Ten jest z ojczyzny mojej” wiem o bohaterstwie ks. Godlewskiego, działacza Stronnictwa Narodowego (co jest zaznaczone) i wielu innych.

Pisze Pan w swym artykule: „w obliczu masowych morderstw Żydów dokonywanych przez hitlerowców całe (spacja nie moja — J.J.L.) społeczeństwo polskie — niezależnie od swych sympatii czy antypatii — pospieszyło z pomocą Żydom rzucając na szalę własne życie”. Szkoda, że Pan napisał to zdanie. Muszę teraz, w imię prawdy, napisać coś, co przychodzi mi z trudem. Przeżyłem jak Pan w kraju lata okupacji, jako człowiek już świadomy. Byłem harcerzem w „Szarych Szeregach” i żołnierzem „Baszty” (AK), pamiętam co innego. To prawda, że szmalcownictwo (tak wówczas nazywany proceder zarobkowy, polegający na szantażu wobec ukrywających się Żydów) było co prawda dotkliwe, ale jednak był to margines, którym nie można obciążać całości społeczeństwa polskiego. Natomiast obojętność (nie wyłącznie strach!) była zjawiskiem tak częstym, że Pańskie zdanie muszę uznać za podkolorowywanie rzeczywistości. Książka Bartoszewskiego i Lewinówny była wielkim czynem, gdyż zebrała bogaty materiał, świadczący, iż elita moralna narodu, ludzie różnych warstw, robili, co było w ich mocy, lub prawie tyle. Pańskie uogólnienie jest nieodpowiedzialne.

Stwierdzam również, z przykrością, że mimo Pańskich *expressis verbis* wyrażonych zastrzeżeń („Byłoby rzeczą tragicznie smutną, gdyby... miało się odezwać u nas bodaj najbardziej dalekie echo antysemityzmu”) i mimo Pańskiej bohaterkiej, czynnej obrony mordowanych w czasie okupacji Żydów — artykuł ten nosi cechy antysemityzmu. Antysemity jest bowiem nie tylko ten, kto morduje lub pochwała mordowanie Żydów — lecz

również ten, kto pochopnie uogólnia w celu wskazywania na Żydów jako wrogów (podobnie jak antyukraińskie jest zdanie „Ukraińcy to rezuny i faszyści”, antyniemieckie „W każdym Niemcu tkwi hitlerowiec”, antylitewskie „Litwini to szaulisi”, antyrosyjskie „Każdy Rosjanin ma duszę niewolnika” td.). Pan zbudował równanie, które nawet po uwzględnieniu Pana zastrzeżenia, że „byłoby nonsensem twierdzić, że każdy człowiek pochodzenia żydowskiego w Polsce jest dysydentem-trockistą” — będzie brzmiało: „ludzie żydowskiego pochodzenia w Polsce to przeważnie trockiści”, przy czym nie pozostawia Pan czytelnikowi, co sądzi Pan o trockistach.

Znam wielu ludzi żydowskiego pochodzenia w Polsce. Kilku mam zaszczyt zaliczyć do swoich przyjaciół. Czytam Pański tekst ze zdumieniem. Gdzie Pan znalazł tych trockistów? Znam jednego, który kiedyś za trockistę się uważał — i być może myśli tak nadal (dawno o tym nie rozmawiałem). Ludzi żydowskiego pochodzenia (nie wszystkich, nie w stu procentach!) oskarża Pan o to, że „żyjąc w Polsce prowadzą działalność szkodliwą i niebezpieczną dla interesów polskich”. Otóż po pierwsze — nie podoba mi się zwrot „ci, którzy żyjąc w Polsce...”, sugerujący, że łączy ich z krajem tylko miejsce zamieszkania. Po drugie nie podoba mi się slogan o szkodliwości dla interesów polskich. Znam to z prasy niepaxowskiej i pozwala mi to zidentyfikować adres, pod którym Pan kieruje swe inwektywy: chodzi o ludzi, którzy walczą w Polsce o prawa ludzkie i obywatelskie. Znajdujący się wśród nich ludzie żydowskiego pochodzenia nie są „trockistami”, tak jak nie są „syjonistami”, i nie działają na szkodę interesów polskich. Uprzejmie proszę o niestosowanie w Pańskich wystąpieniach publicystycznych tego rodzaju zwrotów z kodeksu karnego, gdyż nazywa się to brzydko: denuncjacja — na dodatek fałszywa. I proszę uprzejmie o nie wystawianie cenzurek z polskości, gdyż chodzi w Pańskim adresie głównie o ludzi, których zasługi dla Polski czynią ten proceder nieprzyzwoitym.

Jest Pan entuzjastą listu Giertycha. Czyżby i ten list nie był antysemicką publicystyką? Nie wiem, czy był pisany przed wydarzeniami czerwowymi — bo docierała pocztą z Londynu w rzucających się w oczy kopertach do bardzo wielu osób — już po tym. Pisze Pan, że Giertych przewidział czerwiec, zapowiadając, iż są ośrodki pragnące wepchnąć Polskę w krwawą awanturę. Pan zdaje się nie pomyślał nad tym, co Pańska teza znaczy. Kto spowodował Pańskim zdaniem „awanturę” 25. VI. 1977 roku? „Trockiści”?

Współczuję Panu, że przejdzie Pan do historii polskiej czarnosecinnej publicystyki obok pana Giertycha, pana Rolińskiego, pana Wysockiego i innych.

Jan Józef LIPSKI



LIST WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH  
OBOZU PERMSKIEGO 36

Zachód stoi przed wyborem, od którego nie można się uchylić i który na długo określi nie tylko i nie tyle polityczną, ile moralną atmosferę w Europie i na świecie. Chociaż ten wybór związany jest istotnie z zagadnieniami więźniów politycznych i przyrodzonych praw człowieka, chodzi głównie nie o los pewnej ilości zakładników w łażrach i w „wielkiej zonie” zła, przemocy i kłamstwa. W rzeczywistości i przede wszystkim chodzi o coś innego: o to na ile cenią wolność i prawo ci, którzy przywykli z nich z głębokim przekonaniem korzystać.

Na oczach całego świata nieodpowiedzialni przywódcy bloku komunistycznego cynicznie lekceważą zobowiązania międzynarodowe, we mgle zamkniętych sądów beczelnie naruszają własne prawa, zasłaniając zbrodnie kłamliwym pustostwem o służbie narodowi, o jakiejś tam wyższej formie demokracji.

Czy zechce Zachód — w poszukiwaniu wątpliwego czasowego bezpieczeństwa, przejściowych wygód politycznych i gospodarczych, choćby realnych — znowu przymknąć oczy na gwałt, znowu wygrywać nieświadomość i łatwowierność, wygładzać ostre kanty grzecznymi zdaniem o wierności każdej z przeciwstawnych stron własnym koncepcjom społecznym? Czy uzna Zachód wojskową potęgę i złowrogi upór państw totalitarnych za dostateczną podstawę do tego, by znowu dać zbrodniarzom zezwolenie na sądenie innych, słabszych?

Będziemy nazywać rzeczy po imieniu: czy uważacie, że jesteście zmuszeni do pobłażania zbrodniom swoją ustępliwością? Gdyż kłamstwo nie istnieje bez tych, którzy w nie wierzą, albo przynajmniej udają że w nie wierzą. Gdyż wasze przyzwolenie potrzebne jest zbrodniarzom nie mniej niż wasze dolary, wasza obojętność jest dla nich nie mniej ważna niż wasze maszyny.

Lub przeciwnie, starczy Zachodowi mądrości, by trzymać się zasady że nie ma dla ludzi ważniejszego, bardziej pilnego Celu, niż ograniczać przemoc i zasłaniające ją kłamstwo;

— mądrości bronięcia — jako jedynej gwarancji bezpiecznego trwania dzisiejszego ciasnego i splecionego wzajemnie świata — moralności i prawa, jednakowych dla wszystkich;

— mądrości stawiania duchowych wartości nad aktualnymi i praktycznymi potrzebami, bronięcia ich dzisiaj a nie jutro;

— mądrości nie przywiązywania wagi do chwilowych sprzeczności wąskich interesów i zjednoczenia w imię wielkiego celu?

Czy starczy męstwa by twardo oświadczyć, że krew i łzy nie są czyjąś tam wewnętrzną sprawą, by nie cofać się przed problemami, których rozwiązanie nie jest bynajmniej proste, raczej bardzo trudne, by starać się położyć tamę bezprawiu tam, skąd oszustwo i pokusa przemocy rozpełzają się wszędzie?

Starczy bezinteresownej wierności obowiązkowi moralnemu? Na tym właśnie polega wybór.

Usiłują was przekonać, że despotyzm może być pokojowy; że przywódcy, którzy uczynili kłamstwo, oszczerstwo i bezprawie profesjonalnym zajęciem setek tysięcy ludzi we własnym kraju, zapragną wywiązywać się uczciwie ze swoich zobowiązań za granicą. Mówią wam: „Bądźcie realistami, nie zapominajcie o naszej sile. Nie pchajcie moralności do polityki, zostawcie ją amatorom kazań niedzielnych. Realizmem jest zauważanie tego co ukrywamy, mówienie o tym na głos? Przecież utrudnia się w ten sposób odprężenie”.

No cóż, wybór jest moralnie jednoznaczny i w samej rzeczy nie prosty z punktu widzenia tradycyjnej polityki.

Lecz jeśli wartością wymienną w grze politycznej staje się znowu wolność, cudza wolność, którą wasi poprzednicy pomogli utracić tak wielu ludziom, uprzytomnijcie sobie że zły zwyczaj handlowania cudzą wolnością nieuchronnie grozi utratą własnej.

Zinowij ANTONIUK, Semen GLUZMAN, Ihor KALYNEC, Sergiej KOWALEW, Walerij MARCZENKO, Pjatrzas PLUMPA, Jewhen SWERSTIUK, Iwan SWITŁYCZNYJ, Bagrat SZACHWERDJAN.

Jan Szumiło  
Pruszcz Gdański  
ul. 22 lipca 3/17

Gdańsk, 23. 08. 77.

Prokurator Rejonowy  
w Gdańsku

Z A Ż A L E N I E

Dnia 20. 08. 77 o godz. 19.10 zostałem zatrzymany na Dworcu Gł. w Gdańsku przez funkcjonariusza MO nr 2386 oraz Sł. Bezpieczeństwa pod zarzutem włamania na ulicy 23 Marca. Po doprowadzeniu na Komisariat MO na Dworcu Gł. przeprowadzono rewizję osobistą, podczas której zostały zakwestionowane materiały Komitetu Obrony Robotników oraz Kultura wydanie paryskie z 1972 roku. Po podaniu danych osobistych odmówiłem złożenia zeznań w sprawie zakwestionowanych materiałów. O godz. 22.00 zostałem doprowadzony do Komendy MO, gdzie prowadzący przesłuchanie oświadczył, że nie mam prawa odmówić złożenia zeznań odnośnie zakwestionowanych materiałów — złożyłem odpowiednie oświadczenie! W międzyczasie zostałem poinformowany, że powodem zatrzymania mnie było podejrzenie zachowanie się w kolejce elektrycznej, którą jechałem z Sopotu do Gdańska. (Podobno milicja prowadziła inwigilację? — ze względu na częste kradzieże w kolejkach). Zwolniony zostałem o godz. 23.00.

Jestem głęboko oburzony postępowaniem funkcjonariuszy SB, ponieważ:  
1) Podczas doprowadzania na Komisariat MO funkcjonariusz SB wyrywał mi z ręki „Forum”, w którym znajdowały się materiały KOR.  
2) Zostałem w pierwszej wersji zatrzymany pod pretekstem włamania, funkcjonariuszy SB interesowały tylko zakwestionowane materiały,

- mimo że podczas rewizji posiadałem wyroby ze złota oraz pieniądze.
- 3) Obowiązkiem prowadzących przesłuchanie było uprzedzić mnie o możliwości odmówienia zeznań — nie zostałem o tym poinformowany, mało tego, na moje twierdzenie, że posiadam takie prawo, zostałem do złożenia zeznań zmuszony.
  - 4) Nie otrzymałem kopii protokołu zarekwirowanych materiałów.
  - 5) Nie otrzymałem zezwolenia na przeprowadzenie rewizji osobistej po mimo mojego wyraźnego życzenia oraz interwencji osobistej po upływie 48 godzin.
  - 6) O godz. 21-22 funkcjonariusz SB sprawdzał moje personalia w moim mieszkaniu, w tym czasie „zabrał” znajdującą się na stole kartkę z bardzo ważną dla mnie wiadomością.
  - 7) Zarekwirowano stanowiącą moją własność *Kulturę* paryską.
- Uprzejmie proszę o zajęcie stanowiska w w/w sprawie i spowodowanie ukarania winnych popełnionych nieprawidłowości.
- Czekam na pisemne powiadomienie o sposobie załatwienia mojego zażalenia.

Z poważaniem,

Jan. SZUMIŁO

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 277 — SERIA « BEZ CENZURY »

ADAM MICHNIK

# KOŚCIÓŁ, LEWICA, DIALOG

Str. 176.

Cena: F. 40.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 21 267.  
Dépôt Légal : 3<sup>e</sup> Trimestre 1977.

Imprimé en France

# KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 .....		R. 14,00	R. 26,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013 .....	\$ A 3,00	\$ A 15,00	\$ A 28,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla- terngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 219-69-23 .....	F.B. 130,00	F.B. 750,00	F.B. 1300,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury” .....	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ 28,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » I w księ- garniach polskich w Paryżu .....	F. 13,00	F. 70,00	F. 130,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissing- gen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176 .....	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maiso- neuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1, Tel 486-2839; B. Kra- suski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1. NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ....	DM. 7,00	D.M. 40,00	DM. 75,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dzie- wanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski. Book, 2036 Chest- nut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, Post Office Box 883, Bellflower Cal. 90706. Tel. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Brit- ain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211 .....	K.S. 13,00	K.S. 75,00	K.S. 140,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ US 28,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.140; półroczna — F.75.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

TOM 279 — ZESZYTY HISTORYCZNE

# ZESZYT CZTERDZIESTY PIERWSZY

Zawiera: K. PUŻAKA: *Wspomnienia 1939-1945*; J. Lewandowskiego: „*Tajny*” raport Chruszczowa — okoliczności ujawnienia, oraz bogaty dział *Polemik*.

Str. 240.

Cena F. 30.



BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 280 — CZESŁAW MIŁOSZ

# ZIEMA ULRO

Przedmowa ks. Józefa Sadzika

Str. 224.

Cena F.50,00



TOM 281 — WIKTOR WOROSZYLSKI

SERIA « BEZ CENZURY »

# LITERATURA

Str. 180.

Cena F. 45,00.

**Cena 13 F**